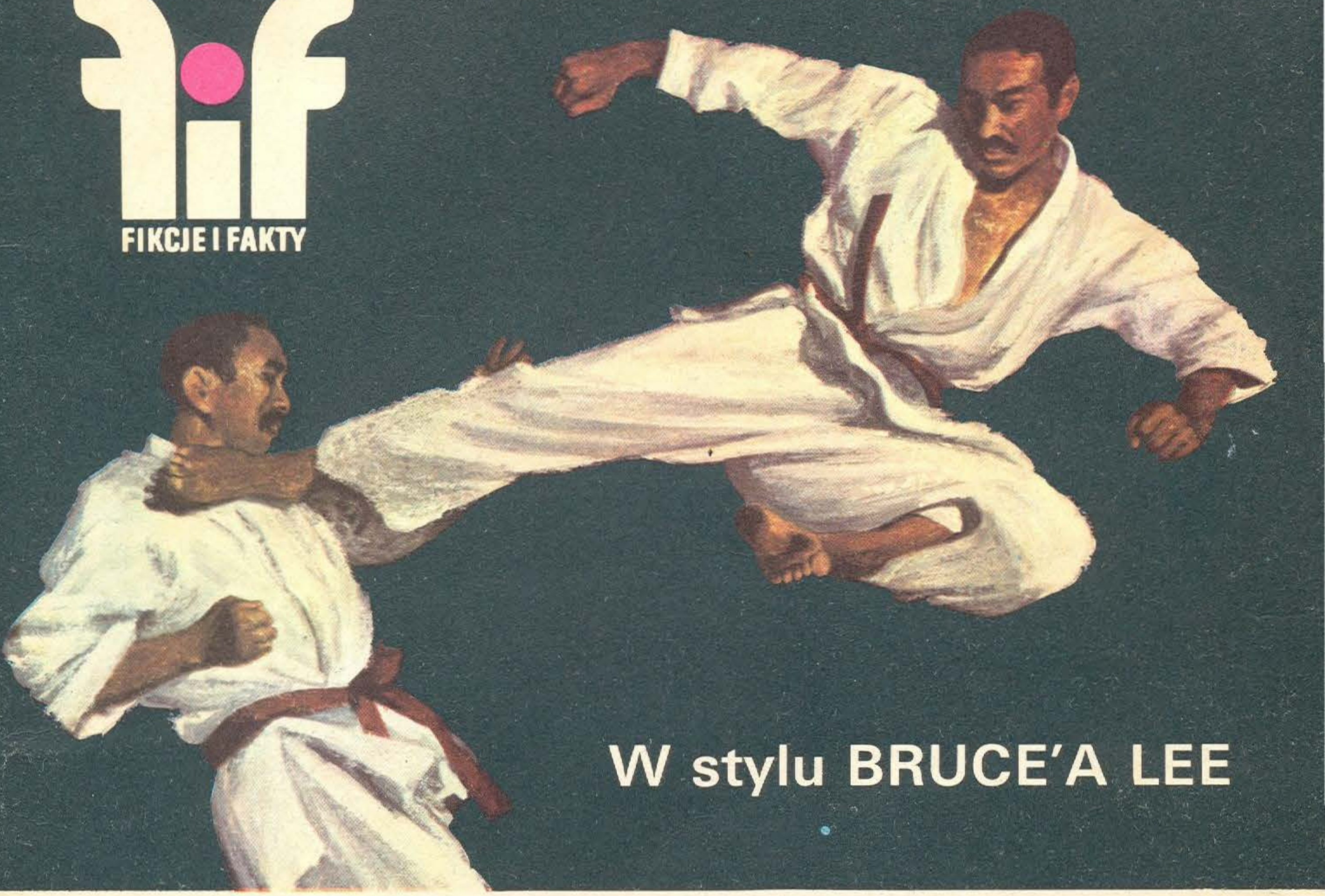
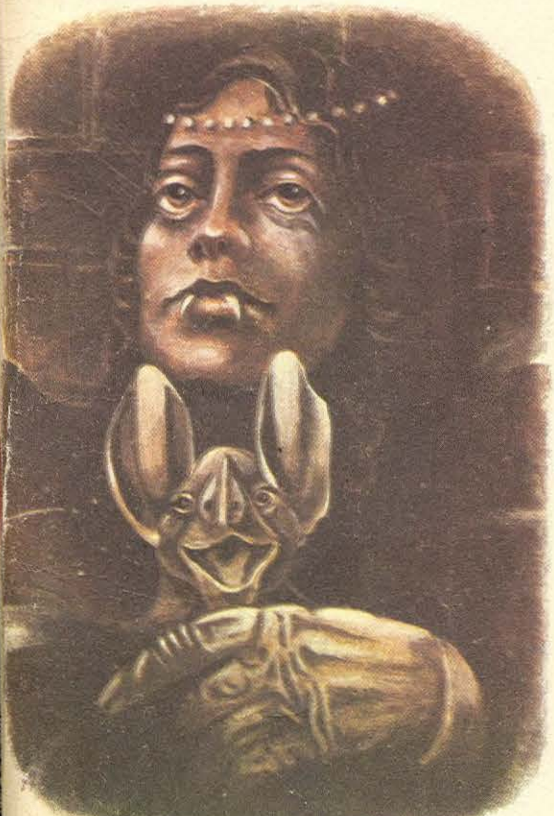
FIKCJE I FAKTY



W stylu BRUCE'A LEE



Z. Krasiński – Mściwy karzeł

F. Forsyth – Czysta robota

Czy będzie koniec świata?



Horoskopy

FIKCJE I FAKTY

Trudno dostępne w księgarniach opowiadania klasyków literatury, i anegdoty, powieśc sensacyjna i opowiadania grozy, autorów polskich i zagranicznych, nie wyjaśnione zagadki historii i tajemnicze eksperymenty naukowe, głośne zamachy na mężów stanu i polityków, kulisy życia gwiazd ekranu i sportu, literatura rozrywkowa i humoreski. No i, oczywiście, miłość! A wszystko wzbogacone ilustracjami znanych artystów grafików. Oto w wielkim skrócie założenia tematyczne nowej serii wydawniczej KAW pt. „Fikcje i Fakty".

W „Fikcjach i Faktach" znajdą także Czytelnicy utwory współczesnych pisarzy, historyków i dziennikarzy na tematy rozległych dziedzin ludzkich zainteresowań.

Pomysł zrodził się z nie zaspokojonych potrzeb czytelniczych. Ciągły brak papieru i trudności w przemyśle poligraficznym powodują, że wiele cennych i poszukiwanych pozycji z dziedziny literatury i historii nie może doczekać się wznowień. „Fikcje i Fakty" zamierzają w jakimś stopniu wypełnić tę lukę. Sięgniemy do pokrytych kurzem książek i przypomnimy popularnych autorów, tych sprzed lat kilkudziesięciu i tych sprzed wielu wieków.

W „Fikcjach i Faktach" znajdą się pozycje obrazujące dawne życie i obyczaje Polaków. Ukażemy postaci z pomników – nieznane fakty z ich życia, upodobania i kaprysy, słabostki i niepowodzenia, nie po to jednak, by pomniejszyć ich dokonania, lecz aby lepiej zrozumieć motywy postępowania i dramaty ciągłych wyborów między różnymi racjami.

Będziemy także pisać o sprawach do tej pory nie wyjaśnionych, od których odżegnują się autorytety oficjalne, takich, którymi jednak pasjonują się zwykli zjadacze chleba. Stąd między innymi radiestezja i astrologia, parapsychologia i horoskopy.

Zamierzamy ponadto publikować fragmenty powieści przygotowywanych do druku przez Krajową Agencję Wydawniczą, by miłośnikom książek naszej Agencji zaprezentować tematykę nowych pozycji, które niebawem ukażą się w sprzedaży.

Stałą zasadą „Fikcji i Faktów" będzie również druk powieści w odcinkach.

Pewne zagadnienia zamierzamy ujmować w kilkuodcinkowe cykle pisane specjalnie dla naszej serii. Najciekawsze z tych pozycji, najwyżej ocenione przez Czytelników ukażą się następnie w formie książkowej. Mamy nadzieję, że w ten sposób powstanie biblioteczka „Fikcji i Faktów". Marzy nam się „co miesiąc powieść ze znakiem „FiF". Pragniemy w ten sposób spełnić oczekiwania odbiorców. Czy są to dążenia realne? Zobaczymy.

Począwszy od tego wydania co miesiąc jeden zeszyt „FiF" znajdzie się w kioskach „Ruchu". Jeśli „FiF" zyskają Wasze uznanie, nie będziemy szczędzili wysiłków by dla nikogo nie zabrakło egzemplarza.

Daliśmy naszej serii wydawniczej tytuł „Fikcje i Fakty". Mamy nadzieję, że fikcje będą służyć pobudzaniu wyobraźni, a fakty wzbogaceniu wiedzy o otaczającym nas świecie.

Oddajemy do Waszych rąk pierwszy zeszyt, czekając na opinie, oceny i sugestie – z nadzieją, że „Fikcje i Fakty" zdobędą Waszą sympatię.

Redaktor



Zygmunt Napoleon Krasiński

MŚCIWY KARZEŁ I MASŁAW, KSIĄŻĘ MAZOWIECKI
Powieść narodowa

I

– Otwórz!...

– Daremnie dobijasz się do bram naszych – odparł żołnierz, stojący z łukiem i kopią na straży przy murach gozdawskiego zamku, młodemu rycerzowi, który, całkowitą zbroją okryty, stał na wałach zamek okrążających.

Promienie jesiennego słońca odbijały się w jaskrawym blasku od hełmu osłaniającego głowę rycerza. Stalowa przyłbica nie kryła pięknej twarzy, smutkiem za wcześnie ocienionej, a oczy całym ogniem młodości iskrzące się, rzucały spojrzenia, które by wyobraźnia poety mogła przyrównać do promieni przez połysk słońca pancerzowi wydartych. Usłyszawszy słowa strażnika, zmarszczył brwi młodzieniec i zaczerwienił się na licach. Sięgnął nawet ręką po długi pałasz, lecz niepodobieństwo skarcenia żołnierza, o kilkadziesiąt łokci nad nim wyżej stojącego, wstrzymało zapał i gniewnym tylko zapytał głosem:

– A czemuż to nie wolno wchodzić w podwoje Johanny z Gozdawy?

– Bo się spodziewamy przybycia potężnego Masława! – odrzekł żołnierz – i te bramy dla niego tylko dzisiaj otworzą!

Bodajby przepadł Masław i w proch rozleciały się te mury! – krzyknął młodzieniec, powolnym odchodząc krokiem, i już siadał na konia, do drzewa w bliskości przywiązanego, kiedy zza krzaków ukazał się człowiek dziwnej i odrażającej postaci. Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać w nim karła; twarz poorana zmarszczkami nie zgadzała się z dziecinnym wzrostem; nos spłaszczony nachylał się nad szerokimi jego ustami, dzikim uśmiechem ożywionymi, a oczy wyrodka ludzkości wyrażały nikczemność, czarnym tylko duszom właściwą. Znać było, że go gniew jakiś dojmował, bo żyły, na niskim ciągnące się czole, wzdęły się niezwyczajnie, a lica nabrzmiały. Ubiór dziwaczniejszym był jeszcze od postaci; miał na sobie lisie futro, czarnym aksamitem w czerwone paski powleczone; przy boku błyskał sztylet, który porównując z wzrostem karła, za dość wielką szablę wziąć można było. Nad głową wznosiła się żółta czapka, dzwonkami srebrnymi opatrzona, która donosiła wcześnie o jego przybyciu brzmieniem podobnym do dźwięku grzechotnika, w dzikich Afryki pustyniach zamieszkałego. Zjawienie się karła wstrzymało kroki rycerza i powitał go natychmiast, bo się od dawna już znali.

– Otóż znalazłem mściciela! – krzyknął mały człowiek, ale zaraz, przybrawszy poważną postawę, zapytał cichszym głosem: – A cóż to porabiasz, Jordanie z Bordan?

– Nie mam ci odpowiedzi, mój Gondo, na to pytanie – rzekł rycerz. – Wiesz przecież, że w tych murach mieszka luba sercu mojemu Zbisława z Czernic.

– Ho! ho! ho! luba sercu twojemu nie wiem, gdzie dziś nocować już będzie, mój waleczny rycerzu!

– Co mówisz, przeklęta poczwaro? – zawołał Jordan, ściskając silną prawicą gardło Gondy; ale wnet uczuł zatapiające się w ramionach ostre karła paznokcie i, zdziwiony nadzwyczajną mocą tak małej istoty, puścił go natychmiast.

– Bądźmy raczej przyjaciółmi – rzekł Gonda. – Wczoraj może bym cię zabił tym sztyletem, dziś posłużysz do moich celów.

– Do twoich celów? – przerwał Jordan ze wzgardą. – Za kogóż to mnie bierzesz? Jestem wolnym Polakiem i rycerzem tarczy nieskalanej; niczyim celom służyć nie będę, a cóż dopiero twoim, nikczemniku!

– A jednak tak się stanie, jakem powiedział. Założmy się o ten złoty łańcuch wiszący na twoich piersiach.

– Najchętniej – odparł rycerz z uśmiechem – ale jeżeli przegrasz, porwę cię z ziemi i cisnę na gozdawskie mury.

– Bardzo dobrze – rzekł karzeł – bardzo dobrze; jestem pewny wygranej. Zbisława dziś zginie, jeżeli nie dopełnisz woli mojej.

Rycerz natychmiast zdjął złoty łańcuch z szyi i rzucił go pod nogi karła, a potem, porywając za rękojeść miecza, groźnym zapytał głosem, co by jego słowa znaczyły i co by zamyślał wykonać.

– Skoro się zmroczy – odparł karzeł – oczekuj mnie na tym wzgórzu pod sosną, a wtenczas wszystko ci wytłumaczę. Teraz poprzestań na tej wiadomości, żem przysiągł zemstę przeciw pani mojej, Johannie z Gozdawy, i że zginąć musi. Ach! na to wspomnienie krew się we mnie burzy; ona dziś mi wyrzec ośmieliła się, żem wyrodek ludzkości, że mnie podobna potwora niepotrzebna na jej dworze. Gdy świat mnie cały opuścił, ziemia brzydziła się Gondą, znalazłem schronienie, zakupione występkami i zbrodnią;

dali mi dach do okrycia głowy i łoże do wypocznienia za to, żem nie odmówił mojej pomocy niegodziwościom, żem się nie bał obarczyć sumienia, dogadzając jej namiętności, a teraz mnie z domu swojego wygnała! O Johanno z Gozdawy! szerokie masz dobra, liczne włości, wielkie dostatki i bogactwa w skarbcach i skrzyniach, i niemałą potęgę w ręku; mury otaczają twój zamek, zbrojni go strzegą żołnierze, a przecież musisz zginąć, bo ani dostatki, ani żołnierze, ani te mury nie potrafią się zakryć przed zemstą Gondy, tego karła, tej poczwary, tego wyrodka ludzkości! Wyzwałaś mnie do walki, będziesz ją miała – Gonda dotrzyma ci placu!...

To mówiąc, jak błyskawica znikł między drzewami i tylko głos jego dał się słyszeć: – Rycerzu, pamiętaj na moje wezwanie! – Przerażony Jordan chciał go ścigać, wtem nowy zatrzymał go widok.

Na drodze ku zamkowi wiodącej ukazał się orszak zbrojnych rycerzy, na których czele jechał mąż poważnej postaci, ale surowego lica. Stalowy szyszak błyszczał na jego głowie, a nad nim migała się złota książęca korona; płaszcz purpurowy, białym futrem w czarne cętki podszyty, spływał około pancerza i siodła; a ciężki, obosieczny pałasz aż do stóp dochodził. Rzucając obojętne spojrzenia na okolicę i towarzyszów swoich, jechał powoli; ale łatwo w tych spojrzeniach można było rozpoznać okrucieństwa, które odznaczały Masława, niegdyś podczaszego na królewskim dworze, a teraz książęcia płockiego i srogiego łupieżcy ucieczką Ryksy zaburzonej Polski. Zuchwałość, połączona z chęcią panowania, strasznym go czyniła nawet odległym sąsiadom i może nie było wówczas w całym Mazowszu człowieka, który by się poważył wszechwładnej woli jego oprzeć.

– Handzo z Budyszyna! – rzekł Masław do jednego z towarzyszów, przy nim postępujących – wiesz, że już mię Johanna nudzić zaczyna. Przez pioruny i piekło, czas by się pozbyć tej rozmiłowanej wdowy! I cóż to ona tak powabnego w Masławie znajduje? Czyż oczy krwią zaszłe, czyż długa broda i wąs gęsty, czyż serce dalekie od zniewieściałej czułości może być przedmiotem miłosnych zapałów? A przecież od śmierci męża swojego, Mirosława z Gozdawy, cała mną zajmować się zdaje. Ha! uśmiechasz się, Handzo; przyszło ci na myśl, jakem go wówczas zręcznie sprzątnął ze świata? – I te słowa już ciszej do ucha powiernika wymówił. – Jednak to dziwna kobieta, pokochała mnie jak szalona! Ale słuchaj, mój Handzo: Zbisława z Czernic, na dworze Johanny przebywająca, córka owego starego szlachcica, nierównie jest od niej piękniejszą.

– O, zapewne, książę i panie mój; Zbisława jest najpiękniejszą z dziewic całego Mazowsza.

– Przestań! – rzekł Masław – wjeżdżamy do zamku, musimy tu dni kilka zabawić,



potem skarby złupimy, a panią... a panią... Ha! znajdzie się pomysł, kiedy znagli konieczność. – Hej, panowie, zdwoić krok i popuścić koniom wodze!...

I wleciał rozpędzonym biegiem na wzgórza gozdawskie. Cisnęli się za nim wojownicy, skórami dzikich zwierząt odziani, błyszczały ich zbroje, migały się kopie, a nad każdym powiewała czerwona chorągiew, okrywając krwistymi zwojami najdzikszych może w całej Polsce wojowników.

Długo Jordan poglądał za nimi i dopiero wtenczas, gdy wjechali na podwórza zamkowe, w przeciwną oddalił się stronę.

II

Słońce już zaszło, a czerwone chmury zapowiadały straszliwą burzę, ciemność zaległa obszary i żadnej gwiazdy nie mógłby dostrzec wzrok nawet sokoli; ale natomiast okna zamkowe rzęsistym jaśniały ogniem, bo Johanna z Gozdawy miłego przyjmowała gościa.

Tymczasem pod sosną, na małym wzgórzu, oczekiwał karzeł rycerza; jakoż przybył niedługo Jordan w lekką kolczugę i ciemną

czapkę przybrany, z mieczem i sztyletem u boku.

– Zazwyczaj – rzekł karzeł – oczy wierniejszymi są od uszu, bo to, co widzimy, więcej nas uderza nad odgłosy i szepty ludzkie. Chodź więc, a ukażę ci najokropniejsze widowisko; ale powiedz mi pierwej, czy niebezpieczeństwom śmiałe czoło postawić?

– Moje serce stalową, jak piersi, otoczone jest powłoką, kiedy godzina trwogi dla innych uderzy, a kiedy idzie o śmiałość, poszedłbym za szatanem i do ciemnic piekła.

– Jeśli może być obraz piekła na ziemi, to go dziś ujrzysz. Chodź, a milcz, patrz, a milcz, uderzaj, a milcz; a kiedy ci powiem: „Otwórz usta!", to mów i mów z całą odwagą, którą się teraz tak chlubisz!

I szli razem przez wały, przez podziemne przejścia i ciemne korytarze, przez wąskie schody i długie komnaty: a wszędy panowała cichość, tylko odgłos ich stąpań od sklepień i murów odbijał. Karzeł szedł przodem w milczeniu i otwierał drzwi wielkim kluczem, u pasa zawieszonym, poglądając często na towarzysza, z bezprzykładną stałością za nim postępującego. Nareszcie kiedy przybyli do drzwi żelaznych, mocno na rygle zapartych, obrócił się Gonda i przybliżył pochodnię ku licom Jordana, jak gdyby z nich chciał uczucia duszy jego wyczytać.

– Jeszcze raz ci powtarzam – rzekł po niejakiej chwili – jeśli ci zbywa na odwadze i męstwie, jeśliś niepewny ręki i oręża, lękaj się próg ten przestąpić i raczej powróćmy oba!

– Otwieraj te drzwi! – zawołał rycerz nieco przytłumionym głosem – otwieraj! Nie słabiej trzyma się męstwo mojej duszy jak ta klinga rękojeści. – To mówiąc, dobył miecza i potężnie uderzył w żelazny rygiel, który natychmiast upadł z łoskotem na ziemię. Karzeł zakręcił klucz w zamku, skrzypnęły zawiasy, rozwarły się podwoje i weszli do komnaty napełnionej trupami; jedne z nich leżały na ziemi, inne stały przy murach, niektóre już przegniłe, niektóre wyschłe i skościałe, a inne jeszcze świeże były. Wszystkie zaś młodych dziewic – każdej z nich głęboka rana rozdzierała piersi. Ten straszliwy widok zatrwożył zrazu Jordana, lecz wnet odzyskał przytomność i nagle odwracając się do karła:

– Czego chcesz ode mnie? – zawołał – czyś tu mnie na śmierć przyprowadził?

– Ciszej, ciszej! – odparł karzeł – niepotrzebnie gniewem się unosisz, budzisz te trupy; są to nieszczęśliwe ofiary Johanny z Gozdawy. Ale czas już położyć koniec okrucieństwom; dziś Johanna z rąk twoich śmierć zasłużoną odebrać powinna. Dowiedz się... że za kilka chwil, za godzinę może... Zbisława grób tu znajdzie dla siebie!

– Coś wyrzekł? – krzyknął Jordan – przebóg! byćże to może?... Lećmy!... spieszmy na pomoc! – pociągnął silnie za sobą karła.

– Wstrzymaj się, niebaczny! Jeszcze dość czasu; wstrzymaj się, powtarzam! Pod utratą życia przysięgam, że ocalisz Zbisławę, tylko się wstrzymaj! Jeśli pragniesz jej życia, nie czas jeszcze spieszyć z pomocą; zostań tu raczej i słuchaj mojej powieści – niedługo trwać będzie.

Wahał się jeszcze Jordan, dręczony niepewnością, co miał przedsięwziąć; ale wreszcie zaufał przysięgom karła i postanowił czekać sposobnej chwili ocalenia Zbisławy.

I usiadł karzeł wśród trupów, a rycerz stał przed nim, zmuszony słuchać przewodnika, ale twarz jego i spojrzenie płonęły całym ogniem wewnętrznej niecierpliwości.

III

– Umarł Mirosław z Gozdawy – zaczął Gonda z szyderczym uśmiechem – a jego trumnę, okrytą napisami i ozdobami pychy światowej, wpuszczono do grobu naddziadów. Została po nim młoda Johanna, można i bogata pani, ale okrutne jej serce raczej pod żelaznym pancerzem niźli pod rąbkiem niewieściego stroju bić powinnno. Świat nie miał zuchwalszej kobiety, czyny jej mnie samego często zadziwiały, nieraz nawet uwielbiać ją musiałem. Wzgardzony, lubiłem mścić się na rodzie ludzkim, toteż wkrótce ofiary Johanny stały się moimi. Ale zbliża się już czas i dla niej; chwil kilka, a wzgarda Gondy pomszczoną zostanie.

Wdzięki pani tego zamku mało równych zapewne liczą na świecie, a przecież nie zdobiły one przed laty Johanny; nie zbywało jej zaprawdę na kształtności rysów i wspaniałości postawy, ale płeć twarzy, nadzwyczaj śniada, niweczyła całą piękność. Lubiła potężna pani zgromadzać do domu swojego młode dziewice. W gronie tych znajdowała się Elżbieta, osierocona córka po wsławionym orężem Czehrynie z Hadzian. Czarowne jej wdzięki wielbiła cała okolica; zazdrośnym na to spoglądała okiem Johanna i przyszła jej myśl piekielna sprzątnąć ze świata Elżbietę. Ja wezwany byłem do spełnienia tych zamiarów. Ułożono daleką podróż, Elżbieta towarzyszyła swej pani. Na pierwszym noclegu związano dziewicę i sama Johanna męczyła ją różnymi sposobami. Wtem kropla krwi padła na jej twarz śniadą. Johanna, zbliżywszy się do srebrnego zwierciadła, obmywać ją zaczęła i zaraz potem postrzegłem dziwny rodzaj radości i zadowolenia w jej okrutnym spojrzeniu. Skinęła na mnie ręką, a zbliżywszy się, z niemałym zdumieniem ujrzałem, że miejsce, skąd krew otarła, bieliło się jak śnieg na górach. Johanna spojrzała na mój sztylet, lecz nim jeszcze słowo wyrzec mogła, już Elżbieta u nóg moich bez duszy leżała. Na ten widok całe wnętrze moje zadrżało, przecież wkrótce trwoga ustąpiła dzikiej radości. Przed chwilą z pogardą poglądała Elżbieta na obrzydłego karła, teraz martwa jej postać u nóg moich leżała. O! ty zapewne nie pojmujesz mojego uniesienia; ty nie jesteś karłem, ciebie świat nie odepchnął, ciebie przyrodzenie z łona swojego nie odtrąciło! Skorom cios śmiertelny zadał Elżbiecie, Johanna rzuciła się na ciało dziewczyny i w ciepłej krwi twarz swoją myła. Trzeba było widzieć jej radość, gdy zbliżywszy się do zwierciadła, nadzwyczajną białość płci ujrzała; ścisnęła mię za rękę i odtąd – złoto i łaski sypały się na karła.

Niedługo potem Johanna namiętnie pokochała Masława, księcia na Mazowszu, a wtenczas często już trzeba było powtarzać zbrodnicze kąpiele. Ginęły dziewice jedna po drugiej, a dzisiaj Zbisława ma polec!...

Na te słowa zadrżał młodzieniec, a karzeł, porywając go za rękę:

– Teraz czas i godzina zemsty – rzekł złośliwym głosem – wprowadzę cię, kiedy już twoją kochankę będą chcieli zamordować – szabla ją twoja uwolni; lecz przysięgnij mi wprzódy, że natychmiast zaprowadzisz ją do sali biesiadniczej i rzecz całą Masławowi opowiesz. Wysłucha on ochoczo, bo już od dawna pragnie zguby Johanny, aby jej państwem zawładnął.

– Przysięgam! – rzekł rycerz stłumionym głosem, bo zimno śmiertelne po żyłach się jego rozlało i siły osłabły. Otoczony śmiercią, zagrożony zgubą najdroższej sercu swemu istoty, musiał słuchać zbrodniarza i wolę jego wypełniać. Czul całą okropność swojego położenia, ale pamięć Zbisławy przemagała wszystko, i dobywszy miecza, poszedł za karłem.

– Wiem dobrze – rzekł ostatni – że śmierć Johanny będzie zgubą i mojego życia, że z nią razem odbiorę zasłużoną karę, ale i ta myśl, straszliwa innym, mnie radością dojmuje; już mi świat obrzydł i życie obmierzło; nie potrafią srószych wymyślić męczarni.

Wtem nagle zatrzymawszy się Gonda przy ścianie, żadnego wejścia nie mającej: – Teraz działajmy! – zawołał i pchnął gwóźdź silnie; odskoczyły małe drzwiczki, schody się ukazały, a Gonda, wbiegając na nie:

– Wybijaj pierwsze drzwi, które napotkasz! – rzekł do Jordana.

Już drzwi wybił Jordan i kilka trupów leżało u stóp jego, na ramieniu zemdlona opierała się Zbisława. Ocalił ją w chwili, kiedy już miała upaść pod ciosem zbrodniczego sztyletu.

– A teraz przysięga! – rzekł karzeł.

– Wypełnię ją! – odparł z wściekłością Jordan i porwawszy kochankę, biegł przez długi ciąg komnat, aż na koniec wszedł do sali, gdzie huczna odbywała się biesiada.

IV

Książę Masław, otoczony rycerstwem, siedział obok Johanny z Gozdawy, a dokoła na niższych krzesłach siedziały panie i dziewice jej dworu, uśmiechając się z przymileniem do wojowników, biesiadą i ich oczami zajętych. Przepych naczyń i sprzętów, blask lamp i pochodni czarujący dawał obraz i Johanna na łonie wesolego towarzystwa i najdzikszego w owych czasach księcia o swoich zapomniała zbrodniach. Na widok Zbisławy i Jordana pobladły jej lica, a oczy wściekłością się zaiskrzyły. Wydała krzyk straszliwy; wtem młody rycerz, wiodąc za rękę dziewicę, postąpił do Masława i oddawszy mu pokłon, prosił o wysłuchanie i sprawiedliwość.

– Przez pioruny i piekło – odparł Masław – zwykliśmy ją wymierzać różnymi sposobami. Sztylet, trucizna, szubienica, więzienie i kajdany w naszej są mocy – i cóż z tego do smaku przypada?...

Poznał rycerz zimną obojętność księcia i natchmiast, śmiałą przybrawszy postawę: – Masławie – rzekł donośnym głosem – słuchaj, a wyrok sam wyznaczysz! – I opowiedział wszystko, nie zważając na krzyki i mdłości Johanny. Masław mu też nie przerywał, cieszył się owszem w duchu, że wydarzyła się sposobność złupienia zamku gozdawskiego.

– A teraz ogłoś wyrok! – zawołał Jordan.

– Przez szatana i koniec świata, wymierzę ci sprawiedliwość, ale nie wprzódy, aż mi odstąpisz swoją dziewicę.

To mówiąc, powstał z miejsca Masław i zbliżywszy się do przerażonej Zbisławy, zarzucił na jej szyję stalą okryte ramiona; lecz go natychmiast odepchnęła silna ręka Jordana i szlachetny kochanek dobywszy tylekroć już doświadczonego oręża, wzniósł go nad głową księcia.

– Czy sądzisz, że do mojej sprawiedliwości należy pojedynek o dziewicę między książęciem i prostym rycerzem, między panującym a poddanym? – zawołał Masław z hucznym i szyderczym śmiechem. – O! nie!... Lecz ci pokażę, że umiem sądzić i wymierzać sprawiedliwość. Odstępujesz mi tę dziewczynę?...

– Pierwej sępy paść się twoim cielskiem będą – krzyknął rycerz. – Pierwej się ziemia rozstąpi i ten gmach zapadnie!...

– Że ten gmach się zapadnie, to nieźleś zgadł, mój junaku! – odparł z zimną krwią Masław – lecz o sępach i ziemi źle ci się udało. Pomyśl jeszcze przez chwilę, może co lepszego powiesz!...

– Szabla ci moja za mnie odpowie – krzyknął przywiedziony do ostateczności Jordan i uderzył silnie w pancerz księcia; lecz cięcie poszło płazem i Masław niewzruszony pozostał na miejscu.

– Uwięzić go – zawołał do swoich – mieć na baczności tego zuchwalca, żeby się nie wymknął!

Na te słowa rzucili się na Jordana rycerze i odebrawszy oręż, otoczyli go dokoła.

– A ty, piękna dziewczyno – zapytał Masław – chceszli być moją? Teraz jestem w niedostatku kochanki, bo ta – dodał wskazując na Johannę – zanadto krew lubi i kto wie, czyby kiedy nie zażądała i mojej...

– Kto?... ja? ja mam być twoją? – wołała przerywanym głosem Zbisława – nie!... nie!... ja pogardzam tobą!... precz!... precz ode mnie!

– A więc dobrze! nikogo przymuszać nie lubię. Rycerze! żołnierze! nasz to jest zamek: rabunek i łupież dozwolona; pamiętać przecież, że mi jedna część należy się jako wodzowi, druga jako księciu, trzecia jako waszemu panu i dobroczyńcy, a czwarta... czwarta wam daruję!

W mgnieniu oka zdarto kosztowne obicia i osłony okrywające komnaty; pozabierano drogie kobierce, naczynia, statki, pieniądze, klejnoty i wszystko inne, co było w gozdawskich murach.

– Teraz – rzekł Masław – przywiązać przed przedsionkiem do owych kamiennych słupów wszechwładną panię Gozdawy, tegoż rycerza, tę dziewicę, ha! i tego karła także, bo któż by usługiwał Johannie w podróży, w którą ją wysyłamy? Hej! dzieci! żwawiej do łuczywa i pochodni! niech wszystko ogień ogarnie! Tylkoż prędzej, prędzej! nie tak opieszale, bo i czwartą część zabiorę!... A teraz, Handzo z Budyszyna, i wy panowie – rzekł, obracając się do przybocznych wojowników – na konie i za mną!! Staniemy z daleka albo też lepiej z bliska, bobyśmy ich krzyków nie słyszeli.

Jordan nie utracił odwagi i szedł na śmierć z taką śmiałością, z jaką przed niedawnymi jeszcze czasami spotykał nieprzyjaciela. Bezbronny, otoczony siepaczami, prowadząc za rękę Zbisławę, zbliżał się do przeznaczonego sobie miejsca, kiedy książę siadł na konia, a uściskawszy czule kochankę: – Masławie – zawołał – przyjdzie czas i dla ciebie, i choć za późno, pożałujesz okrucieństw twoich!

Johanna i karzeł postępowali w milczeniu, ale na ich twarzach malowała się straszliwa bojaźń cierpień przyszłego żywota i godnych zbrodni udręczeń.

Zawarto bramy zamku, podłożone ognie dokoła gmach ogarnęły i płomień wzbił się do góry. Lecz nim ofiary uległy swemu przeznaczeniu, jeszcze raz Jordan uściskał Zbisławę:

– Musimy umrzeć – dodając ze wzruszeniem, nie bez stałości przecież – ale duchy nasze złączą się w niebie, a tam żadna przemoc ziemska rozdzielić nas nie potrafi! Żegnam cię, o luba! niedługo obaczymy się znowu! – Uściskała go nawzajem Zbisława, chciała także coś wyrzec, ale żołnierze rozstać się im kazali.

Gonda, przywiązany do słupa, z dzikością poglądał na Johannę z Gozdawy, a gdy już ogień przedsionki obejmować zaczął: – Ha! ha! – zawołał piekielnym głosem – jak się świetnie pani moja w płomieniach wydaje. Na szatana! płeć jej od lilii bledsza! szkoda, że ją dym okopci!... Krwi trochę! krwi trochę!... – te były ostatnie jego słowa. Już wszyscy stali się pastwą płomieni.

Gdy ta okropna scena w zamku się odbywała, Masław, Handzo z Budyszyna i inni rycerze, stojąc u stóp wzgórza gozdawskiego, przypatrywali się ogniowi. Aż wreszcie ogień przygasł: – Przez pioruny i piekła – zawołał Masław – czas by się przespać; jużeśmy długo biesiadowali, a dobre miała wino Johanna... – I to mówiąc, spiął konia ostrogą i pojechał gościńcem ku wiosce prowadzącym – a za nim rycerze.

Przedstawiliśmy Państwu mało znany młodzieńczy utwór Zygmunta Krasińskiego. Opowiadanie *Mściwy karzeł i Masław, książę mazowiecki* powstało w latach 1828–1829 (autor miał 16 lat) w Warszawie i opublikowane zostało bezimiennie w czasopiśmie „Pamiętnik dla Płci Pięknej" w 1830 roku.

Według Józefa Kallenbacha źródłem, z którego Zygmunt Krasiński zaczerpnął osnowę utworu, była wzmianka w „Dzienniku Warszawskim" w 1826 roku o dziejach „*zamku węgierskiego Kseith*". Bohaterką była Elżbieta Batorówna, synowica Stefana Batorego, żona księcia Franciszka Nádasdy, która zasłynęła wyjątkowym okrucieństwem. Krasiński zmienił nazwy miejscowości, osoby i ich narodowości, umieszczając akcję w okolicach Opinogóry, w nie istniejącym zamku. Utwór napisany został w konwencji modnych w romantyzmie „opowieści grozy".

Warto, czytając to opowiadanie, uświadomić sobie, iż pisał je młodziutki poeta, który nie przeczuwał, że już niebawem jego życie przeistoczy się tak tragicznie – będzie mogło stać się tematem swoistej „powieści grozy".

Urodzony w Paryżu w 1812 roku, jedyny syn arystokratycznych rodziców, o których pozycji i ambicjach świadczyło między innymi to, że na ojca chrzestnego swojego jedynaka wybrali Napoleona (imię cesarza nosił jako drugie po imieniu Zygmunt), niezwykle zdolny, ale wątłego zdrowia i chyba charakteru z biegiem lat stał się ofiarą uwielbianego ojca.

Generał Wincenty Krasiński w czasie sądu sejmowego nad oskarżonymi o współdziałanie z dekabrystami stanął przeciwko opinii całego narodu – jedyny głosował za wyrokiem skazującym. A kiedy umarł przewodniczący tego sądu, senator Bieliński, i jego pogrzeb nabrał znaczenia manifestacji patriotycznej – generał nakazał synowi złamać solidarność z kolegami i pójść na wykłady. Następstwem było czynne znieważenie Zygmunta przez studentów i wydalenie go z uniwersytetu. Od tego czasu przebywał głównie zagranicą. Wydarzenie to stało się nie zapomnianą do końca życia tragedią.

Feliks Kiryk

Żywoty królów

MIESZKO I

„On w ogóle był pierwszym i najdostojniejszym z królów; przez niego w ojczyźnie zajaśniał blask nowej gwiazdy"

Z kroniki Mistrza Wincentego

Dwie magiczne siódemki wywarły, zdaniem średniowiecznego kronikarza, wpływ na lata dziecięce i młodzieńcze oraz początki wieku dojrzałego Mieszka I: trwająca przez siedem lat ślepota chłopca, który następnie cudownie przejrzał, oraz siedem nałożnic, z którymi żył do czasu przyjęcia chrztu, jako uosobienie siedmiu grzechów głównych. Zaangażowanie sił nadprzyrodzonych towarzyszyło dalszej jego działalności politycznej, a przede wszystkim chrystianizacyjnej, gdyż on właśnie *„chrztem świętym zmył plamę grzechu pierworodnego"*. Przez wiele stuleci tworzyła się wokół postaci Mieszka I, powstająca na gruncie wyobrażeń chrześcijańskich, aureola ideologiczna, odbijająca naturalność hierarchicznego porządku feudalnego i ideę odwiecznej dynastii.

Tej dynastii był Mieszko czwartym (nie licząc Piasta — kołodzieja) i do końca dni swoich najznakomitszym reprezentantem, synem Siemomysła, a bratem Czcibora i kilkorga innych zapewne z rodzeństwa, nie znanych nam jednak z imienia. Domyślać się można, że on właśnie został naznaczony przez ojca na następcę, ale czy na pewno był synem pierworodnym, tego także nie da się ustalić.

Wizerunki sylwetki Mieszka I na dinarach z 980–992 r., poświadczają wprawdzie początki gospodarki pieniężnej w Polsce X w., nie oddają jednak jego naturalnej postaci. O wyglądzie zewnętrznym tego władcy nie da się powiedzieć nic pewnego także po odsłonięciu przed ćwierćwieczem w katedrze poznańskiej jego grobowca, gdyż zgłoszono poważne wątpliwości co do tego, że zawiera on istotnie Mieszkowe doczesne szczątki. A jednak postać ta fascynowała pokolenia twórców, nie tylko pisarzy, lecz także plastyków i to od XVI-wiecznych rytowników do malarzy i rzeźbiarzy współczesnych. Jest przy tym oczywiste, że inspiracją do podejmowania wielu prac malarskich, rzeźbiarskich i literackich, były nie rysy Mieszkowej twarzy i wygląd całej postaci, lecz jego rozległa działalność państwowotwórcza. Początki jej sięgają przynajmniej lat pięćdziesiątych X w., kiedy Mieszko osiągnął wiek sprawny, a może nawet przeżył pierwsze lata dojrzałe: czas jego narodzin zamykają bowiem lata 920–940, a domniemane rozpoczęcie rządów przypada na 960 r.

Trzy ważne wydarzenia wprowadziły Mieszka na karty zachowanych do naszych czasów roczników oraz kronik, rozpoczynających lepiej znany rozdział jego życia i działalności. Są to prowadzone przezeń przed 965 r. walki z przebywającym u słowiańskich Redarów za Odrą banitą saskim Wichmanem, następnie (965) ożenek z Dąbrówką (Dobrawą) i związana z nim chrystianizacja (966). Nic dziwnego, że napisano o nich wiele uczonych rozpraw i że weszły na stałe do podręczników historii.

Pozostając nadal przy wątkach osobistych Mieszka przywołajmy kronikarski opis z drugiego dziesięciolecia XI w. pióra Thietmara jego zaślubin z księżniczką czeską: *„W czeskiej krainie pojął on za żonę szlachetną siostrę Bolesława Starszego* (czyli Bolesława II), *która okazała się w rzeczywistości taką, jak brzmiało jej imię. Nazywała się po słowiańsku Dobrawa, co w języku niemieckim wykłada się: dobra... Pracowała więc nad nawróceniem swego małżonka..., który... pozbył się na ustawiczne namowy swej ukochanej małżonki jadu przyrodzonego pogaństwa... I natychmiast w ślad za głową i swoim umiłowanym władcą poszły ułomne członki spośród ludu i w szatę godową przywdziane, w poczet synów Chrystusowych zostały zaliczone"*.

Ale pochlebna opinia kronikarza o Dąbrówce, patrzącego na nią przez pryzmat chrystianizacji Polski, nie powinna zakrywać faktu, że jej małżeństwo z Mieszkiem było wyrazem – jak większość małżeństw władców w średniowieczu – obopólnych kalkukacji politycznych, a nie wykładnikiem uczucia. Wiadomo bowiem na pewno, że Mieszko wówczas był już człowiekiem niemłodym, żyjącym od lat w wielożeństwie, a więc i posiadającym niezawodnie jakieś potomstwo. Pewne jest również, że i Dąbrówka w chwili ślubu z Mieszkiem nie była pierwszej młodości, skoro niechętny jej kronikarz czeski Kosmas uznał za wysoce pretensjonalne nałożenie w dniu uroczystości ślubnych przez nią wianka na głowę, czym miała się narazić na ogólny śmiech uczestników wesela. Ile w tym plotki i niechęci, nie dowiemy się zapewne nigdy. Nadmienić tu wypada jednak o tym, że w średniowieczu (kiedy życie pokolenia trwało przeciętnie 30 lat) patrzono na wiek kobiet i mężczyzn zgoła inaczej niż w czasach dzisiejszych, oraz o tym, że rodzić dzieci mogła kobieta zdrowa i niezbyt stara. Dąbrówka, która zmarła w 977 r., dała Mieszkowi I syna Bolesława (Chrobrego) oraz dwie córki, z których jedna to Świętosława (lub Sygryda, Storrada, późniejsza małżonka kolejno królów Eryka szwedzkiego i Swena Widłobrodego duńskiego) oraz druga, nieznana z imienia, poślubiona potem przez któregoś z książąt zachodniopomorskich. Wdowieństwo Mieszka nie trwało długo, gdyż przed 980 r. był już żonaty z Odą, córką margrabiego Dytryka z Marchii Północnej. Poślubienie jej przez polskiego księcia posiada wątek osobliwy. Oda była mniszką w klasztorze Kalbe nad rzeką Muldą, skąd została ściągnięta – mimo ostrego protestu biskupów niemieckich – i oddana Mieszkowi za żonę. Było to znowu małżeństwo polityczne. Jego geneza nie jest dostatecznie jasna. Ale wybór kandydatki na żonę nie był z pewnością przypadkowy. To jednak, że dotyczył zakonnicy, którą nie bez

trudności przywrócono życiu świeckiemu, świadczy bez wątpienia, że Mieszko poznał margrabiankę przed przyobleczeniem przez nią sukien zakonnych i dostrzegł w niej kobietę atrakcyjną. Nie ma podstaw do przypuszczenia także, iż Odę do tego małżeństwa przymuszono, mimo że zdaniem kronikarza niemieckiego (znającego prawdopodobnie Odę osobiście) – *„wielka była jej przewina. Albowiem wzgardziła boskim oblubieńcem, dając pierwszeństwo przed nim człowiekowi wojny...”* Ujawnia to przychylność margrabianki w habicie dla Mieszkowych planów matrymonialnych. Małżeństwo okazało się zresztą szczęśliwe, a Oda żyła w nowej ojczyźnie *„w wielkich łaskach aż do śmierci swego męża”*. Urodziła mu trzech synów: Mieszka, Świętopełka i Lamberta.

Jakie było Mieszkowe państwo? Czy już wówczas istniała Polska? Odpowiedzi na te ważne pytania nastręczały od dawna wiele trudności, a i dzisiaj nie należą do łatwych. Godzi się jednak zaznaczyć, że Mieszko u progu swoich rządów posiadał (965) zaledwie kraj Polan, czyli Wielkopolskę z głównymi grodami w Gnieźnie i Poznaniu, następnie Kujawy i Mazowsze oraz Pomorze nadwiślańskie. Dopiero w wyniku uporczywych wojen zdołał przesunąć granice swoich dzierżaw nad Odrę, przyłączając najpierw ziemię lubuską i Pomorze Zachodnie, a następnie – już pod koniec życia – Małopolskę i Śląsk. Z władcy państwa polańskiego stał się księciem obszernego państwa polskiego, grupującego plemiona lechickie, należące do gałęzi Słowian Zachodnich, a opartego na północy o Bałtyk; na południu o Karpaty i Sudety, wreszcie o linie Odry i Nysy na zachodzie oraz Bugu na wschodzie. Kształt terytorialny tego państwa był zbliżony do Polski dzisiejszej.

Ale ziemie polskie przed tysiącem lat poddają się naszej wyobraźni z ogromnym trudem. Był to kraj niezmierzonych i dziewiczych puszcz i borów, rozlewisk i bagien oraz z rzadka pól uprawnych. Był to kraj olbrzymich możliwości osadniczych, lecz zaludniony na razie bardzo słabo. Niełatwo to uzmysłowić sobie dzisiaj, ale w czasach Mieszka I był on zasiedlony przez niespełna półtora miliona ludzi, mniej więcej tyle, ile zamieszkuje dzisiaj w Warszawie. Mieszkańcy Polski Mieszkowej żyli jednak w niewielkich skupiskach rodowych i trudnili się uprawą roli, hodowlą oraz rybołówstwem i myślistwem, byli ludzmi wolnymi, o dużym poczuciu swobód osobistych i przywiązania do regionalnych tradycji, wyrosłych na podglebiu kultu własnych bóstw i świętych miejsc. To prawda, że zarządzanie takim państwem nie wymagało rozbudowanego aparatu władzy, ale nie można zapominać, że było bardzo uciążliwe. Przetarte szlaki lądowe należały do rzadkości, zaś z naturalnych dróg wodnych nie wszędzie i nie o każdej porze można było skorzystać. Była to główna, ale nie jedyna przecież trudność w sprawowaniu władzy w imieniu księcia. Istniała pilna potrzeba zespolenia podbitych terytoriów w jedną państwową całość i poddania zamieszkującej je ludności władzy centralnej. Siła wojskowa, jaką rozporządzał Mieszko, nie mogła tej integracji zapewnić na stałe. Ale Mieszko i jego doradcy znaleźli rozwiązania. Było nim zaszczepienie i ugruntowanie w Polsce chrześcijaństwa, jako ideologii tworzącego się państwa feudalnego.

Doniosły w skutkach chrzest Polski wprowadzał do kraju wyznanie rzymskokatolickie, narzucone ludności systematycznie i bezwzględnie przez aparat państwowy, niszczący stojące w świętych miejscach bóstwa pogańskie i budujący na ich miejscu świątynie katolickie. Chrystianizacja nie mogła ogarnąć od razu całego kraju. Była procesem powolnym, obejmującym najpierw tylko dwór księcia i jego urzędników oraz podległą mu drużynę, a pierwsze kaplice i kościoły lokalizowano w ogrodach (i tych nielicznych osadach otwartych), które były bronione przez książęcą siłę zbrojną. Wywołała przemiany nie tylko w życiu duchowym społeczeństwa, lecz także politycznym, społecznym i kulturalnym, a które musiały trwać długo, nie bez gwałtownych spięć i nawrotów do dawnej religii, likwidowanych zresztą energicznie i twardo przez zastępy zbrojnych książęcych. Pokutujące w dawnych podręcznikach historii ojczystej stwierdzenia, że Mieszko przyjął chrzest wraz z całym narodem, są naiwne i nieprawdziwe. Był to zabieg polityczny, przemyślany przez księcia i jego najbliższe otoczenie, bez liczenia się z opinią społeczną. Decyzja chrystianizacji kraju mogła wyjść zatem tylko od władcy państwa silnego, dysponującego rozbudowanym i zwartym aparatem państwowym, zdolnego do narzucenia społeczeństwu swojej woli. Dopiero później utrwaliła się (nie bez udziału naszych kronikarzy) legenda o spontanicznej i dobrowolnej gotowości mieszkańców Polski do przyjęcia nowej wiary.

Gdybyśmy nie wiedzieli o Mieszku nic więcej ponad to, że doprowadził do chrystianizacji w swoim państwie, to i tak zasługiwałby na trwałe miejsce w historii kraju. Zapewniłoby mu je bowiem wprowadzenie Polski w orbitę wpływów politycznych i gospodarczych Zachodu, a przede wszystkim w łaciński krąg kulturalny. Była to więc decyzja o skutkach zasadniczych dla naszych dziejów, wpływająca na kształtowanie się mentalności naszego społeczeństwa, jego przynależności do rodziny narodów, wywierających od X wieku istotny wpływ na polityczny i kulturalny kształt Europy Środkowej. Wybierając Kościół Rzymskokatolicki zdecydował o tym, że Polska nie weszła w krąg kultury bizantyjskiej, tak jak Ruś i znaczniejsza część Słowian Południowych, którzy zostali schrystianizowani za pośrednictwem Cesarstwa Wschodniego. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że istnieją ślady zaszczepienia na ziemiach Polski Południowej chrześcijaństwa greckiego w obrządku słowiańskim, przypadające na czasy przedmieszkowe, a więc pewnej tradycji związków części mieszkańców naszego kraju z Bizancjum.

Dociekaniom uczonych pozostawiamy ciągle niejasny problem, gdzie i kiedy ochrzcił się Mieszko. Stwierdzimy jedynie, że zdawano sobie sprawę z samego wydarzenia. Ponieważ książęta słowiańscy, a nawet wojewodowie plemienni, przyjmowali chrzest zwykle na terytorium państwa chrześcijańskiego, udzielającego chrztu i to w obecności jego władcy oraz otaczających go dostojników – wydarzeniu takiemu nadawano rozgłos międzynarodowy. Samo wydarzenie, któremu zapewniono oprawę uroczystą, miało miejsce – według świadectwa dobrze poinformowanego kronikarza – już w trakcie pożycia małżeńskiego Mieszka z Dąbrówką, a więc nie w 965, lecz raczej w 966 r., prawdopodobnie w przypadający na 14 kwietnia dzień Wielkiejnocy.

Chrzest Mieszka i jego najbliższego otoczenia, pociągający stopniową chrystianizację kraju, zyskał niewątpliwie poparcie kurii rzymskiej, zainteresowanej rozwojem chrześcijaństwa wśród ludów Europy Środkowej i Wschodniej. Papiestwu zawdzięczał Mieszko zgodę na utworzenie w jego kraju odrębnej od biskupstw niemieckich organizacji kościelnej. Zdaje się, że znamy nawet konkretną postać, zabiegającą na dworze papieskim o załatwienie polskich spraw kościelnych. Wskazuje się bowiem na pobyt w Rzymie w latach 965–967 siostry Dąbrówki, księżniczki czeskiej o imieniu Mlada, która przyjęła wkrótce święcenia zakonne i stanęła na czele opactwa benedyktynek w Pradze. Osiągnięciem polskiego księcia było w każdym razie przybycie w 968 r. do Polski biskupa Jordana w charakterze biskupa misyjnego oraz znacznego zastępu duchowieństwa. Jakkolwiek nie rozstrzygnięto dotąd sporu o pochodzeniu biskupa Jordana i towarzyszących mu misjonarzy, pewne

pozostaje to, że nie był on na usługach biskupów niemieckich na terenach słowiańskich, które kuria rzymska wolała trzymać w bezpośredniej zależności od siebie.

Powstało więc podległe tylko papiestwu biskupstwo misyjne, którego siedzibą było zrazu zapewne Gniezno, a później Poznań, skoro wiadomo, że następca Jordana, biskup Unger, rezydował właśnie w grodzie Przemysława. Umocnienie się kościoła w Polsce zależało jednak od dalszych postępów chrystianizacji i powołania nie tylko kolejnych biskupów, lecz przede wszystkim metropolii, gwarantującej faktyczną autonomię polskiej organizacji kościelnej. Powstałe w 968 r. niemieckie arcybiskupstwo w Magdeburgu, nastawione na akcję misyjną w krajach Słowian Zachodnich i na podporządkowanie sobie Kościoła polskiego, zagroziło rychło tej odrębności. Niedaleka przyszłość pokazała, że owo niebezpieczeństwo ze strony Magdeburga było realne. Ono właśnie zmusiło Mieszka do polityki obrony niezawisłości polskiej organizacji kościelnej przed rozszerzeniem wpływów wysuniętej na wschód niemieckiej metropolii. Oparcie dla owej polityki widział w kurii rzymskiej, z którą utrzymywał zawsze przyjazne kontakty, a pod koniec życia oddał swoje dzierżawy nawet pod protekcję papieską.

Polityka zagraniczna Mieszka, o ile możemy ją poznać z nielicznych i najczęściej lakonicznych materiałów źródłowych, wystawia mu świadectwo męża stanu wielkiego formatu. Obserwujemy ją przez pryzmat stosunków polsko-niemieckich, co daje z pewnością skrzywiony, a w każdym razie nieco jednostajny, obraz jego działalności dyplomatycznej i wojskowej. Nie da się jednak zaprzeczyć, że on właśnie wkroczył odważnie w sferę wpływów niemieckich za Odrę, zajmując ziemię lubuską i uzyskując – wbrew interesom walczących ze Słowianami Zachodnimi przygranicznych margrabiów niemieckich – jej potwierdzenie w zamian za trybut przez zajętego sprawami włoskimi cesarza Ottona I. Umiał też bronić skutecznie swoich zdobyczy terytorialnych. Kiedy umacnianiu władztwa polskiego na Pomorzu Zachodnim chciał przeszkodzić margrabia łużycki Hodo i wyprawił się w tym celu na prawy brzeg Odry w 972 r., został rozbity doszczętnie pod Cedynią przez Mieszkowego brata Czcibora. W roku następnym poparł Mieszko skutecznie Henryka Kłótnika, księcia bawarskiego, występującego przeciw obejmującemu tron niemiecki Ottonowi II, nie obawiając się zbytnio zemsty cesarskiej. Nie zostało mu to zapomniane. W 979 r. bowiem usiłował Otto II okiełzać krnąbrnego księcia polskiego zza Odry, ale prowadzona przezeń ekspedycja wojenna doznała sromotnej klęski, zmuszając stronę niemiecką do przyjęcia Mieszkowych warunków pokojowych, w tym oddania mu za żonę (o czym już mówiliśmy) Ody, córki margrabiego Teoforyka. Mieszko zwolnił wówczas wielu wziętych do niewoli jeńców. W 983 r. poparł powstanie usadowionych między dolną Łabą i Odrą słowiańskich Wieletów, którzy wystąpili przeciw Niemcom oraz wmieszał się skutecznie, po niespodziewanej śmierci cesarza, w stosunki wewnątrzniemieckie, jako znowu stronnik Henryka Bawarskiego, przeciwdziałając objęciu tronu cesarskiego przez młodocianego Ottona III. Ale poparcie dla stronnictwa bawarskiego nie było niezmiennym kanonem polityki Mieszka wobec Niemiec, podobnie zresztą jak i wspomaganie Wieletów. Już w 984 r. nawiązał przyjazny kontakt ze sprawującą w Niemczech regencję matką Ottona III, cesarzową Teophano i przyłączył się do cesarskich wypraw wojennych przeciw Wieletom, zorganizowanych i przeprowadzonych w 985 oraz 986 r. Podczas drugiej kampanii zetknął się z Ottonem III, którego zjednał sobie licznymi darami (m.in. wielbłądem), zawierając z nim przymierze i zobowiązując się do trybutu z nie znanego nam bliżej terytorium przy zachodniej granicy państwa. Pomyślne wyniki wojny z Wieletami oraz przychylność cesarza zapewniły bezpieczeństwo granic zachodnich Mieszkowych dzierżaw, sojusz z królem Erykiem szwedzkim (żonatym ze Świętosławą, córką księcia polskiego) – ujście Odry i Wisły, zaś małżeństwo syna Bolesława z księżniczką węgierską zapewniło mu przymierze z Węgrami. Ujawnia to wielki talent dyplomatyczny księcia polskiego i zdradza konsekwentnie realizowany plan terytorialnej budowy państwa. Zabezpieczony w system sojuszów, uderzył jako stronnik cesarza na pozostające w konflikcie zbrojnym z Niemcami Czechy i w latach 989–990 włączył do swego władztwa ziemie Polski południowej, tj. Małopolskę oraz Śląsk, które powierzył – jak przyjmują historycy – swojemu synowi Bolesławowi.

Resztę swoich dzierżaw starał się przekazać przed śmiercią małoletnim synom z drugiego małżeństwa, oddając dzieci oraz ich matkę Odę w opiekę papieżowi. Sporządzony z tej okazji ok. 991 r. (lecz zachowany tylko w późniejszym i skażonym streszczeniu) akt, miał zabezpieczyć ich przed, niechętnym macosze i braciom przyrodnim, najstarszym synem Bolesławem. Obawy te okazały się rychło uzasadnione.

Skupiając pod swoim panowaniem Wielkopolskę, Pomorze, Mazowsze, Małopolskę i Śląsk, które były macierzystymi siedzibami tworzącego się narodu polskiego, i nadając tym krainom jednolitą organizację wewnętrzną, stał się Mieszko twórcą państwa polskiego i takim przeszedł do świadomości następujących po sobie pokoleń Polaków. Zaszczepił w swym państwie chrześcijaństwo, które stało się rychło, mimo prób nawrotów do religii pogańskiej, panującą i integrującą wewnętrznie mieszkańców Polski ideologią ogólnopaństwową, wpływającą na rozwój kulturalny kraju. Zasługą Mieszka było także stworzenie wewnętrznej organizacji państwa w oparciu o dawne grody plemienne i budowane nowe centra terenowej władzy politycznej i administracyjnej, zawiadywane przez wiernych władcy urzędników. Z jego czasów pochodzą wielkie, wznoszone wysiłkiem ludności chłopskiej grody państwowe w Gnieźnie, Poznaniu i Sanoku, w Wilnie, Kołobrzegu i Gdańsku czy Niemczy, Opolu i Wrocławiu oraz silne umocnienia na zachodniej granicy państwa, jak np. tzw. Wały Śląskie. Zasoby wielkiego państwa, jakie mozolnie budował, pochodziły przeważnie od uprawiającej ziemię ludności, którą zmuszano do świadczeń na rzecz księcia w rozmaitych płodach rolnych i hodowlanych oraz produktach rękodzielniczych, a także z własnych gospodarstw książęcych, opartych na pracy ludności niewolniczej, najczęściej jenieckiej. Rozwój tego państwa zwielokrotniał potrzeby władcy i jego urzędników, uposażenia wymagało także rosnące w liczbę duchowieństwo oraz drużyna książęca, licząca na początku rządów Mieszka trzy tysiące zbrojnych. Wszystko to wymagało sprężystej organizacji wewnętrznej.

Potomni nazwali Mieszka I słusznie budowniczym państwa polskiego. Był czynny do ostatnich dni swojego życia, skoro jeszcze w 991 i 992 r. brał udział w zdobywaniu grodów wieleckich. Starość, którą podtrzymywało poczucie ogromnej pracy państwowotwórczej i szacunek poddanych, mogła zamącać tylko myśl co do losów drugiej żony i urodzonych przez nią trzech synów. Wiedział, że nie cierpiał ich Bolesław, syn pierworodny i następca. Zmarł 25 maja 992 r. jako *„człowiek sędziwy i gorączką zmorzony"*, pochowany został – według przekazu z XIV w. – w katedrze poznańskiej.

Fragmenty książki przygotowywanej do druku przez Oddział KAW w Krakowie

Mark Twain

LITERATURA O WSPANIAŁOMYŚLNYCH UCZYNKACH



Przez całe moje życie, począwszy od dzieciństwa, nie opuszczał mnie nałóg czytania znanego zbioru umoralniających opowiadań, skreślonach piórem znakomitego, wszechświatowej sławy bajkopisarza. Czytałem je bądź gwoli nauce, bądź przyjemności, którą mi sprawiały. Zbiór tych opowiadań zawsze leżał u mnie pod ręką i zawsze, ilekroć poczynałem źle myśleć o rodzaju ludzkim, zwracałem się do niego, a on wnet rozpraszał moje mizantropijne skłonności. Za każdym razem, gdy przyłapywałem się na uczuciach egoizmu, zazdrości, złośliwości, brałem je do ręki, a one podpowiadały mi, co trzeba czynić, by odegnać od siebie jak najdalej te brzydkie przywary. I wielekroć żałowałem, że te wspaniałe opowiadania urywały się z reguły na jakimś szczęśliwym zdarzeniu, nie kontynuując historii poszczególnych bohaterów, poprzestając jedynie na wyliczaniu coraz to nowych czynów dobrych i szlachetnych. Pragnienie to rozrastało się w duszy mojej z takim uporem, że wreszcie postanowiłem zaspokoić je wymyślając dalszy ciąg tych opowiadań. Zabrałem się tedy do rzeczy i po wielu trudach i nader męczących studiach spełniłem swoje zadanie. Oto rezultaty mych wysiłków: dwie anegdoty uzupełnione dalszym ciągiem, który zdołałem dorobić dzięki mozolnej pracy.



Zdarzyło się raz, że miłosierny lekarz (lubiący czytać książki) znalazł chorego, bezdomnego pudla ze złamaną łapą. Przyprowadził tedy biedne stworzenie do siebie, po czym, zestawiwszy kość i nałożywszy bandaż na uszkodzoną kończynę, przywrócił malemu włóczędze wolność i przestał myśleć o tym wypadku. Ale jakiez było jego zdumienie, kiedy w kilka dni później, otwierając drzwi, ujrzał szlachetnego pudla, cierpliwie czekającego nań w towarzystwie innego psa włóczęgi, który wskutek nieszczęśliwego wypadku miał też złamaną łapę. Dobry lekarz niezwłocznie przyniósł ulgę cierpieniom biednego stworzenia, chyląc przy tym głowę przed niewypowiedzianą łaską i miłosierdziem Boga, który obrał sobie tak niepozorne narzędzie jak biednego, bezdomnego pudla po to, aby obudzić etc., etc., etc. ...

Ciąg dalszy



Nazajutrz miłosierny lekarz zastał oba psy około swych drzwi. Pełne wdzięczności oczekiwały jego wyjścia, a obok nich zauważył dwóch dalszych psich inwalidów. I te kaleki zostały wnet wyleczone, po czym wszystkie cztery psy wyniosły się w świat, pozostawiając miłosiernego lekarza bardziej niż kiedykolwiek wzruszonego i przepełnionego dziękczynnym zdumieniem. Minął dzień, nastał ranek. Koło drzwi siedziały już cztery opatrzone psy, a obok nich jeszcze cztery spragnione opatrunku. Minął i ten dzień i nastał nowy, a oto już szesnaście psów, a pośród nich osiem nowych kalek, zajmowało trotuar przed jego domem, zaś przechodnie musieli je omijać. W południe wszystkie złamane łapy zostały obandażowane, ale dziękczynne zdumienie w duszy miłosiernego lekarza poczęło mieszać się z uczuciami o charakterze zupełnie innym, znacznie mniej cnotliwym.

Raz jeszcze wzeszło słońce i rzuciło swe blaski na trzydzieści dwa psy – wśród nich szesnaście z połamanymi łapami – zajmujące cały trotuar i połowę jezdni; dwunodzy widzowie zajmowali resztę przestrzeni. Jęk rannych, radosne szczekanie uleczonych zwierząt oraz komentarze obecnych obywateli zlewały się w chór głośny i podniosły. Ruch na tej ulicy ustał. Dobry lekarz wziął sobie do pomocy kilku chirurgów i jeszcze przed świtem zdołał ukończyć swoją filantropijną pracę, wszelako gwoli ostrożności wystąpił poprzednio z grona członków towarzystwa kościelnego, aby mieć możność wyrażania się z całą swobodą wymaganą przez okoliczności. Ale wszystko na świecie ma kres. Kiedy znowu zaświtał ranek i dobry lekarz, wyjrzawszy oknem, ujrzał zwarty, ogromny, ciągnący się hen w dal tłum psów wyjących błagalnie, wówczas rzekł:



– Muszę wyznać, że ogłupiły mnie książki; opowiadają one tylko o pierwszej przyjemnej części historii, o reszcie zaś milczą. Podaj no mi fuzję, sprawa zaszła zbyt daleko.

Wyszedł z fuzją, lecz podczas tego niechcący nastąpił na ogon pudlowi z prawdziwej opowieści i pudel czym prędzej ukąsił go w nogę, ponieważ był wściekły. Wielka bowiem i podniosła sprawa, której oddawał się ten pudel, przyprawiła go o tak silny, niezwykły entuzjazm, że w słabym łbie psim zawirowało wszystko i stąd wścieklizna. W miesiąc potem litościwy lekarz konał w mękach wodowstrętu, a przywoławszy swych płaczących przyjaciół, tymi słowy odezwał się do nich:

– Strzeżcie się książek. Ukazują one tylko połowę historii. Jeśli kiedykolwiek jaki biedny kaleka poprosi was o pomoc, a wy będziecie mieli wątpliwości co do rezultatów, jakie może mieć wasz dobry uczynek, to zachowajcie swe wątpliwości dla siebie, a proszącego o pomoc – raczej zabijcie.

Z tymi słowy obrócił się twarzą ku ścianie i wydał ostatnie tchnienie.

Życzliwy pisarz



Pewien biedny, młody, początkujący literat daremnie dobijał się o przyjęcie do druku swych rękopisów. Wreszcie, kiedy widmo śmierci głodowej zajrzało mu w oczy, opowiedział o swym smętnym położeniu pewnemu znakomitemu pisarzowi błagając go o radę i poparcie. Ten wspaniałomyślny człowiek bezzwłocznie odłożył swe sprawy na bok i zabrał się do czytania odrzuconych rękopisów. Skończywszy uścisnął serdecznie dłoń młodzieńcowi i rzekł:

– Znalazłem tu pewne wartościowe rzeczy, niech pan zajdzie do mnie jeszcze raz w poniedziałek.

O oznaczonej godzinie pisarz ze słodkim uśmiechem, nie mówiąc ani słowa, rozłożył przed młodzianem jeszcze wilgotny od drukarskiej farby tygodnik. Jakież było zdumienie młodzieńca, gdy ujrzał na zadrukowanej stronie swój własny utwór.

– Czy zdołam kiedykolwiek – zawołał padając na kolana i zalewając się łzami – podziękować panu za ten wspaniały uczynek.

Znakomitym pisarzem był sławny Snodgrass, a owym biednym początkującym literatem, ocalonym w ten sposób od śmierci głodowej i całkowitego zapoznania, równie znakomity w przyszłości Snegsbay.

Niechajże ten podniosły wypadek skłoni was do wysłuchania każdego początkującego literata, który potrzebuje pomocy.

Ciąg dalszy

Na przyszły tydzień Snegsbay ukazał się z pięcioma odrzuconymi rękopisami. Znakomity pisarz był tym nieco zdumiony, ponieważ ubiegający się o sławę literacką młodzieńcy proszą o pomoc, jak się wydaje, tylko raz. Pomimo to przerobił starannie te utwory, usunąwszy zbędne kwiatki i wypełłszy kilka zagonów niestosownych przymiotników, po czym udało mu się uzyskać to, że dwa utwory zostały przyjęte do druku.

Minął dalszy tydzień i wdzięczny Snegsbay przybył z nowym towarem. Znakomity pisarz doznał był za pierwszym razem, gdy pomógł biednemu debiutantowi, uczucia najwyższej satysfakcji moralnej i z dumą przyrównywał się do wielkodusznych bohaterów, o których czytał w książkach. Teraz atoli począł podejrzewać, że w dziedzinie szlachetnych epizodów natknął się na coś całkiem nowego. Tu entuzjazm jego ostygł nieco. Ale pomimo wszystko nie był w stanie odepchnąć pracowitego młodego pisarza, który uczepił się go z tak wzruszającą prostotą i zaufaniem.

I oto wreszcie pokazało się, że znakomity autor zaczął zupełnie tracić siły pod ciężarem biednego początkującego pisarza. Wszystkie jego łagodne wysiłki, zmierzające do zrzucenia z siebie tego ciężaru, nie doprowadziły go niczego. Musiał co dzień udzielać rad, co dzień musiał zachęcać; zmuszony był bezustannie przerabiać utwory swego młodego przyjaciela, by je można było zaproponować redaktorom. Kiedy zaś młody poszukiwacz sławy wypłynął wreszcie na powierzchnię, zdobył od razu niezwykłą popularność, opisując prywatne życie znakomitego pisarza z tak niepowszednim humorem, z tak dokładnymi zjadliwymi szczegółami, że książka rozeszła się w zdumiewającej liczbie egzemplarzy, a serce znakomitego pisarza pękło z urazy. Wydając ostatnie tchnienie wyszeptał:

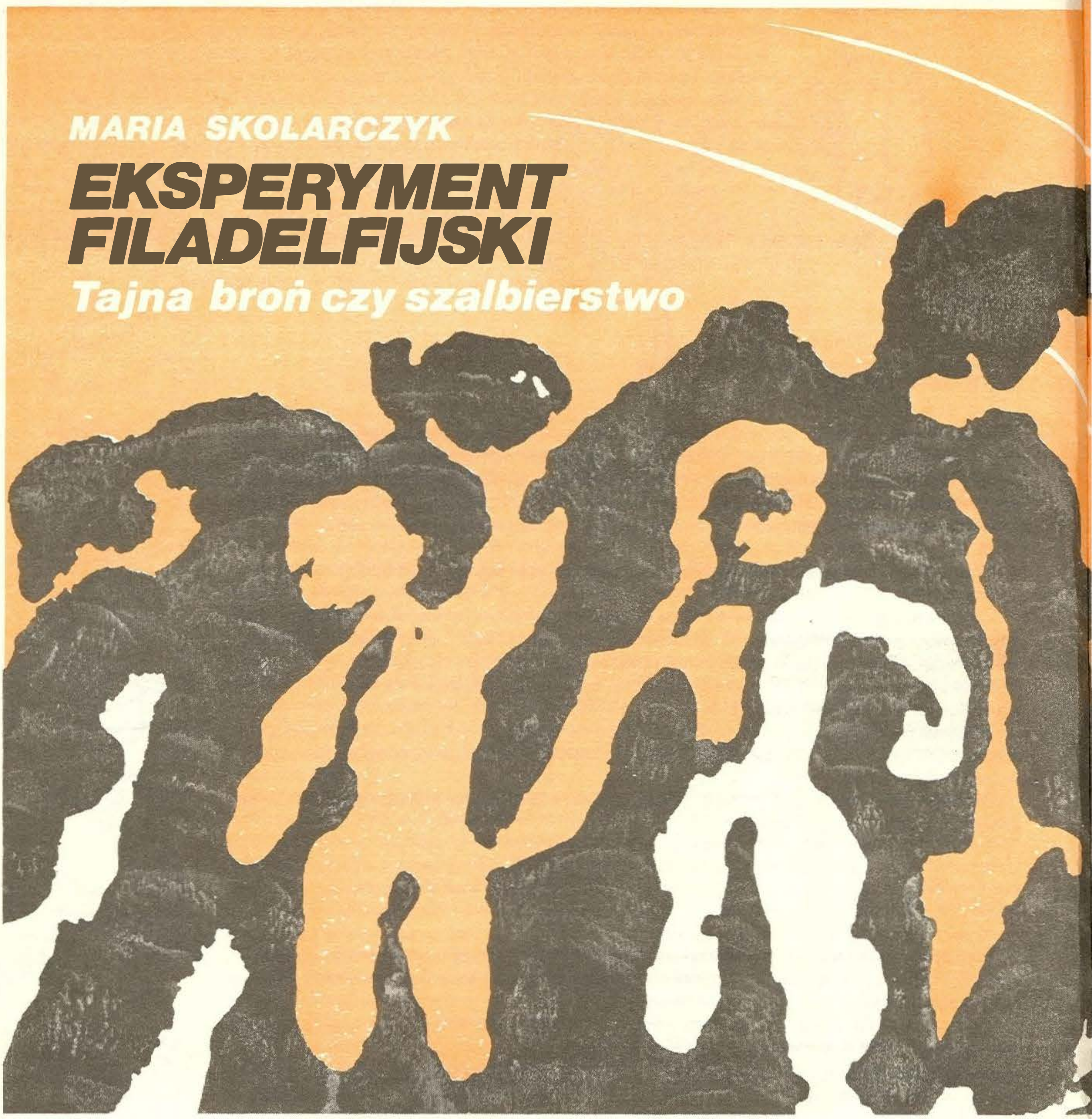
– Niestety, książki mnie oszukały; nie doprowadzają one całej historii do końca. O, przyjaciele moi! Strzeżcie się pracowitych, młodych literatów. Jeśli Bóg przeznaczył komuś śmierć głodową, nie ratujcie go, narażacie się bowiem na własną zgubę!

Przekład anonimowy

MARIA SKOLARCZYK

EKSPERYMENT FILADELFIJSKI

Tajna broń czy szalbierstwo



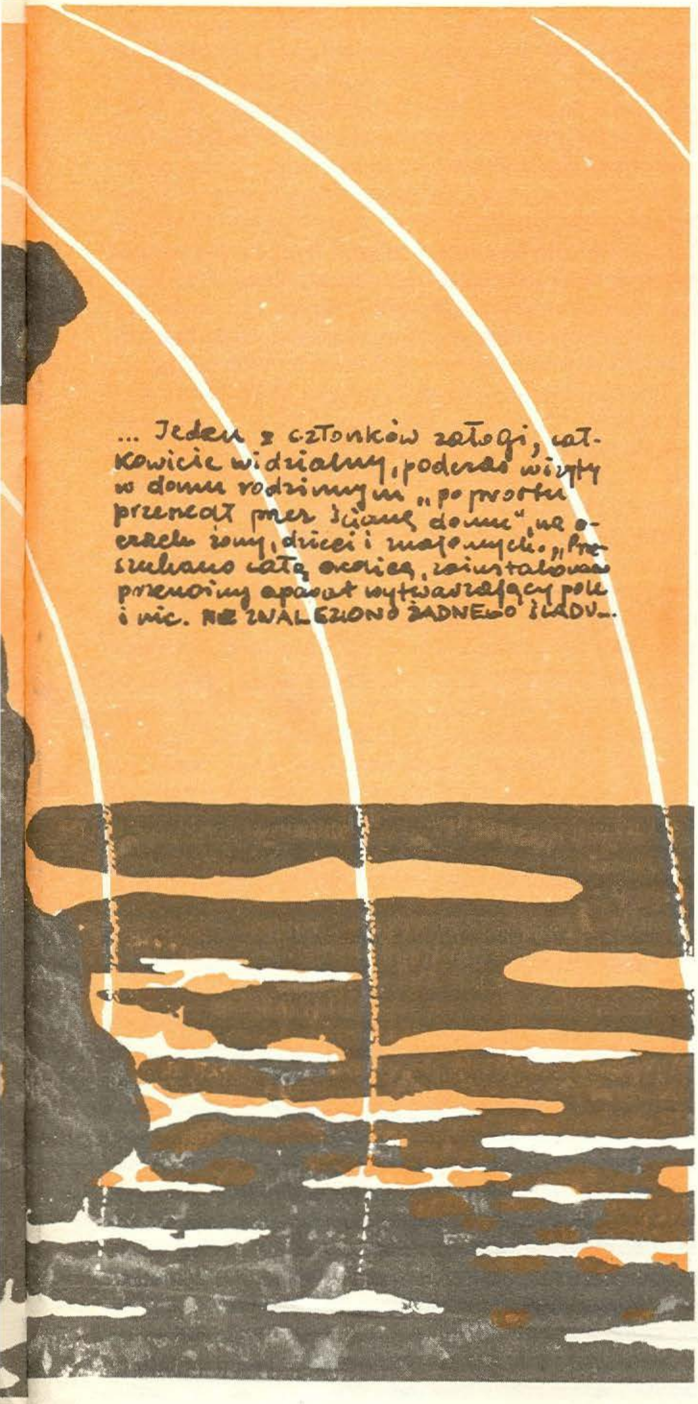
W październiku 1943 roku w filadelfijskiej stoczni marynarki wojennej przeprowadzono tajemniczy eksperyment. Rezultatem jego była całkowita niewidzialność okrętu wojennego klasy niszczyciel oraz jego załogi. Użyto w tym celu silnego pola elektromagnetycznego. Osoby wewnątrz pola miały niewyraźne sylwetki, osoby znajdujące się poza polem nie widziały nic, z wyjątkiem wyraźnie zarysowanego na powierzchni wody kształtu kadłuba. Był to tak zwany Eksperyment Filadelfijski, uporczywie dementowany od lat przez Departament Marynarki Wojennej USA, a mimo to budzący liczne spekulacje i domniemania – nie bez podstaw – że mógł być przeprowadzony.

*

Początek sensacyjnym dociekaniom, związanym z Eksperymentem Filadelfijskim, dał list: „*Może to pana zainteresować, że teoria jednolitego pola Einsteina została ukończona w latach 1925–1927, ale dobry doktor odwołał ją, nie ze względów matematycznych, lecz humanitarnych. Jego późniejsze przeliczenia, zrobione wyłącznie dla sprawdzenia siebie i dla satysfakcji, przeraziły go. Dlatego mówi się nam dzisiaj, że teoria ta jest niekompletna.*

Dr Bertrand Russell przyznał prywatnie, że została ona ukończona, ale że człowiek jeszcze do niej nie dorósł. Mimo to obliczenia dokonane na jej podstawie przez mego przyjaciela dr. Franklina Reno, zostały wykorzystane. Były one poprawne, jeśli chodzi o matematykę i rezultaty fizyczne. A JEDNAK MARYNARKA WOJENNA OBAWIA SIĘ JE WYKORZYSTAĆ. Są one dowodem, że teoria jednolitego pola, przynajmniej w jednym zakresie, jest poprawna. Poza ten zakres nikt o zdrowych zmysłach nie odważy się wyjść".

List zawierający tak nieprawdopodobne informacje (podkreślenia i stylistyka oryginalna) otrzymał w styczniu 1956



roku amerykański matematyk i astronom, dr Morris K. Jessup. Na pierwszy rzut oka list wydawał się być pisany przez maniaka i dr Jessup z pewnością wyrzuciłby go natychmiast do kosza, gdyby nie fakt, że tajemniczy informator, podpisujący się Carlos Miguel Allende, podał wskazówki, jak sprawdzić wiarygodność jego sensacyjnych informacji. Allende pisał: *„Rezultatem eksperymentu była całkowita niewidzialność okrętu – niszczyciela i całej jego załogi. Zastosowane pole miało kształt sferoidalny, spłaszczony na biegunach i rozciągało się sto jardów poza kadłub. Osoby znajdujące się wewnątrz pola miały niewyraźne sylwetki i wyglądało, jakby stąpały po niczym. Osoby znajdujące się poza polem – nie widziały nic, wyjąwszy wyraźnie zarysowany na powierzchni wody kształt kadłuba. Oczywiście, jeśli osoby te znajdowały się tuż poza obrębem pola".*

*

Dzisiaj pozostało już bardzo niewielu ludzi z eksperymentalnej załogi. Jeśli wierzyć informacjom Carlosa Miguela Allende, większość oficerów i marynarzy zwariowała. Kilku jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych przebywało w miejscach odosobnienia, gdzie każdy z nich mógł otrzymać pomoc, jeśliby „trafił w próżnię" lub „został stuknięty".

Allende wyjaśnił oba te gwarowe terminy. „Trafić w próżnię" – to stać się niewidzialnym niespodziewanie i niezależnie od swej woli. *„Nie jest to w końcu tak nieprzyjemne wrażenie dla zdrowego a ciekawego żeglarza"* – pisał Allende. Natomiast „zostać stukniętym" – to nie mieć możliwości poruszania się. Jedynym ratunkiem było szybkie dotknięcie przez kolegów przebywających w obrębie pola, czyli tak zwane włożenie rąk. Jeżeli pomoc przyszła zbyt późno, „stuknięty" mógł „zamarznąć".

„Jeżeli człowiek „zamarzł", trzeba było natychmiast dokładnie oznaczyć jego pozycję i wyłączyć pole. Wszyscy z wyjątkiem „zamarzniętego", odzyskiwali swoją masywność i mogli pomóc koledze. Należało podejść do oznaczonego miejsca i położyć ręce tam, gdzie powinna znajdować się jego twarz lub inna część ciała nie osłonięta ubraniem. Czasami „rozmrożenie" trwało godzinę, czasem całą dobę, a w najgorszym wypadku aż sześć miesięcy".

Allende informował, że dla „rozmrażania" skonstruowano wysoce skomplikowaną aparaturę „wartości pięciu milionów dolarów", a prace prowadzono w „specjalnym basenie portowym". Mimo to jednak nie zawsze udawało się szybko likwidować „zamrożenie" i wówczas ofiary eksperymentu popadały w „głębokie zamrożenie". Allende pisał, że: *„zwykle „głęboko zamrożony" szalał i bełkotał, jeśli „zamrożenie" trwało dłużej niż jeden dzień"*, że w takim stanie *„człowiek nie był świadomy czasu, takiego, jaki my znamy"*. Apelował również do dr. Jessupa: *„Jeśli kiedykolwiek zobaczy pan w pobliżu filadelfijskiej stoczni marynarki wojennej grupę marynarzy w akcie „nakładania rąk" na kolegę... niech pan podejdzie szybko i też „włoży ręce", ponieważ człowiek ten jest w najrozpaczliwszym położeniu ze wszystkich ludzi na świecie. Nikt z nich nie pragnie stać się niewidzialny. Eksperyment był całkowitym sukcesem, tylko ludzie kompletnie zawiedli".*

List Carlosa Miguela Allende zawierał również informacje, gdzie i jak należy szukać potwierdzenia przedstawionych przez niego faktów. Podał swój marynarski numer identyfikacyjny Z-416175 oraz nazwiska członków załogi statku SS Andrew Furuseth (chief Mowsley oraz Richard „Splicey" Price), którzy wraz z nim obserwowali przebieg eksperymentu. Bliższe dane o tych ludziach i reszcie załogi powinny – jego zdaniem – znajdować się w dzienniku pokładowym statku należącego do Matson Line albo w Archiwach Straży Wybrzeża. W zakończeniu swego listu Allende dorzucił jeszcze jedną rewelację: *„Niech pan poszuka w filadelfijskich gazetach małej wiadomości (górna połowa strony wewnątrz gazety, wiosną lub w końcu zimy, gdzieś między 1944–1946) opisującej zachowanie się marynarzy po ich pierwszym rejsie. Poszli do baru koło stoczni i zdematerializowali się. Wywołali taki szok u kelnerek, że nie można było wydobyć z tych dziewcząt ani jednego sensownego zdania".*

W kilka dni po pierwszym liście dr Jessup znalazł w swojej poczcie kolejny. Również pełen rewelacyjnych wiadomości. Allende informował, że Marynarka Wojenna nie przypuszczała, że ludzie mogą stawać się niewidzialni samorzutnie poza obrębem działania pola, że podczas jednej z prób dwóch marynarzy znajdujących się w obrębie pola po prostu zniknęło, „odeszło w nicość". Nie można ich było wymacać bądź zauważyć bez względu na to, czy włączano, czy wyłączano pole. Inny przypadek „ubocznych

efektów" był jeszcze bardziej szokujący. Jeden z członków załogi, „całkowicie widzialny", podczas wizyty w domu rodzinnym „po prostu przeszedł przez ścianę domu", na oczach żony, dzieci i znajomych. *„Przeszukano całą okolicę, zainstalowano przenośny aparat wytwarzający pole i nic. NIE ZNALEZIONO ŻADNEGO ŚLADU!"*

Najbardziej rewelacyjną i niewiarygodną informację Allende zachował na koniec listu: *„Chciałbym jeszcze wspomnieć, że okręt eksperymentalny zniknął z doków Filadelfii, by zaledwie po kilku minutach pojawić się przy nabrzeżu w Norfolk, Newport News, w rejonie Portsmouth. Miejsce to zidentyfikowano dokładnie, ale wówczas okręt znów zdematerializował się i po kolejnych kilku minutach powrócił do swojego doku w Filadelfii".*

Zaintrygowany listami tajemniczego Allende dr Jessup zajął się sprawą tego dziwnego eksperymentu. Tym chętniej że interesował się problemami pogranicza nauki. Postanowił zweryfikować podane przez Allende fakty. Udał się w podróż po Stanach Zjednoczonych, prowadził rozmowy w sztabach marynarki wojennej. Jego znajomi uważali już, że bliski jest wyświetlenia zagadki, gdy niespodziewanie nadeszła wiadomość o jego śmierci. Okoliczności były niejasne, tak że niektórzy do dzisiaj uważają, iż dr Jessup popełnił samobójstwo, a inni, że został zlikwidowany, gdyż wiedział za wiele. W każdym razie po jego śmierci szybko zapomniano o Eksperymencie Filadelfijskim.

Wrócono do sprawy dopiero po dziesięciu latach, kiedy to Carlos Miguel Allende osobiście zgłosił się w redakcji „APRO-Journal", biuletynu Aerial Phenomena Research Organization w Tuscon, w stanie Arizona. Potwierdził dotychczasowe informacje, a także udzielił dodatkowych. Wyjaśnił, że widział, jak okręt wojenny klasy niszczyciel, o numerze ewidencyjnym DE-173, znikał. Rozmawiał z ludźmi, którzy uczestniczyli w eksperymentach i był świadkiem dematerializacji jednego z marynarzy na nabrzeżu portu filadelfijskiego.

„Obserwowałem powietrze wokół okrętu. Robiło się jakby ciemniejsze. Po kilku minutach utworzyła się zielonkawa mgiełka i DE-173 w szybkim tempie stawał się niewidoczny. Płynęliśmy wówczas burta w burtę i było to wstrząsające wrażenie".

Rewelacje Allende zbyt pachniały szalbierstwem, by nie usiłowano ich sprawdzić. Między innymi wieloletnie „śledztwo" przeprowadzili dwaj badacze pogranicza nauki Charles Berlitz – autor słynnej książki „The Bermuda Triangle" (Trójkąt Bermudzki) oraz nauczyciel językoznawca z Minnesoty William Moore. Postanowili metodycznie albo potwierdzić relacje Allende, albo z równą pewnością zdemaskować go jako oszusta. W praktyce okazało się, że zadanie jest, delikatnie mówiąc, trudno wykonalne.

Bez kłopotów ustalono, że Carlos Miguel Allende rzeczywiście był jesienią 1943 roku członkiem załogi SS Andrew Furuseth i posiadał książeczkę marynarską Z-416175. Potwierdzenie innych danych okazało się trudniejsze. Wprawdzie nazwiska marynarzy wymienionych przez Allende znajdowały się na liście załogi, ale ludzi nie udało się odszukać. Niektórzy zmarli, po innych ślad zaginął. Najbardziej kłopotliwe okazało się ustalenie, czy niszczyciel DE-173, czyli USS Eldridge, mógł kiedykolwiek spotkać się z SS Andrew Furuseth. Dziennik pokładowy okrętu wojennego zaginął, a statku handlowego został zniszczony „na polecenie władz", jak wyjaśniono dwom badaczom. Berlitz i Moore nie dali jednak za wygraną. Przejrzeli dokładnie archiwa armatora Matson Navigation Co i stwierdzili, że SS Andrew Furuseth odbył jesienią 1943 roku dwa rejsy do Afryki Północnej. Oficjalna dokumentacja USS Eldridge stwierdzała, że okręt został zwodowany 25 lipca 1943 roku i przejęty przez marynarkę wojenną już 27 sierpnia. Następnie do końca roku testowano go w rejonie Bermudów, a w styczniu 1944 roku eskortował konwój do Europy i do końca wojny pozostał na Morzu Śródziemnym. W 1946 roku jednostkę przeniesiono do rezerwy, a w 1951 roku USS Eldridge został sprzedany Grecji.

Tak więc, jeśli wierzyć dokumentom, obie jednostki nie miały prawa spotkać się, a więc Carlos Miguel Allende nie mógł z pokładu swojego statku handlowego obserwować eksperymentów z niewidzialnym niszczycielem. A jednak... nie ma dymu bez ognia i Moore oraz Berlitz postanowili przekopać udostępnione dopiero przed kilku laty i jeszcze nie sklasyfikowane dokładnie archiwa marynarki wojennej. Tam natknęli się na raport kapitana USS Eldridge o zaatakowaniu U-boota 20 listopada 1943 roku, dwieście mil od Casablanki. A więc około trzech tysięcy mil od Bermudów, gdzie powinien się znajdować, jeżeli wierzyć oficjalnej dokumentacji okrętu. Po pierwszej rewelacji szybko przyszła następna. Dziennik okrętowy USS Eldridge wprawdzie zaginął, ale zachował się w kurzu archiwum dziennik oficera maszynowego. Widniała w nim notatka, że 2 listopada 1943 roku niszczyciel DE-173 eskortował konwój GUS-22 płynący do Afryki Północnej. Ten sam konwój, w którym płynął SS Andrew Furuseth! Wiarygodność oficjalnej historii niszczyciela stanęła pod znakiem zapytania. Tym bardziej że z Aten nadeszła kopia greckich dokumentów okrętu. Jako datę wodowania odnotowano w nich dzień 25 czerwca, czyli trzydzieści dni wcześniej niż w dokumentacji amerykańskiej. Rozbieżności tych nie można tłumaczyć inaczej, jak chęcią spreparowania „życiorysu" USS Eldridge i zatajenia wydarzeń, jakie miały miejsce w drugiej połowie 1943 roku.

Weryfikując krok po kroku relacje Allende, Moore i Berlitz dotarli do dr. Franklina Reno. Nie było to jego prawdziwe nazwisko, lecz pseudonim. Zgodził się udzielić informacji, ale jedynie pod warunkiem, iż jego prawdziwe nazwisko nie zostanie ujawnione. Powiedział między innymi, że pracując w Komitecie Badawczym Obrony Narodowej, na początku lat czterdziestych, otrzymał do przeliczenia i sprawdzenia równania zapisane na trzech kartkach papieru. Na jednej poznał charakterystyczne pismo Alberta Einsteina. Praca była niezwykle pilna i tajna. Dotyczyła możliwości odchylenia światła o dziesięć procent, co miało wystarczyć, aby obiekt stał się niewidzialny. W obecności dr. Reno dyskutowano wiele razy nad możliwymi efektami ubocznymi eksperymentu, podejrzewając, że może wystąpić rozszczepienie światła oraz duża jonizacja powietrza otaczającego pole elektromagnetyczne. Uczeni otrzymali jednak polecenie pozostawić problem efektów ubocznych grupie prowadzącej eksperymenty.

Zupełnie przypadkowo potwierdziła się informacja o dematerializacji marynarzy w barze portowym. Moore i Berlitz otrzymali list bez zwrotnego adresu. W kopercie znajdowała się fotokopia wycinka z gazety. Daty i tytułu gazety nie udało się jeszcze zidentyfikować. Wertowanie starych roczników pism, ukazujących się w Filadelfii i w stanie New Jersey, niewiele dało, ponieważ poginęły w nich całe strony, a nawet numery. Charles Berlitz otrzymał jednak potwierdzenie z całkiem przypadkowego źródła. W swej pracy „The Bermuda Triangle" wspomniał o Eksperymencie Filadelfijskim i w efekcie w 1978 roku otrzymał list od czytelnika Jamesa Davisa, byłego pilota lotnictwa wojskowego. Davis informował, że latem 1970 roku, podczas spaceru po War Memorial Park w Colorado Springs poznał wraz z kolegą-pilotem Allenem Husem niewysokiego mężczyznę o bardzo zaniedbanym wyglądzie. Człowiek ów opowiedział młodym pilotom, że w

czasie wojny był oficerem marynarki wojennej. Brał udział w tajnym eksperymencie, po zakończeniu którego wysłano go na leczenie psychiatryczne, a następnie zwolniono ze służby z „wariackimi papierami". Nieznajomy wylegitymował się starą, zużytą książeczką wojskową, a zapytany, jaki to był eksperyment, odparł – „niewidzialność". Powiedział też, że doświadczenia prowadzono w dokach filadelfijskich, używając silnego pola elektromagnetycznego, którego działania nie wytrzymywali ludzie. *„Niektórzy widzieli podwójnie* – mówił nieznajomy – *śmiali się lub zataczali jak pijani, a kilku zniknęło. Byli i tacy, którzy twierdzili nawet, że przeszli do innego świata i rozmawiali z jakimiś obcymi istotami"*.

Odchodząc ze służby w marynarce, wszyscy uczestnicy eksperymentu musieli złożyć przyrzeczenie dotrzymania tajemnicy, a przy odprawie wręczono im zaświadczenia o niezrównoważeniu psychicznym. *„Nie powinienem o tym mówić, ale kto uwierzy wariatowi"* – gorzko skonstatował na pożegnanie tajemniczy rozmówca dwóch pilotów. Jak dotychczas nie znaleziono nieznajomego z Colorado Springs, chociaż spotkanie zostało potwierdzone przez drugiego pilota Allena Husa. Wykluczono natomiast, by był to Carlos Allende.

Co więc działo się, albo raczej mogło się dziać, w dokach stoczni US Navy w Filadelfii. Szczególnie bulwersująca jest wiadomość o udziale Alberta Einsteina. Wielu twierdzi, że nazwisko uczonego wpleciono w Eksperyment Filadelfijski dla nadania mu wyższej rangi lub „wzmocnienia" sensacyjności podejrzanej afery.

Archiwa personalne armii amerykańskiej w St. Louis zawierają jednak dokumenty stwierdzające, że Einstein zatrudniony był dorywczo w Departamencie Marynarki Wojennej jako „pracownik kontraktowy Służb Specjalnych", konkretnie jako konsultant naukowy Biura Uzbrojenia. Albert Einstein bardzo niechętnie mówił o swej karierze wojskowej, która trwała od 31 maja 1943 roku do 30 czerwca 1944, ale w lipcu 1943 roku pisał do swego przyjaciela Gustawa Buckley'a, że: *„tak długo, jak trwa wojna i pracuję dla marynarki, nie chcę zaczynać innych badań"*. Miesiąc później w kolejnym liście stwierdził, że udało mu się nawiązać *„bliskie kontakty z biurem marynarki wojennej do spraw badań naukowych"* w Waszyngtonie. Wiadomo również, że w sierpniu 1943 roku dr Vannevar Bush – wojskowy „łowca mózgów" – zaangażował Einsteina do pracy w bliżej nie określonym komitecie, w którym, jak mówiono *„możliwości Einsteina zostaną najlepiej wykorzystane"*.

Tyle oficjalne archiwum. Amerykański fizyk, który był luźno związany z Eksperymentem Filadelfijskim, stwierdził, w anonimowym wywiadzie dla Williama Moora, że na przełomie lat 1939 i 1940 amerykańskiemu Komitetowi Obrony Narodowej został przedłożony projekt programu, który w swej początkowej wersji miał obejmować jedynie kwestię odchylenia toru nieprzyjacielskich pocisków, przede wszystkim torped, przy użyciu silnego pola elektromagnetycznego, wytworzonego wokół statku lub okrętu. Jednym z głównych projektodawców, według tegoż informatora, miał być Albert Einstein. Kolejnym miał być prof. Rudolf Ladenburg, fizyk pracujący wówczas na uniwersytecie Princeton. Einstein i Ladenburg znali się od 1908 roku i współpracowali ze sobą w tak zwanym okresie szwajcarskim. W czasie wojny Ladenburg uważany był przez Amerykanów za eksperta w dziedzinie uzbrojenia III Rzeszy i przewidywanych kierunków rozwoju niemieckiej techniki militarnej. Na początku lat czterdziestych Ladenburg pracował nad możliwościami zastosowania pola elektromagnetycznego do zwalczania nieprzyjacielskich min magnetycznych i torped. Swe przemyślenia dyskutował często z Einsteinem i tak, zdaniem anonimowego fizyka, narodził się program eksperymentów z niewidzialnością.

Twierdzenie to, jakkolwiek śmiałe, jest prawdopodobne. Można podejrzewać, że Einstein i Ladenburg rozszerzyli badania nad możliwością odchylenia toru torpedy w polu elektromagnetycznym na studia związane z wytwarzaniem silnego pola nie w wodzie, lecz w atmosferze i odchylenia nie toru torpedy, lecz światła. Anonimowy rozmówca Moore'a wspomniał, że w Eksperymencie Filadelfijskim chodziło o odchylenie światła o około dziesięć procent lub wywołanie efektu mirażu. W pierwszym przypadku odchylone światło „opływałoby" okręt i stwarzało coś w rodzaju czapki niewidki. W drugim – obraz okrętu zostałby przesunięty w inne miejsce. Tak czy inaczej, zadanie – zmylenie celowniczych okrętów przeciwnika – zostałoby osiągnięte.

Wstępne założenia programu badań oraz przeliczenia dotyczące rzędu wielkości natężenia pola miał – według słów informatora Williama Moore'a – opracować Einstein. On też miał zaproponować podjęcie prac badawczych. W sztabach marynarki wojennej program został przeforsowany ponoć przez dr. Johna von Neumanna, znanego matematyka i pioniera techniki komputerowej. Był on człowiekiem energicznym w przeciwieństwie do Einsteina i Ladenburga, którzy woleli się wycofać na drugi plan, nie mając siły i ochoty na negocjacje i spory z „generałami zza biurka". Swego poparcia dla programu użyczył podobno również Robert Kent, fizyk teoretyk, który interesował się możliwościami użycia pola elektromagnetycznego do wykrywania i walki z wszelkiego rodzaju pociskami. Miał on również zasugerować wykorzystanie zjawiska rezonansu dla otrzymania bardzo silnego pola.

Program badań nad niewidzialnością okrętów – w przypadku pozytywnych efektów – mógł dać bardzo dużo amerykańskiej marynarce wojennej. Pamiętajmy, że wstępne badania rozpoczęto jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny – jeśli wierzyć informatorom – a

eksperymenty przeprowadzono w październiku 1943 roku. Tymczasem wiosną 1942 roku potęga japońska na Pacyfiku była u swego szczytu. Dla Amerykanów właśnie Ocean Spokojny, a nie Europa, był terenem działań Drugiej Wojny Światowej i posiadanie na niej „niewidzialnej" floty mogło dać amerykańskiej marynarce wojennej niesłychaną wręcz przewagę. Umożliwiałoby bezkarne podpłynięcie do wysp japońskich i ostrzelanie z morza głównych miast portowych. Trzeba pamiętać, że jesienią 1943 roku, a nawet później, japońskie urządzenia radiolokacyjne były właściwie w powijakach (znacznie mniej zaawansowane od niemieckich czy angielskich), a ponadto w czasie Drugiej Wojny Światowej obserwacja echa radarowego bez wizualnego potwierdzenia nie mogła być odczytana inaczej niż jako awaria urządzenia lub zakłócenie radaru!

Na przełomie lat 1942 i 1943 Amerykanom udało się powstrzymać napór japoński i zaczęli nawet zyskiwać inicjatywę strategiczną.

W atmosferze optymizmu zaczęto gwałtownie ograniczać ilość programów naukowo-badawczych, których głównym celem było opracowanie nowych systemów uzbrojenia.

W wyniku przeglądu do „wybranych" programów zaliczono między innymi badania nad bronią nuklearną i obroną przed minami magnetycznymi. Te ostatnie badania miały zresztą początek w latach trzydziestych i po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny jedynie je przyśpieszono w obawie przed zaminowaniem przez Kriegsmarine wejść do portów atlantyckich. W badaniach tych wykorzystywano silne pole elektromagnetyczne, co potwierdza praca dr. Francisa Bittera, „Magnets", opublikowana w 1956 roku. Francis Bitter, założyciel laboratorium magnetyzmu w Massachusetts Institute of Technology, opisuje konstruowane w czasie wojny demagnetyzery – urządzenia wytwarzające silne pole elektromagnetyczne w celu neutralizowania min magnetycznych. W pracy swej stwierdza, że widział *„stosunkowo dużą jednostkę, na której pokładzie znajdował się bardzo silny elektromagnes o wadze wielu, wielu ton. Rdzeń tego elektromagnesu leżał pod pokładem i był owinięty cewkami, przez które przepuszczano prąd zmienny, wytwarzany przez potężne generatory"*. Czy był to okręt z Eksperymentu Filadelfijskiego?

Czy ugięcie światła, tak aby opływało jakiś przedmiot, jest możliwe? Wiadomo że światło rozchodzi się po liniach prostych i zmienia kierunek, jeśli odbija się od jakiegoś ośrodka lub przechodzi do innego. W polu grawitacyjnym światło jest uginane i gdy, na przykład, wiązka światła biegnie w pobliżu Słońca jest przez nie przyciągana. Wszystko co posiada energię, posiada i masę, ale nie w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz w tym sensie, że ulega przyciąganiu grawitacyjnemu. Ponieważ światło ma energię, to ma i masę, i tym samym jest przyciągane przez inne masy.

Czy człowiek może przeniknąć przez ścianę tak, jak to miał uczynić jeden z członków załogi USS Eldridge po przeprowadzeniu Eksperymentu Filadelfijskiego? Jeżeli bombarduje się cienką folię aluminiową elektronami, to okazuje się, że elektrony przechodzą przez folię. I nie ma w tym nic tajemniczego. Oglądana gołym okiem folia jest solidnym kawałkiem materii, ale w dużym powiększeniu, gdy można zobaczyć pojedyncze jej cząsteczki, okazuje się, że jest sporo „pustego" miejsca między atomami, przez które przechodzą elektrony. Tak więc materia może przenikać przez materię, ale obawiam się, że w przypadku Eksperymentu Filadelfijskiego taka ekstrapolacja jest zbyt daleko idąca.

Kwestię straszliwego wpływu ubocznego „Eksperymentu" na zdrowie i psychikę ludzi w nim uczestniczących tłumaczą dość dobrze badania psychofizjologów. Są oni zdania, że działanie pola elektromagnetycznego wpływa na pracę ludzkiego mózgu, zachowanie się oraz stan psychiczny i fizyczny. Może prowadzić do stanów epileptycznych i imaginacyjnych. W takim stanie człowiek nie odróżnia, co jest realne, a co odbiciem jego wyobraźni, czy fantazji i może być przekonany, iż był świadkiem wydarzeń paranormalnych. Dr Michael Persinger z laboratorium psychofizjologii kanadyjskiego uniwersytetu Laurentian uważa, że dłuższa obecność w silnym polu magnetycznym o bardzo niskiej częstotliwości może powodować amnezję, stan szoku, okresową ślepotę, ślady na powierzchni skóry przypominające oparzenia, a także kłopoty ze snem, koszmary senne i zaburzenia hormonalne. Psycholog Susan Korbel z Harper College w stanie Illinois stwierdziła rozkład enzymów pod wpływem silnego pola elektromagnetycznego. Podejrzewa się, że długotrwałe działanie pola elektromagnetycznego na organizm ludzki może spowodować nawet zmianę struktury genetycznej...

W rozważaniach nad możliwością przeprowadzenia Eksperymentu Filadelfijskiego nie można pominąć oceny potencjału technologicznego, jakim dysponowali naukowcy w 1943 roku. Rodzi się pytanie, czy mieli oni do dyspozycji potrzebne urządzenia. Trzeba pamiętać, że „Jednolita teoria pola" nie uzyskała aprobaty ogółu fizyków właśnie z powodu braku potwierdzenia doświadczalnego, czym różni się od „Ogólnej teorii względności" Einsteina.

Program, którego częścią był Eksperyment Filadelfijski, został wstrzymany, jeśli wierzyć różnym informatorom, w końcu 1943 roku lub na początku 1944. Wszystko wskazuje na to, że w ramach oszczędności uznano go za niewarty dalszych nakładów pieniężnych... Że jego budżet był zagrożony cięciami, może świadczyć pośpiech, w jakim prowadzono eksperymenty. Dowodem mogą być relacje anonimowego fizyka o poleceniu niewdawania się w szczegóły oraz fragment listu Carlosa Allende: *„Prawdę mówiąc, można było zapobiec tragediom, gdyby bardziej ostrożnie przygotowywano program i bardziej ostrożnie dobrano załogę i oficerów... Ale to wówczas nie obchodziło nikogo. Marynarka Wojenna angażowała każdy materiał ludzki, jaki był pod ręką"*. Ten pośpiech może świadczyć o chęci ratowania programu za wszelką cenę, tak jak obecnie chroni się jego tajemnicę. Departament Marynarki Wojennej USA wydał już przeszło dwa miliony dolarów – jak się ocenia – na dementowanie informacji o Eksperymencie Filadelfijskim. Wśród amerykańskich dziennikarzy dość popularne jest powiedzonko – „wierzę tylko w zdementowane pogłoski".

Treściwa historia śmierci Jana Calasa

Volter

TRAKTAT O TOLERANCJI NAPISANY Z POWODU ŚMIERCI JANA CALASA

Morderstwo na Calasie, popełnione mieczem sprawiedliwości w Tuluzie dnia 9 marca 1762 roku, jest jednym z najosobliwszych wydarzeń zasługujących na uwagę naszego wieku i potomności. O tłumie umarłych, którzy padli w niezliczonych bitwach, zapominamy rychło nie tylko dlatego, że jest w tym nieuchronna fatalność wojny, ale i dlatego, że ci, którzy umierają w przypadkach orężnych, mogli również zadać śmierć swym nieprzyjaciołom i polegli stając w swej obronie. Tam, gdzie niebezpieczeństwo równe jest widokom zwycięstwa, przestajemy się dziwić, a nawet słabnie nasza litość. Ale jeżeli niewinny ojciec rodziny zostaje wydany na łup błędów czy namiętności, czy też fanatyzmu, jeżeli oskarżony nie ma na swą obronę nic prócz swej cnoty, jeżeli mordując go sędziowie decydujący o jego życiu narażają się jedynie na niebezpieczeństwo pomyłki, jeżeli mogą bezkarnie zabijać swym wyrokiem, wtedy podnosi się krzyk powszechny, każdy lęka się o samego siebie, widzimy, że już nikt nie jest pewny swego życia przed trybunałem powołanym do czuwania nad życiem obywateli, i wszystkie głosy łączą się w jednym wołaniu o zemstę.

W tej dziwnej sprawie chodziło o religię, o samobójstwo, o mord w rodzinie. Chodziło o zbadanie, czy ojciec i matka udusili syna, aby się Bogu przypodobać, czy brat udusił brata, czy przyjaciel udusił przyjaciela. Chodziło o to, co sędziowie mieli sobie wyrzucać: to, że kazali łamać kołem niewinnego ojca, czy też to, że oszczędzili winowajców w osobach matki, brata i przyjaciela.

Jan Calas, człowiek sześćdziesięcioośmioletni, od przeszło czterdziestu lat trudnił się zawodem kupieckim w Tuluzie, a ci, którzy z nim żyli na bliskiej stopie, znali go jako dobrego ojca. Był protestantem, podobnie jak jego żona i wszystkie jego dzieci, wyjąwszy jedno, które wyrzekło się herezji i któremu ojciec wyznaczył niewielką pensję. Zdawał się być tak daleki od niedorzecznego fanatyzmu, który rozrywa wszelkie węzły w społeczeństwie, że uznał nawrócenie się swego syna Ludwika Calasa i od trzydziestu lat miał w domu służącą gorliwą katoliczkę, która wychowała wszystkie jego dzieci.

Jeden z synów Jana Calasa, Marek Antoni, był człowiekiem obeznanym z literaturą, uchodził za ducha niespokojnego, posępnego i gwałtownego. Ten młody człowiek, nie mogąc ani wstąpić do handlu, do którego nie był zdatny, ani też wyjednać sobie przyjęcia do palestry, skoro potrzebne tam było nieosiągalne dlań świadectwo, że jest katolikiem, postanowił zakończyć swe życie i napomknął o tym zamiarze jednemu ze swych przyjaciół. Umocnił się w tym postanowieniu czytając wszystko, cokolwiek napisano o samobójstwie.

Na koniec, przegrawszy pewnego dnia pieniądze, wybrał tenże dzień na urzeczywistnienie swego zamiaru. Pewien przyjaciel jego rodziny i zarazem jego przyjaciel, nazwiskiem Lavaisse, młodzieniec w wieku lat dziewiętnastu, przybył w przeddzień z Bordeaux. Bawił na kolacji u Calasów. Wieczerzali wspólnie: ojciec i matka, Marek Antoni, ich starszy syn, i Piotr, ich młodszy syn. Po kolacji udano się do saloniku; Marek Antoni znikł. Wreszcie, gdy młody Lavaisse chciał już odejść, obaj z Piotrem Calasem zeszli na dół i znaleźli Marka Antoniego wiszącego w koszuli na drzwiach przy sklepie, a jego frak złożony w porządku na ladzie. Koszula na nim nie była nawet pognieciona, włosy miał starannie uczesane. Nie było na jego ciele żadnej rany, żadnych śladów potłuczenia.

Pominiemy tu wszystkie szczegóły, z których zdali sprawę obrońcy. Nie będziemy opisywali bólu i rozpaczy ojca i matki. Lavaisse i Piotr Calas, nie posiadając się z przerażenia, pobiegli po chirurga i sąd.

Podczas gdy spełniali ten obowiązek, podczas gdy matka i ojciec łkali i wylewali łzy, lud tuluzański zgromadził się wokoło domu. Lud ten jest zabobonny i porywczy, mieni potworami swych braci, którzy nie wyznają tej samej co on religii. To przecież w Tuluzie dziękowano uroczyście Bogu za śmierć Henryka III i ślubowano zabić każdego człowieka, który by wielkiego, dobrego Henryka IV uznał za króla. To miasto jeszcze teraz święci corocznie procesją i fajerwerkami dzień, w którym dwa wieki temu wycięto cztery tysiące obywateli-heretyków. Nadaremnie sześć dekretów Rady zakazało tego obydnego święta; tuluzjanie nadal obchodzili je uroczyście, tak jak igrzyska kwiatowe.

Jakiś fanatyk z motłochu krzyknął, że Jan Calas powiesił swego własnego syna Marka Antoniego. Gdy okrzyk ten rozległ się po raz drugi, porwał w jednej chwili wszystkich. Inni dodali, że nieboszczyk miał nazajutrz uczynić wyznanie wiary, że rodzina i młody Lavaisse udusili go z nienawiści do religii katolickiej. W chwilę później nikt już o tym nie wątpił. Całe miasto było przekonane, że religia protestancka nakazuje, aby ojciec i matka zamordowali swego syna, gdy chce się nawrócić.

Raz poruszonych umysłów nic nie zdoła powściągnąć. Urojono sobie, że protestanci Langwedocji zebrali się dnia poprzedniego, że większością głosów wybrali kata sekty, że wybór padł na młodego Lavaisse'a, że ten młodzieniec w ciągu dwudziestu czterech godzin dostał wiadomość o swym wyborze i przybył z Bordeaux, aby pomóc Janowi Calasowi, jego żonie i ich synowi Piotrowi w uduszeniu przyjaciela, syna i brata.

Pan David, kapitul Tuluzy, który dał się unieść pogłoskom i chciał się pochwalić szybkim postępowaniem, zastosował procedurę sprzeczną z przepisami i zarządzeniami. Rodzina Calasów, służąca katoliczka i Lavaisse zostali zakuci w kajdany.

Ogłoszono monitorium równie niezgodne z prawem jak i procedura. Posunięto się jeszcze dalej. Marek Antoni Calas umarł jako kalwinista, a jeśli targnął się na swoje życie, powinno się go było wlec na kracie. Tymczasem pochowano go z największą wystawnością w kościele św. Stefana,

wbrew proboszczowi, który protestował przeciwko tej profanacji.

Są w Langwedocji cztery bractwa pokutników: białe, niebieskie, szare i czarne. Bracia noszą długie kaptury z sukiennymi maskami, w których wycięte są dwie dziury na oczy. Chcieli wciągnąć do swej kongregacji księcia Fitz-Jamesa, gubernatora prowincji, ale im odmówił. Biali bracia odprawili przy Marku Antonim Calasie nabożeństwo uroczyste jak przy ciele męczennika. Nigdy Kościół nie obchodził święta prawdziwego męczennika z większą okazałością, ale ta okazałość była straszna. Ponad katafalkiem postawiono szkielet, który wprawiono w ruch i który wyobrażał Marka Antoniego Calasa trzymającego w jednej ręce palmę, a w drugiej pióro. Miał nim podpisać wyrzeczenie się herezji, ale w rzeczywistości pisał nim wyrok na swego ojca.

A więc nieszczęśliwemu, który targnął się na samego siebie, brakowało już tylko kanonizacji. Wszystek lud uważał go za świętego. Jedni wzywali jego imienia, drudzy chodzili się modlić na jego grób, inni wołali o cuda, a jeszcze inni opowiadali o cudach, które czynił. Pewien mnich wyrwał mu kilka zębów, aby mieć trwałe relikwie. Jakaś przygłucha dewotka rozgłosiła, że usłyszała dźwięk dzwonów. Pewien kapłan-apoplektyk został uleczony wziąwszy środek na wymioty. Spisywano zeznania o tych fenomenach. Piszący tę relację posiada świadectwo, że pewien młodzieniec z Tuluzy oszalał, ponieważ modlił się wiele nocy przy grobowcu nowego świętego i nie otrzymał cudu, o który błagał.

Kilku urzędników sądowych należało do bractwa pokutników białych. Wobec tego śmierć Jana Calasa była przesądzona.

Nade wszystko kaźń jego sposobiła się wraz z nadchodzącym świętem, które tulużanie obchodzą co roku na pamiątkę rzezi czterech tysięcy hugonotów. W roku 1762 przypada rocznica dwóchsetna. Podjęto w mieście przygotowania do tej uroczystości, co jeszcze bardziej zapaliło i tak już rozognioną wyobraźnię ludu. Mówiono publicznie, że szafot, na którym Calasowie zostaną połamani kołem, będzie największą ozdobą święta, mówiono, że sama Opatrzność sprowadziła te ofiary, aby zostały złożone naszej świętej religii. Dwadzieścia osób słyszało takie i jeszcze gwałtowniejsze wywody. I to w czasie, gdy filozofia tak bardzo postąpiła naprzód! W czasie, gdy sto akademii pisze księgi, aby natchnąć obyczaje łagodnością! Zdaje się, że fanatyzm, obruszywszy się na osiągnięcia rozumu, z tym większą zwalcza go wściekłością.

Trzynastu sędziów zbierało się co dzień, aby doprowadzić proces do końca. Nie było, nie mogło być żadnego dowodu przeciwko Calasom, ale sprowadzona na manowce religia zajęła miejsce dowodu. Sześciu sędziów długo upierało się przy tym, aby Jana Calasa, jego syna i Lavaisse'a skazać na łamanie kołem, a żonę Jana Calasa spalić na stosie. Siedmiu innych, bardziej umiarkowanych, chciało, aby przynajmniej przeprowadzono badanie. Raz po raz wznawiano długotrwałe obrady. Jeden z sędziów, przekonany o niewinności oskarżonych i o niepodobieństwie zbrodni, przemawiał długo na ich rzecz. Przeciwstawił żarliwość człowieczeństwa żarliwości surowego sądu. Stał się publicznym obrońcą Calasów we wszystkich domach Tuluzy, gdzie ustawiczne wołania źle pojętej religii żądały krwi tych nieszczęśników. Inny sędzia, znany ze swej gwałtowności, przemawiał na mieście z równie wielkim uniesieniem przeciwko Calasom, z jakim ów pierwszy ich bronił. Na koniec hałas zrobił się taki wielki, że obydwaj musieli ustąpić z grona sędziów i udali się na wieś.

Ale, na nieszczęście, sędzia przychylny Calasom skrupulatnie wytrwał w swej rezygnacji do końca, gdy tymczasem drugi powrócił, by oddać swój głos przeciwko tym, których nie powinien był sądzić. Ten właśnie głos zdecydował o wyroku skazującym na łamanie kołem, albowiem było tylko osiem głosów przeciwko pięciu, jako że jeden z sześciu sędziów sprzeciwiających się przeszedł w końcu, po wielu dysputach, na stronę bardziej surową.

Wydaje się, że gdy chodzi o mord w rodzinie, o wydanie ojca rodziny na najhaniebniejszą kaźń, wyrok powinien być jednogłośny, ponieważ dowody zbrodni tak niesłychanej powinny uderzać wszystkich swą oczywistością. Przynajmniej wątpliwości winien w podobnym wypadku zadrżeć sędzia, który ma podpisać wyrok śmierci. Słabość naszego rozumu i niedostatek naszych praw dają się odczuć codziennie, ale w jakiejż okoliczności bardziej się to odsłania aniżeli wówczas, gdy przewaga jednego, jedynego głosu każe łamać obywatela kołem? W Atenach trzeba było pięćdziesięciu głosów ponad połowę, aby ważono się wydać wyrok śmierci. Co z tego wynika? To, że nader nieużyteczna jest nasza świadomość, iż Grecy byli od nas mądrzejsi i bardziej ludzcy.

Zdawało się niemożliwe, aby Jan Calas, starzec sześćdziesięcioośmioletni, który od dawna miał nogi obrzmiałe i słabe, sam udusił i powiesił dwudziestoośmioletniego syna, odznaczającego się siłą więcej niż zwyczajną. Stanowczo musieliby mu pomagać w egzekucji żona, syn Piotr Calas, Lavaisse i służąca. Nie rozstawali się ani na chwilę owego wieczoru, gdy zdarzył się nieszczęsny wypadek. Ale to przypuszczenie było co najmniej tak samo niedorzeczne jak pierwsze. Bo jakżeby służąca, albo hugonoci mordowali młodego człowieka, jej wychowanka, karząc go za miłość do religii



wyznawanej przez nią samą? Jakżeby Lavaisse mógł przybyć umyślnie z Bordeaux, aby udusić swego przyjaciela, o którego domniemanym zamiarze nawrócenia się nic nie wiedział? Jakżeby czuła matka mogła podnieść rękę na swego syna? Jakżeby bez długiej i gwałtownej walki, bez strasznych krzyków, które by zwołały całe sąsiedztwo – nie uderzając, nie raniąc, nie drąc odzieży – mogli wspólnie udusić młodego człowieka, tak mocnego, jak oni wszyscy razem wzięci?

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jeśli zbrodnia miała miejsce, wszyscy oskarżeni byli jednakowo winni, ponieważ nie rozstawali się ani na chwilę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie byli mordercami. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ojciec sam nie mógł być mordercą. A tymczasem wyrok skazał tylko jego, aby wyzionął ducha na kole.

Motywy wyroku były tak samo niepojęte, jak wszystko inne. Sędziowie, którzy postanowili kaźni Jana Calasa, przekonali pozostałych, że ten słaby starzec nie zdoła wytrzymać mąk i że pod razami katów wyzna swoją zbrodnię oraz zbrodnię swoich wspólników. Byli pomieszani, gdy, umierając na kole, starzec wezwał Boga na świadka swej niewinności i zaklinał go, aby przebaczył sędziom.

Musieli wydać drugi, sprzeczny z pierwszym, wyrok uwalniający matkę, syna Piotra, młodego Lavaisse'a i służącą. Ale gdy jeden z radnych dał im do poznania, że ten wyrok zadaje kłam pierwszemu, że potępiają samych siebie, że skoro wszyscy oskarżeni nie rozstawali się w czasie domniemanej zbrodni, uwolnienie wszystkich pozostałych przy życiu dowodziłoby stanowczo niewinności straconego ojca rodziny – wówczas opowiedzieli się za wygnaniem Piotra Calasa, jego syna. To wydało się być czymś tak samo lekkomyślnym, tak samo niedorzecznym, jak wszystko, co dotąd uczynili, bo albo Piotr Calas był winien, albo nie był winien bratobójstwa. Jeżeli był winny, należało go połamać kołem tak samo jak ojca; jeżeli był niewinny, nie należało go skazywać na wygnanie. Wszelako sędziowie, przerażeni kaźnią ojca i wzruszającą pobożnością, w jakiej umarł, wystawili sobie, że ocalą swój honor pozwalając mniemać, iż ułaskawili syna, jak gdyby to ułaskawienie nie było nowym nadużyciem. Uważali, że skoro wygnanie tego młodego człowieka bez protekcji nie pociąga za sobą następstw, nie będzie to wielkim bezprawiem po bezprawiu, którego się już dopuścili.

Zaczęło się od tego, że zamkniętemu w ciemnicy Piotrowi Calasowi grożono, iż spotka go los ojca, jeżeli nie wyrzeknie się swej religii. Młody człowiek stwierdza to pod przysięgą.

Wychodząc z miasta Piotr Calas spotkał księdza-nawróciciela, który kazał mu wrócić do Tuluzy. Zamknięto go w klasztorze dominikanów i tam zmuszono do wykonania wszelkich czynności katolickich. Było to po części tym, czego chciano, była to cena krwi jego ojca. I religia, którą uważano za pomszczoną, zdawała się być zadowolona.

Porwano matce córki i zamknięto je w klasztorze. Ta kobieta nieomal zroszona krwią swego męża, ta kobieta, która trzymała w ramionach martwe ciało swego najstarszego syna, która patrzyła na wygnanie młodszego, którą pozbawiono córek, ograbiono z wszelkiego mienia, była sama na świecie, nie miała chleba, straciła nadzieję i umierała od nadmiaru swego nieszczęścia. Pewne osoby, które dokładnie zbadały wszelkie okoliczności tej strasznej sprawy, doznały tak wielkiego zdumienia, że nie przestawały nalegać na żyjącą w osamotnieniu panią Calas, aby ośmieliła się pomagać sprawiedliwości u stóp tronu. Nie mogła już wtedy utrzymać się na nogach, gasła. A skądinąd przerażało ją samo imię miasta Paryż, gdyż urodziła się Angielką i w młodym wieku przeszczepiono ją na prowincję francuską. Wystawiała sobie, że stolica królestwa musi być w jeszcze większym barbarzyństwie niż stolica Langwedocji. Wreszcie obowiązek pomszczenia pamięci męża wziął górę nad słabością. Przybyła do Paryża bliska skonania. Była zdumiona znajdując tam gościnę, pomoc i łzy.

W Paryżu rozum bierze górę nad najskrajniejszym fanatyzmem, gdy na prowincji fanatyzm prawie zawsze bierze górę nad rozumem.

Pan de Beaumont, sławny adwokat paryskiego parlamentu, pierwszy podjął się jej obrony i sporządził memoriał, który podpisało piętnastu adwokatów. Pan Louseau, nie mniej wymowny, również ułożył memoriał w obronie rodziny. Pan Mariette, adwokat przy Radzie Stanu, opracował suplikę, która trafiała do przekonania wszystkim umysłom.

Ci trzej szlachetni obrońcy praw i niewinności zrzekli się na rzecz wdowy zysku z ogłoszenia drukiem ich memoriałów. Cały Paryż i cała Europa poruszone były litością i wraz z tą nieszczęsną kobietą żądały sprawiedliwości. Całe społeczeństwo wydało wyrok na długo przedtem, zanim Rada mogła go podpisać.

Litość przeniknęła aż do ministerium mimo nieustającego potoku spraw, który często nie pozostawia miejsca dla litości, i mimo przywyknięcia do widoku nieszczęśliwych, od czego jeszcze bardziej mogą stwardnieć serca. Zwrócono córki matce. Ujrzano je wszystkie trzy razem, okryte krepą. Były zalane łzami i zmuszały do płaczu.

Jednakże rodzina miała jeszcze nieprzyjaciół, ponieważ chodziło o religię. Wielu ludzi, których nazywa się we Francji *d e w o t a m i*, mówiło głośno, że lepiej połamać kołem starego, niewinnego kalwinistę, niż narazić ośmiu radnych langwedockich na to, by musieli przyznać, że się pomylili. Posługiwano się nawet takim określeniem: „Więcej jest sędziów niż Calasów", i wyciągano z tego wniosek, że rodzinę Calasów winno się poświęcić w imię czci sądownictwa. Nie pamiętano o tym, że cześć sędziów, tak samo jak i cześć innych ludzi, polega na naprawianiu własnych błędów. Nie wierzy się we Francji, aby papież wraz ze swymi kardynałami był nieomylny, można by więc było i ośmiu sędziów z Tuluzy nie uważać za nieomylnych. Wszyscy inni ludzie rozsądni i nieuprzedzeni twierdzili, że cała Europa przekreśli wyrok tuluzjański, gdy nawet względy szczególne przeszkodzą, aby unieważniła go Rada.

W takim stanie znajdowała się ta zdumiewająca sprawa, gdy ludzie bezstronni, a przecież mający dobre serca, powzięli zamiar przedstawienia szerokiemu ogółowi garści rozważań nad tolerancją, nad pobłażliwością, nad współczuciem, które w swej napuszonej, fałszywej i pełnej deklamacji rozprawie o faktach ksiądz Houtteville nazywa *d o g m a t e m p o t w o r n y m*, a które rozum nazywa *c z ą s t k ą n a t u r y*.

Albo sędziowie tuluzjańscy, porwani fanatyzmem pospólstwa, kazali łamać kołem niewinnego ojca rodziny, co jest rzeczą bezprzykładną, albo też ów ojciec i jego żona udusili swego najstarszego syna, wspomagani w tym synobójstwie przez drugiego syna i przyjaciela, co jest przeciwne naturze. I w pierwszym, i w drugim wypadku nadużycie najświętszej religii doprowadziło do wielkiej zbrodni. Należy więc w interesie rodzaju ludzkiego zbadać, czy religia powinna być miłosierna, czy też barbarzyńska.

Przekład: Zdzisław Ryłko, Adolf Sowiński
(Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956 r.)



Coraz częściej dowiadujemy się z doniesień prasowych i agencyjnych o zbiorowościach i ruchach religijnych, oczekujących szybko zbliżającego się końca świata. Na ogół daje się pierwszeństwo sensacjom. Takim choćby jak niedawna tragedia w dżunglach Gujany, kiedy to na rozkaz Jimmie Jonsesa setki członków Świątyni Ludu popełniło akt zbiorowego samobójstwa. Albo jak podjęta też niedawno przez byłego adwentystę decyzja oczekiwania nadejścia Wielkiego Płomienia w ścisłym osamotnieniu. Po zerwaniu ze swym kościołem doszedł on wraz ze swoimi zwolennikami do wniosku, że i tak nigdzie nie uchroni się przed Wielkim Płomieniem (synonim końca świata), który rozgorzeje już za kilka miesięcy.

Raporty i przewidywania wielu socjologów religii zgodne są co do możliwości „drugiej Gujany", czyli powtórzenia się wkrótce tego typu dramatu. Siłą rzeczy, kieruje to uwagę opinii publicznej ku tym ruchom, społecznościom i wyznaniom religijnym, które „żyją" niejako końcem świata.

Zaledwie kilkanaście lat dzieli ludzkość od roku 2000. Koniec dwudziestego wieku i zarazem schyłek drugiego tysiąclecia naszej ery nie pokrywa się jednak z rachubą czasu stosowaną poza naszym kręgiem kulturowym i cywilizacyjnym. Na przykład rok 1983 będzie dla wielu muzułmanów „zaledwie" rokiem 1403. Muzułmańscy szyici mają jeszcze inny kalendarz, a dla ortodoksyjnych Żydów, którzy liczą czas „od stworzenia świata", zbliżający się rok 2000 bliski będzie rokowi 6000.

Kalendarz jest rzeczą umowną, natomiast okrągłym datom, kombinacjom cyfrowym, magii liczb i w ogóle numerologii zwykło się z dawien dawna przypisywać znaczenie zwrotne w dziejach, upatrywać w nich

Andrzej Tokarczyk

WIELKA APOKALIPSA

momenty dziejotwórcze. W starożytności numerologia i towarzyszące jej spekulacje historiozoficzne rozstrzygały często o losach państw i całych dynastii. Potem, gdy świat stał się zarazem większy i mniejszy na skutek poznania nowych kultur, poszerzania się kontaktów międzyludzkich oraz przekonywania się o wielkości i umowności wszelkich kalendarzy, wpływ ten znacznie zmalał, ale nie była to nigdy i nie jest nadal żadna „krzywa" opadająca w dół. Przeciwnie, można tu raczej mówić o kolejnych „odpływach" i „przypływach" fali niepokojów i oczekiwań związanych z zapowiadanymi i prorokowanymi „przesileniami" czasu. A więc na przykład z rokiem 1000 i 2000, gdy o kulturze europejskiej mowa.

Europa przed rokiem 1000

Dawni kronikarze i historycy pozostawili nam wstrząsający opis Europy oczekującej roku 1000, kiedy to spodziewano się właśnie końca świata. Opisali dramatyczne sceny i budzące grozę wydarzenia towarzyszące tym powszechnym wówczas oczekiwaniom. W miarę jak zbliżał się ów rok (a niektórzy sądzili, że może to być również rok 999 albo 1001, spierając się przy tym nawet o poszczególne dni i miesiące), rosła panika, a także nasilała się religijność i antyreligijność. Tak na przykład w Burgundii zabijano i pożerano się nawzajem, praktykując rytualny kanibalizm. Z jednej strony przybrał na sile kult relikwii i odbywały się masowe pielgrzymki do miejsc świętych, z drugiej – zyskały wielu zwolenników kulty satanistyczne, „czarne msze" i praktyki magiczne. Tłem tego wszytkiego były ciągłe, nie kończące się wojny, epidemie głodu, katastrofy i kataklizmy oraz wstrząsy społeczno-religijne. Zgadzało się to jak najbardziej z treścią Apokalipsy, z biblijnym „scenariuszem" końca świata, i oddziaływało wyjątkowo silnie na wyobraźnię ówczesnego człowieka, budząc wszędzie obłędny strach. My, ludzie współcześni, nie potrafimy już nawet wyobrazić sobie tego, jak bardzo bali się końca świata nasi przodkowie z lat 999, 1000 i 1001! Ale

właśnie ów lęk przed nieznanym i pragnienie pozbycia się tego lęku przyczyniły się w niemałym stopniu do uformowania zrębów i podwalin współczesnej cywilizacji. Pochopne byłoby zatem stwierdzenie, że w odróżnieniu od roku 1000 rok 2000, który zbliża się szybko, nie wywiera już znaczącego wpływu na świadomość potoczną, nie kształtuje określonych trendów w kulturze, w myśleniu religijnym i pozareligijnym, słowem, nie powtarza w jakiejś mierze tego wszystkiego, co przeżywała średniowieczna Europa tysiąc lat temu. Umowność dat kalendarzowych i dość powszechna dzisiaj świadomość tej umowności nie są w stanie tego procesu zatrzymać ani nawet zahamować.

Nie jest go w stanie również zastopować wielkość przepowiedni. W podświadomości ludzkiej tkwi bowiem przekonanie, że któraś z nich może okazać się w końcu prawdziwa. I że coś musi w tym być, iż tak uparcie drąży to świadomość ludzką, skłania tylu myślicieli i teologów, filozofów i egzegetów, uczonych i samouków do żmudnych i kuriozalnych nieraz obliczeń. Wiemy, że na przykład Wiklif, jeden z wczesnych reformatorów angielskich, spodziewał się nadejścia końca świata w roku 1400.

Od Wiklifa do Orwella

Spróbujmy uszeregować jakoś kolejne proroctwa i przepowiednie o końcu świata.

Wiklif, tłumacz Biblii, prekursor reformacji protestanckiej. Spodziewał się go już w roku 1400.

Święty Wincenty Ferreriusz, teolog katolicki okresu średniowiecza. Jego zdaniem miało to nastąpić w roku 1412.

Leovitius, teolog i myśliciel chrześcijański. Miał to być rok 1584.

Branbon, jeden z „proroków końca świata". Z jego obliczeń wynikało, że będzie to rok 1711.

Winston, myśliciel i badacz Biblii. Doszedł do bardzo podobnego wniosku i wymienił konkretną datę – rok 1714.

Kuzańczyk, czyli Mikołaj z Kuzy, jeden z najświatlejszych umysłów przełomu nowożytnego w myśli europejskiej. Spodziewał się końca świata gdzieś między rokiem 1700 a 1734.

Edward Irving, dziewiętnastowieczny teolog i myśliciel anglikański, i irwingianie. Oczekiwali końca świata w roku 1835.

William Miller, dziewiętnastowieczny myśliciel, badacz Biblii, i milleryści, poprzednicy adwentystów. Byli przekonani, że w roku 1844 nastąpi Drugi Adwent, czyli ponowne widzialne przyjście Chrystusa na ziemię, co zapoczątkuje „ciąg wydarzeń ostatecznych", to jest koniec świata.

Charles Taze Russell, żyjący na przełomie XIX i XX wieku, założyciel Międzynarodowego Stowarzyszenia Badaczy Pisma Świętego, z którego między innymi wyłonił się ruch Świadków Jehowy. Doszedł do wniosku, że Chrystus już przyszedł na ziemię, ale w postaci niewidzialnej, i że stało się to w roku 1874. Russel stawiał także na rok 1914 jako na „początek końca wydarzeń ostatecznych". Wybuch w roku 1914 Wielkiej Wojny uznano za sprawdzenie się tej przepowiedni. Zdaniem Badaczy Pisma Świętego różnych odłamów, wojna ta wciąż właściwie trwa, mimo iż się skończyła, i zapowiada finał dziejów ludzkości.

Świadkowie Jehowy głosili jeszcze do niedawna, że „przesilenia" spodziewać się należy w roku 1975. (W ich terminologii „koniec świata" i „koniec ludzkości" to dwa różne terminy).

Adwentyści Dnia Siódemgo głoszą bliskie i widzialne przyjście na świat Chrystusa, nie określając tego jednak w czasie.

Swego czasu Pico della Mirandola wyliczył, że koniec świata nastąpi w roku 1994. Natomiast w bardzo odległej perspektywie czasowej, bo aż w roku 7777, widział go Bengel.

Głośna przepowiednia Fatimy z roku 1917 zapowiada, że jeszcze przed rokiem 2000, a więc przed końcem obecnego stulecia, świat stanie się widownią największego w swych dotychczasowych dziejach dramatu.

Do najbardziej zagadkowo brzmiących przepowiedni, jeżeli nie liczyć wizji orwellowskich, odnoszących się do roku 1984, należy proroctwo św. Malachiasza. Ten żyjący w XI wieku biskup katolicki z Armagh, w Irlandii, twierdził, że koniec świata nastąpi wtedy, gdy na stolicy papieskiej zasiądzie papież, który przybierze imię Piotra Rzymianina II.

* * *

Zagadka piramidy Cheopsa

W podświadomości i świadomości ludzkiej tkwi zatem przekonanie, że któraś z tych przepowiedni może okazać się w końcu prawdziwa. Tylko która?

Poszukując jakiegoś „wsparcia" dla tych obliczeń i przepowiedni, zwrócono się ku różnym dziedzinom ludzkiej myśli i działalności. W sukurs prorokom przyszli uczeni. Między innymi archeolodzy i egiptolodzy. Zwracali oni od dość dawna uwagę na zagadkę piramidy Cheopsa, której dziwne kształty, wymiary i proporcje kazały domyślać się ukrytego przesłania czy jakiegoś przekazu. Według obserwacji Davida Davidsona, inżyniera budowlanego z Leeds, kluczem do rozwikłania tej zagadki jest – po żmudnych wyliczeniach – stale powtarzająca się krotność liczby 286,1. Cóż to za liczba? Jest to krotność 286,1 stopy, z tym że koło zakreślane wokół podstawy piramidy Cheopsa liczy sto razy tyle jednostek, ile mamy wszystkich dni w roku. Założono więc, że piramida Cheopsa to jak gdyby „boski zapis" wszystkich przyszłych ważnych wydarzeń. Tych, o których mówią księgi biblijne z Apokalipsą na czele. Wystarczy tylko znaleźć „klucz" do zastosowanego przy tej budowie szyfru, aby się o tym przekonać. I aby móc odpowiednio zinterpretować określone stosunki liczbowe oraz proporcje architektoniczne. Jest to bowiem jak gdyby zapis ciągły, pnący się w górę, zwracający uwagę na pewne znane już fakty dokonane w przeszłości i na wydarzenia przyszłe. Całość tego „zapisu" odpowiada idealnie sześciu tysiącom lat, sześciu dniom stworzenia i całej przeszłej oraz przyszłej historii ludzkości – aż do końca świata włącznie. Dzień siódmy – to dzień Wymiaru Sprawiedliwości, Dzień Odpoczynku Pańskiego, wreszcie zaś Dzień Wielkiego Kataklizmu, Wielkiej Katastrofy. Wychodząc z takich założeń, wysnuto wniosek o największym apokaliptycznym wydarzeniu, do jakiego dojść ma w dniu 17 września 2001 roku. Określa się je kryptonimem „Wielki Huk" i utożsamia z ... końcem świata. Tak przynajmniej uważają liczni interpretatorzy „zagadki piramidy Cheopsa". Jedno jest w tym wszystkim imponujące, a mianowicie możliwość wylicze-

nia z tego wykresu dokładnej daty (dzień, miesiąc, rok) każdego „zapowiedzianego" wydarzenia, a nie tylko w jakimś grubszym przybliżeniu. Ci, którzy odetchnęli z ulgą, że dzień „Wielkiego Huku" nastąpić ma „dopiero" za prawie dwadzieścia lat, nie powinni jednak cieszyć się przedwcześnie. Bardzo bowiem „niebezpieczne" wydają się na tym wykresie: lipiec 1985, sierpień 1986, oraz grudzień 1988 roku! Już wówczas może nastąpić ów „Wielki Huk", czyli koniec naszej cywilizacji, choć w przypadku daty 17 września 2001 roku wydaje się to „bardziej pewne". Warto w tym miejscu dodać uwagę, że na tym „wykresie" dopatrzono się już wybuchu obu wojen światowych, rewolucji francuskiej i wcześniejszych wydarzeń o zasięgu ogólnoświatowym. Niektórych intrygują również słowa zawarte w Apokalipsie: *„Wstań i zmierz świątynię Bożą!".* Wyczytują w nich oni wezwanie do przeanalizowania dziwnych kształtów piramidy Cheopsa i związanych z nimi stosunków przy budowie różnego rodzaju obiektów, zwłaszcza sakralnych. Niewykluczone, że i piramid.



Drzeworyty Albrechta Dürera z cyklu *Apokalipsa*

Księga siedmiu pieczęci

A co jest treścią Apokalipsy? Najkrócej mówiąc, jest nią *„nowe niebo i nowa ziemia, gdzie sprawiedliwość zamieszka."* Księga Objawienia, czyli Apokalipsa – to zbiór siedmiu listów pisanych ręką apostoła Jana pod dyktando Syna Człowieczego (Jezusa Chrystusa), listów kierowanych do siedmiu gmin, czyli siedmiu kościołów wczesnochrześcijańskich w Azji Mniejszej. A więc do Efezu, Smyrny, Pergamonu, Tiatyry, Sardach, Filadelfii oraz Laodycei.

Nazwy tych gmin są jednocześnie alegoriami kolejnych epok w życiu całego Kościoła. Tak na przykład o jednych chrześcijaninach mówi się w Apokalipsie, że nie są ani zimni, ani gorący, a jedynie letni. I zaklina się ich, aby wyzbyli się owej „letniości" – synonimu zobojętnienia w wierze. Symbolika „Filadelfii" czy „Laodycei" stanowić odtąd będzie przedmiot zaciętych sporów teologicznych, zwłaszcza w okresie reformacji protestanckiej w Europie i współcześnie.

Niektórzy objaśniacze i interpretatorzy twierdzą, że proroctwa zawarte w Apokalipsie o przyszłych prześladowaniach chrześcijan odnieść należy do krwawych prześladowań za czasów cesarza Domicjana. Inni widzą w niej zapowiedź prześladowań w „czasach ostatecznych", przy „końcu świata". Są zwolennicy interpretacji symbolicznej (alegorycznej), literalnej (dosłownej) oraz „mieszanej". Na tym tle dochodzi do poważnych sporów i konfliktów pomiędzy poszczególnymi wyznaniami chrześcijańskimi oraz kierunkami w chrześcijaństwie. Adwentyści Dnia Siódmego, baptyści różnych odcieni, zielonoświątkowcy, mormoni, Badacze Pisma Świętego (kilka odmian) i wreszcie Świadkowie Jehowy, nie mówiąc już o zborach nowoapostolskich czy darbystach, to jest „Chrześcijanach bez Osobliwego Wyznania", bronią tu różnych scenariuszy „wydarzeń ostatecznych", przywiązując niesłychaną wagę do każdego szczegółu i broniąc tym samym niejako swej własnej tożsamości. Pod tym względem Apokalipsę prześwietlono już – tak to chyba można określić – na wszystkie strony. Napisano też tomy na temat każdego niemal zawartego w niej słowa czy przecinka.

Spory wśród teologów

Jednakże większość teologów uważa Apokalipsę za księgę proroczą o celach i czasach ostatecznych, a więc o tym, co czeka ludzkość w finalnym momencie „końca świata". Scenariusz mającego się wówczas rozegrać Wiel-

kiego Dramatu jest w Apokalipsie dosyć zresztą szczegółowy i konkretny. Oto sekwencja kolejnych jego aktów: otwarcie przez anioła tajemniczej księgi, zamkniętej na siedem pieczęci (z tym, że na początku łamie się sześć pierwszych, a dopiero na końcu siódmą: jest to przysłowiowe „otwarcie siódmej pieczęci"), pojawienie się uwiecznionych na drzeworytach Albrechta Dürera „czterech jeźdźców Apokalipsy", siejących wokół siebie grozę, śmierć i zniszczenie, wizja „narodu zwycięzców", otwarcie siódmej pieczęci, czemu towarzyszy wizja siedmiu aniołów dmących w trąby, pojawienie się zagadkowej Małej Książeczki, przybycie Dwóch Świadków, kolejne wizje Niewiasty, Smoka, Dwóch Bestii, z których jedna wychodzi z ziemi, a druga wynurza się z morza, wizja siedmiu aniołów z siedmioma czaszami, wizja siedmiu wielkich plag, wizja upadku potężnego Babilonu – symbolu całkowitego odejścia od wiary, nastanie Tysiącletniego Królestwa Chrystusowego (Milenium), wizja ostatecznego pokonania Szatana przez Chrystusa, wizja Sądu Ostatecznego, triumfalnego powrotu Chrystusa na ziemię wraz ze świętymi (to jest sprawiedliwymi), wreszcie wizja ustanowienia nowych, sprawiedliwych stosunków, na nowej, odrodzonej ziemi. Osią tematyczną tych wszystkich wizji jest więc wiara w ponowne przyjście Chrystusa na ziemię przy końcu świata, w zmartwychwstanie zmarłych, w zbawienie sprawiedliwych i potępienie grzeszników, w Sąd Ostateczny, w pokonanie i w przezwyciężenie śmierci jako takiej, wreszcie w powrót jak gdyby do „status quo ante", do rajskich stosunków. Słowem, ma to być przebycie przez ludzkość drogi od Raju utraconego – do Raju odzyskanego.

Alternatywa czy „dopełnienie"?

Czy jest to wizja katastroficzna, czy też napawająca optymizmem? Powiedzmy sobie od razu, że i tak, i nie.

Jest to raczej Arcydramat Dziejowy, który różne wyznania chrześcijańskie interpretują każde po swojemu. I któremu towarzyszy wyraźnie przesłanie moralne: przezwyciężenie zła i niesprawiedliwości, ukaranie jego sprawców, unieśmiertelnienie (w taki lub inny sposób) tych ludzi, którzy na to zasłużyli lub zasłużą.

* * *

Dla wielu teologów różnych wyznań pozostaje problemem pogodzenie wiary w zmartwychwstanie, w Sąd Ostateczny i w Drugi Adwent, to jest w drugie przyjście Chrystusa na ziemię, z wiarą w indywidualne rozstrzygnięcie losów każdego człowieka zaraz po jego zgonie. Rywalizują tu jak gdyby z sobą dwie różne koncepcje. Już w judaizmie jedni wierzyli w zmartwychwstanie, inni tę wiarę odrzucali. Ten dawny spór między faryzeuszami a saduceuszami nigdy się właściwie nie zakończył. W ujęciu teologii chrześcijańskiej człowiek jest istotą duchowo-cielesną, złożoną z nieśmiertelnej duszy i ze śmiertelnego ciała. To prawda, ale wiarę w nieśmiertelność duszy i możliwość jej egzystencji poza ciałem odrzucają także niektóre (choć nieliczne) wyznania chrześcijańskie. Na przykład Adwentyści Dnia Siódmego. Nie będąc prostym „przedłużeniem" judaizmu, lecz splotem myśli hebrajskiej z myślą grecką, chrześcijaństwo pozostawia ten problem otwarty i dopuszcza wielorakość jego interpretacji. Stąd też w teologii poszczególnych wyznań kładzie się bądź nacisk na ewentualne rozstrzygnięcie losów człowieka zaraz po jego śmierci, bądź też na przyszłe cielesne zmartwychwstanie. Jedni uważają, że stan śmierci przypomina stan snu, podczas którego nic się właściwie nie dzieje i kiedy człowiek traci wszelką świadomość. Dla innych śmierć jest natomiast wstępem do indywidualnego „końca świata" i indywidualnego Sądu Ostatecznego. Jest jakby Arcydramatem Wszechdziejów, sprowadzonym do wymiarów indywidualnego losu umierającego. W przekonaniu jednych – dopiero wszechdonośny głos trąby archanielskiej obudzi zmarłych ze snu śmierci. Nastąpi wówczas jak gdyby „odtworzenie" całego człowieka: jego duszy i ciała. Bóg, który człowieka stworzył, potrafi go także odtworzyć. A następnie przemienić. I w końcu porwać na obłokach niebieskich ku niebu. Inni stoją na stanowisku, że nieśmiertelna dusza ludzka oddziela się po prostu po śmierci od śmiertelnego ciała i zostaje albo zbawiona, albo potępiona, albo wędruje do czyśćca. W prawosławiu odrzuca się wiarę w istnienie czyśćca, żywa jest tam natomiast wiara w to, że umarli po prostu żyją dalej i że my, ludzie żyjący, wywieramy odczuwalny wpływ na ich życie pozagrobowe. Możemy naszym postępowaniem przysporzyć im ulg albo cierpień. W protestantyzmie, zwłaszcza wśród wyznań o silnej orientacji eschatologicznej, takich jak adwentyści, darbyści, irwingianie czy mormoni, a także Badacze Pisma Świętego, przeważa wiara w zmartwychwstanie. Wyznania te głoszą różnego rodzaju wizje i proroctwa apokaliptyczne. Domeną ich jest apokaliptyka, koncepcja „końca świata". Natomiast w katolicyzmie usiłuje się jakoś z sobą pogodzić i zestawić te dwie różne koncepcje antropologiczne: dualistyczną i monistyczną. Twierdzi się, że jedna drugiej w niczym nie przeszkadza, że jest to różnica perspektywy czasowej. Mówi się wszak w katolickich homiliach adwentowych, że nadejdzie kiedyś koniec świata, kiedy to nastąpi zmartwychwstanie i *„pierwsze rzeczy przeminą"*. Apokalipsa i opisane w niej sceny mają niejako „dopełnić" w przyszłości to, co czeka w teraźniejszości każdego indywidualnie i czego ludzkość doświadczy kiedyś zbiorowo. Ale współczesna teologia i myśl katolicka zdają się ulegać także procesowi „eschatologizacji" (problem pośmiertnych losów jednostki ludzkiej) i poddawać wpływowi apokaliptyki. Nigdy jeszcze nie interesowano się tu tymi problemami tak dogłębnie, jak obecnie.

* * *

I jeszcze jedna ciekawostka. Jest nią wiara pojawiająca się nie w protestantyzmie i nie w katolicyzmie, lecz w prawosławiu, tak zwana teoria apokatastazy. Otóż wybiegając myślą i wyobraźnią w najdalszą niejako przyszłość, niektórzy teologowie prawosławni twierdzą, że na samym już końcu Bóg przebaczy również Szatanowi, który był sprawcą wszelkiego zła na ziemi. Uczyni to dlatego, że zrobienie jakiegokolwiek wyjątku w dziele wszechmiłosierdzia przeczyłoby atrybutowi wszechdobroci Boga.

* * *

Mahdi i Issa

Przy końcu świata wszyscy zmarli mają powstać ze swych grobów na donośny głos trąby anioła Israfila. Tak wierzą muzułmanie, choć teologowie muzułmańscy toczą między sobą spory o to, gdzie i jak ma to nastąpić. Już w religii Zaratusztry (zaratusztrianizmie) pojawiło się wyobrażenie i zarazem symbol mostu Czinwat, po którym muszą przejść dusze sprawiedliwych, aby dostać się do krainy wiecznej szczęśliwości, zwanej Garodemarą lub Wohumaną. Wąskość tego mostu sprawia, że dusze niesprawiedliwych, nie mogąc w żaden sposób utrzymać równowagi, spadają po prostu w przepaść. Otóż w islamie most ów nazywa się Ssirath i biegnie nad sadzawką Haudh. Tak bowie uczy Koran, święta księga wszystkich mahometan. Most ten ma być tak wąski jak ostrze miecza wykonanego z wybornej damasceńskiej stali, a nawet jeszcze węższy od niego! Niełatwo go zatem pokonać, zwłaszcza gdy nikt nie podtrzymuje przechodzącego... Na szczęście z taką właśnie pomocą śpieszy wszystkim sprawiedliwym sam Prorok, czyli Mahomet. On to podaje im pomocną dłoń i przeprowadza bezpiecznie na drugi brzeg. Niesprawiedliwi natomiast spadają z mostu, a właściwie są z niego ściągani w dół przez złe duchy-dręczyciele, którym przewodzi Thabel. Niesprawiedliwi trafiają w ten sposób do jednego z przedziałów muzułmańskiego piekła, zarezerwowanego odpowiednio dla wyznawców danej religii. Bo przedziałów tych ma być siedem, jako że i w piekle zostaje zachowana swego rodzaju segregacja wyznaniowa.

Krańcowo odmienny jest los sprawiedliwych. Trafiają oni do rajskiego ogrodu, gdzie mogą do woli rozkoszować się wybornym jadłem i napojami. Rośnie w nim drzewo szczęścia – Tuba. Wiernym usługują czarnookie, nigdy nie starzejące się, wieczne dziewice-hurysy. Pałac Proroka stoi pośrodku tego rajskiego przybytku.

Podobnie jak w wierzeniach staroirańskich, gdzie pojawiła się idea Saoszjanta, ostatniego sotera, czyli zbawiciela, który ma się zjawić w czasach ostatecznych, tak i w islamie utrzymuje się wiara w przyjście Mahdiego, sprawiedliwego imama i Mesjasza szyitów. Mahdi ma się również pojawić na ziemi „w czasach ostatecznych", „przy końcu świata". Poprowadzi on wiernych wyznawców Allacha na „bój ostateczny", ponieważ sam jest „panem czasu" i „przyszłym zwycięzcą". Kiedy to nastąpi, tego nikt nie wie. Ale od czasu do czasu pojawia się kolejny Mahdi lub ktoś, kogo uważa się za Mahdiego, i wówczas świat muzułmański drży dosłownie w posadach. Przed kilku jednak laty grupa teologów muzułmańskich orzekła, powołując się na Koran, że tym, którego przyjścia na świat należy spodziewać się wkrótce, nie będzie wcale Mahdi, lecz Isa, czyli Jezus. W doktrynie muzułmańskiej oddaje się bowiem również cześć Jezusowi, ale na innej zasadzie niż czynią to chrześcijanie. (Naczelne miejsce zajmuje tam Prorok Mahomet). Mahdi też przyjdzie – twierdzą ci teologowie muzułmańscy – ale najpierw pojawi się Isa. Byłby to więc jakiś zwrot ku eschatologii i apokaliptyce chrześcijańskiej? Trudno na razie powiedzieć. Przed nami rok 2000...

Jak widzą koniec świata zwolennicy różnych wyznań i kierunków we współczesnym chrześcijaństwie, dowiemy się z następnych odcinków tej samej serii.



Rys. Szymon Kobyliński

Serge Jacquemard

przełożył Wojciech Ludwikowski

Requiem dla króla zbrodni

Rozdział I

Czwartek, 10 stycznia 1974

Frank D'Agricola zdecydowanie nie lubił tego widoku zza szyby samochodu. Ponurych doków, magazynów portowych, czarnych od brudu, o dachach pokrytych grubą warstwą śniegu. Od tygodnia Nowy Jork był dotknięty zawieją. Młodzi, o opalonych twarzach, do połowy ukrytych pod czapami, opatuleni w kanadyjki, w ciepłych butach, obrzucali się śnieżnymi kulami.

Śnieżne kule w dzień – pomyślał Frank z niesmakiem – a w nocy noże, brzytwy albo strzelby.

Niebo było ołowiane. Miało się wrażenie, że runie na dachy składów. Na East River, na wysokości Brooklyn Bridge, odzywały się syreny statków.

Trzeba było wariata, żeby w taki czas wytknąć nos z domu. Wariata albo kinomana. Mógł się ostatecznie wybrać do luksusowej sali na Manhattanie, w pobliżu Times Square. Tylko że tam od dawna nie grano „Ojca chrzestnego". A on chciał zobaczyć „Ojca chrzestnego". Uwielbiał ten film. Widział go już czternaście razy, ale zawsze był gotów obejrzeć go znowu. Marlon Brando w roli capo mafioso był po prostu fantastyczny.

Twórcy filmu, żeby stworzyć postać Don Corleone, wybrali na modeli wielu różnych capi mafiosi, wśród nich i jego, Franka D'Agricolę, który znał wszystkich pozostałych – od Vita Genovesa po Franka Castello. Z każdego wzięli coś charakterystycznego – najlepsze i najgorsze cechy – zestawili jak elementy układanki, pokleili, by w rezultacie powstała postać składająca się – jak Frankenstein – z wielu istnień naraz. Podczas projekcji Frank D'Agricola szeptał do siebie: „To kiedyś zrobił Vito... Tego typa Frank kazał sprzątnąć w Jersey City". Albo jeszcze: „Ależ co on gada, to przecież ja powiedziałem do Giuseppa tuż przed wydaleniem go do Włoch".

Cała młodość Franka odżywała w tym filmie. Nie tylko zresztą młodość, także te lata, gdy był jeszcze na szczycie. Dawne czasy. Teraz czuł się okropnie staro. Jak długo jeszcze będzie stawiał czoło? Jak długo oprze się tej zgrai wilków, która tylko czeka na odpowiedni moment, żeby się na niego rzucić i pożreć?

Było mu zimno mimo specjalnego ogrzewania, w jakie był wyposażony chevrolet.

– Włącz silniejsze ogrzewanie – polecił siedzącemu za kierownicą Charlie'emu, jednemu ze swych goryli.

Charlie wykonał polecenie, ale mruknął:

– Zdechniemy przez pana, szefie!

Frank D'Agricola wzruszył ramionami. Jeszcze sześć lat temu Charlie nie pozwoliłby sobie na taką uwagę. Czasy się zmieniły.

Zbliżali się do Plymouth Street. Zawszona dzielnica, pełna włóczęgów. Nędzna sala nie zmieniła się od czasów filmu niemego. Ale była jedyną na pięć okręgów Nowego Jorku, gdzie grano „Ojca chrzestnego". I Frank D'Agricola, chcąc po raz piętnasty obejrzeć film, musiał się tam wybrać. Przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności. Cadillaca super luxe, którym zwykle jeździł, zostawił w swej posiadłości na Long Island i wziął zjechanego chevroleta z roku 1969, własność ogrodnika. Włożył stare, przesiąknięte stęchlizną ubranie. Podobnie jego kapelusz pamiętał lepsze czasy. Czy należał zresztą do niego? Frank miał wrażenie, że kiedyś zapomniał go jakiś gość, i wygnieciony, odpoczywał dotąd w kącie. Tak, był za mały na jego głowę – czuł, jak mu ściska czoło. Przecież głowa nie powiększa się. Brzuch tak! Ale nie głowa. I po co ta cała maskarada? Żeby go nie zauważono w nędznej dzielnicy. W takich zakątkach lepiej zmieszać się z tłumem.

Kierowca skręcił. Ukazał się zniszczony fronton kina. Nazywało się „Kursaal" – nawet nazwa niemodna. Samochód zwolnił i stanął.

Frank D'Agricola obrzucił zdegustowanym spojrzeniem obdartych wyrostków, którzy krążyli w pobliżu, zbierając odpadki. Trzeba było naprawdę bardzo chcieć zobaczyć „Ojca chrzestnego" – westchnął i położył rękę na klamce.

– Co robimy, szefie? – zapytał Charlie. – Zostajemy tu, czy idziemy z panem do środka?

Frank D'Agricola zawahał się – już tyle razy kazał im oglądać „Ojca chrzestnego", że musieli mieć dość – ale natychmiast się zbeształ. Co go właściwie obchodzi stan ich dusz? Płaci im, i to grubo, żeby czuwali nad jego bezpieczeństwem. Więc? Widocznie zmiękł i zaczyna myśleć o innych.

Ostrym głosem rzekł:

– Idziecie ze mną!

Nie zwracając uwagi na posępny wyraz ich twarzy, otworzył drzwiczki i wysiadł. Odsunął chłopaczków, którzy zagrodzili mu drogę, i wszedł do kina. Kupił trzy bilety i ruszył do wejścia na salę – goryle szli za nim. Podał bilety do skontrolowania, kupił w automacie orzeszki i wszedł do

środka. Z wiekiem wzrok mu się popsuł, ale powodowany kokieterią, nie chciał nosić okularów, wybrał więc rząd blisko ekranu. Goryle usiedli dalej, w ważnych strategicznie miejscach, skąd mogli jednocześnie obserwować i jego, i drzwi. Kierowca został w chevrolecie i pilnował ulicy.

Fotel był twardy i sztywny jak platforma w wagonie towarowym. Sala źle ogrzana. Nagle Frank poczuł się stary, zmęczony i rozczarowany. Nie był nawet pewien, czy ma chęć obejrzeć „Ojca chrzestnego". Zaczął się nad sobą litować. Trzy lata temu umarła jego wierna towarzyszka życia, Domenica. Wszystko dzielnie znosiła. Syn, Johnny, poznawszy jego kryminalną działalność, opuścił go. Co więcej, poświęcił się, jak na ironię, walce z przestępczością. Córka, Sylwia, narkomanka w ostatnim stadium, żyła w komunie hippisów Ashbury'ego Heivhtsa w San Francisco. Całkowite fiasko.

D'Agricola poruszył się w fotelu, było mu niewygodnie – kiedy wreszcie zacznie się seans? Rozejrzał się dokoła. Twarze samych Mulatów. Jak w całym Nowym Jorku, odkąd ciemnoskórym przyznano równouprawnienie. Frank był przeciw temu. Porządek musi być. Każdy na swoim miejscu, a wtedy będzie dobrze. Ci kolorowi wszystko mieli za darmo, nawet środki antykoncepcyjne, żeby nie robili więcej dzieci. Ale oni oczywiście tego nie używali, odsprzedawali innym.

Zgasły światła. Frank westchnął z ulgą. Po kronice zaczął się film.

Frank D'Agricola wyjął z kieszeni paczuszkę solonych orzeszków i zaczął chrupać. Oczy utkwił w ekranie. Znał na pamięć wszystkie kwestie i mógłby każdą wyrecytować, zanim aktor zdąży otworzyć usta.

Właśnie następował moment, gdy producent hollywoodzki budzi się w pościeli przesiąkniętej krwią, sączącą się z odciętej głowy jego ulubionego konia. I wtedy Frank poczuł, że coś cienkiego i zimnego ściska mu szyję. Poderwał się. Podniósł gwałtownie ręce do gardła, ale było już za późno – miedziana linka bezlitośnie cisnęła, cisnęła, cisnęła. Próbował wstać, lecz dwie potężne ręce wciskały go w fotel, uniemożliwiając najdrobniejszy ruch. Dusił się. Brakło mu powietrza. Paliło w nozdrzach. Odczuwał straszny ból i czuł, jak krew sączy mu się po wargach i brodzie. Palce, żeby rozluźnić śmiertelny uścisk, szukały rozpaczliwie jakiegoś punktu zaczepienia, daremnie, chwytały tylko próżnię.

Na ekranie przesuwały się obrazy, tworząc jakiś okropny i barwny kalejdoskop, który wydawał się pochłaniać całą salę. Potem kalejdoskop zaczął się kręcić i wirować.

Tuż przed śmiercią Frank pomyślał: „Co robią Charlie i Steve?" Nie wiedział, że jego dwaj goryle skonali kilka sekund przed nim, zabici w podobny sposób.

Wtorek, 29 stycznia 1977

Mart Stonewall, czekając, aż strażnicy otworzą przed nim wrota więzienia, zapalił spokojnie papierosa. Gdy brama się uchyliła, zrobił krok naprzód.

– Możesz spierdalać, brudny czarnuchu – rzucił Chuck O'Connors, potężny irlandzki strażnik o czerwonej skórze.

Zamiast odpowiedzi Mart obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem i przekroczył bramę.

– Mam nadzieję, że następnym razem to będzie na wieczność. A wtedy, możesz mi wierzyć, dostaniesz wycisk – wściekał się za jego plecami Chuck O'Connors. – Z takimi świniami jak ty umiemy się rozprawiać, gdy mamy dość czasu.

Stonewall nie odpowiedział.

Na placu przed więzieniem czekał jasnoczerwony rolls-royce. Jego własny. Trzej jego ludzie, ci najwierniejsi, stali oparci o maskę wozu.

Czego się go czepiał ten drań O'Connors? Czy Mart nie był najwyższym szefem Harlemu? Niezaprzeczalnym władcą wszystkiego, co się rozciągało z jednej i drugiej strony 127. Ulicy, między Saint Nicholas a Lexington. I rok więzienia w niczym nie naruszył jego prestiżu.

Rok za pokiereszowanie brzytwą policzka tej zalanej w trupa blond kurwy, która go znieważyła w nocnym lokalu striptizowym, gdzie, Bóg wie po co, miał niefart zajrzeć.

Ale królestwo, jakie sobie zbudował dzięki własnej cierpliwości w Harlemie, nawet przez to nie drgnęło – dowodził z więzienia żelazną ręką, rozkazując likwidować małych spryciarzy, którym się zdawało, że korzystając z jego nieobecności, mogą zawładnąć terenem Marta Stonewalla.

Ze strony mafii nie obawiał się niczego. Przed aresztowaniem dobił z nią targu. Prostego i korzystnego dla obu stron: podział fifty-fifty bajecznych dochodów, jakie można wyciągać z Harlemu.

Czy więc ten nędzny irlandzki strażnik więzienny o żałosnych dochodach miał mu odebrać, przez swoje groźby, szaloną radość powrotu na wolność?

Do Marta zbliżyli się jego ludzie. Uścisnął im dłonie i nim wsiadł do rolls-royce'a, rozejrzał się dokoła, oddychając świeżym powietrzem poranka.

Z tyłu ciągnęły się budynki więzienne z czerwonej cegły. Na szczycie pagórka leżało Osining – pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, stan Nowy Jork – ze swym więzieniem, znanym jako Sing-Sing. Na lewo płynęły brudne i obojętne wody Hudsonu. Ileż razy Mart przyglądał się rzece przez okratowane okienko swej celi. Dalej był dwupoziomowy most Waszyngtona, w unoszącej się nad wodą mgle podobny do jakiegoś olbrzymiego szkieletu.

Hudson był milczącym towarzyszem niewoli Marta i Stonewall poprzysiągł sobie, że w dniu opuszczenia więzienia złoży mu kurtuazyjną wizytę i zanurzy palce w błotnistej wodzie.

Był przesądny – jak się coś przysięga, trzeba dotrzymać. Jego ludzie tupali nogami z zimna.

– Żeby tak coś małego na rozgrzewkę – zaproponował Walt Dobbs, którego twarz była woskowa.

– Wściekle tu nad rzeką zimno – przyznał Dick Mounts.

– Poczekajcie – zatrzymał ich Mart Stonewall. – Muszę zobaczyć rzekę z bliska.

Spojrzeli zdumieni, jakby nagle zwariował.

– Rzekę? – jęknął Dick Mounts. – Ale po co?

Mart Stonewall szybkim krokiem ruszył ku wodzie. O mało się nie pośliznął na zlodowaciałej ziemi, gdy powiew silnego wiatru obrzucił mu twarz kawałkami drewna. Ostrożnie zbliżył się do rzeki i kucnął. Trzęsąc się z zimna, zanurzył – na dwie sekundy – palce w lodowatej wodzie. No i dotrzymał przysięgi – w niebie lubią ludzi, którzy dotrzymują przysiąg. Nie ma wątpliwości, teraz los będzie dlań łaskawy, i szczęście będzie przy nim.

Ogarnęła go fala radości. Tak, szczęście będzie przy nim. Ruszył z powrotem równie szybko, jak przyszedł. Wrócił do rollsa i wsiadł.

Walt Dobbs zawrócił i skierował się ku drodze, która wijąc się biegła zboczem.

– Miło pana znowu widzieć, szefie – oznajmił Dick Mountns.

– Jak interesy? – zapytał Mart Stonewall.

– Nie można narzekać – odpowiedział Dick Mounts. –

Bulą wszyscy bez mrugnięcia.

– Poziom wpływów stały?

– Niewielka tendencja zniżkowa, ale to przecież styczeń, po świętach ludzie są twardzi.

– Nie ma kłopotów z Ritalami?*)

– Bo ja wiem? Dziwne rzeczy się dzieją. Trzeba będzie o tym pogadać.

– Dziwne rzeczy?

– No tak... Urwały się dochody ze źródeł, które przynosiły spory zysk...

Mart Stonewall zaniepokoił się.

– Jakie na przykład?

– Loteria, wyścigi, konie. A poza tym coś nowego u Ritalów... Zastanawiam się...

– No?

– Stary Frankie dał się zlikwidować w kinie brooklińskim przed dwoma tygodniami. Jakie licho go zaniosło do tej nędznej salki kinowej, jego, zawsze nadzianego forsą? A co więcej, wystawili go chyba do wiatru. Niemożliwe, żeby stary Frankie... Zawsze taki ostrożny...

– A jego goryle? Przecież nie terminatorzy, Charlie i Steve! Czy to nie dziwne?

– Kierowcy Frankiego oczywiście nie znaleziono?

– Nie. Wyparował.

– A wóz?

– Tak samo.

– To on ich wydał – stwierdził stanowczo Mart Stonewall.

– Komu?

Nie umiał odpowiedzieć. Zamilkł. Już chciał znów otworzyć usta, żeby zadać dalsze pytania, kiedy samochód nagle zahamował.

– Co się dzieje? – ryknął wściekle.

– Gliny – odpowiedział lakonicznie Walt.

– Gliny?

– Tak.

Mart Stonewall wychylił się przez okno. Biegnąca zboczem wzgórza kręta droga, którą jechali dotychczas w kierunku Osining, była zamknięta szlabanem. Przed barierą stali dwaj policjanci, w mundurach i w długich płaszczach sięgających kostek; rozgrzewali się, tupiąc nogami. Jeden z nich wskazał palcem na tablicę z żółtym napisem: „Objazd".

– Co to ma znaczyć? – wykrzyknął Walt. – Jak przed chwilą jechaliśmy, nie było tu nic takiego.

– Dobra – odrzekł Mart Stonewall. – Nie trać czasu. Bierz objazd.

Objazd okazał się wąską, bitą drogą z zamarzłymi koleinami, na których rolls okropnie podskakiwał.

– Wysiądą amortyzatory – jęknął Walt.

– Zamknij dziób i zajmij się prowadzeniem – rzucił Mart Stonewall.

Po pięciu minutach droga poprawiła się trochę i po ostrym wirażu wydostali się na otwartą całkowicie bezdrzewną przestrzeń, po której krążyły dwa buldożery i cztery betoniarki.

– To nieźle, że naprawiają drogę – odezwał się Dick Mounts.

Mart Stonewall zmrużył oczy. Beton do naprawy drogi? Walt zatrzymał rollsa za betoniarką, która mu zatarasowała drogę, i wściekle trąbił, żeby się odsunęła.

Mart Stonewall spostrzegł przez szybę, że zbliża się druga betoniarka i ustwia się tyłem do boku rollsa. Odwrócił głowę w lewo i zobaczył, że następna wykonuje identyczny manewr.

*) Rital – żargonowe określenie Włocha (przyp. tłum.)

Spojrzał przez tylną szybę. Czwarta betoniarka cofała się w kierunku bagażnika rollsa.

Cztery betoniarki okrążyły wóz.

Nagle zrozumiał: to pułapka. Wciągnięto go w zasadzkę. Gliny z tablicą „Objazd" – to lipa.

– Wycofuj się – krzyknął do Walta. – Te gnojki chcą nas złapać w pułapkę!

Walt przestał naciskać klakson i, trochę przestraszony, odwrócił się do Stonewalla.

– Co?

– Zwiewajmy stąd, mówię ci, szybko, głupcze!

Nic więcej nie zdążył powiedzieć. Strumień płynnego betonu, wyrzucony z ogromną siłą przez otwór w kadzi, strzaskawszy przednią szybę wozu, uderzył w twarze czterech pasażerów rollsa.

Również wylewająca się z trzech pozostałych betoniarek masa strzaskała szyby, tylną i boczne, i zalewała wnętrze wozu. Mart Stonewall otworzył usta, żeby krzyknąć, ale płynny beton dosięgnął już jego włosów, twarzy, wlewał się w oczy, nozdrza, usta, spływał po ubraniu, ramionach, kolanach. Miał wrażenie, jakby powoli pochłaniały go ruchome piaski. Nie miał czym oddychać. Wyciągnął rozpaczliwie rękę, żeby chwycić klamkę, otworzyć drzwi, uciec z tej straszliwej zasadzki, ale beton wylewał się bezlitośnie na jego ciało, zatapiał je, paraliżował członki. Nie mógł zrobić żadnego gestu. Palce miał zlepione. Gdy beton pokrył go całkowicie, wypełniając płuca i żołądek, złapała go ostatnia czkawka i skonał.

Na zewnątrz jakiś człowiek, ubrany w grubą kanadyjkę, zeskoczył z betoniarki na zamarzniętą ziemię i podszedł do rollsa.

Popatrzywszy chwilę na samochód wypełniony betonem, uśmiechnął się.

– Dobra, chłopcy – wykrzyknął. – Wystarczy. Zatrzymajcie maszyny. – Odwrócił się i wezwał kierowców dwóch buldożerów. – Cement był szybko schnący, przeznaczony do robót na morzu – wyjaśnił im. – Wystarczy chwila, żeby stwardniał. Potem zostanie tylko pchnąć wszystko do rzeki. A wtedy, żeby ich odnaleźć...

Zaśmiał się.

Środa, 13 lutego 1974

Wkurzali go ci dranie, Ritale!

Teraz, gdy dzielił z nimi swe dochody, żądali coraz więcej.

A co będzie później?

Dać im palec, a wkrótce będą chcieli całą rękę. Kłopot w tym, że tych skurwysynów wszędzie pełno. Doszli nawet już do tego, że usiłowali mu wyciągnąć paru ludzi. Dobrze, że Pablo się zorientował. Zdrajców dosięgła kara. Szczęście, że może zawsze liczyć na Pabla. Gdyby zdradził najwierniejszy, na kogo się zdać? Na Pana Boga?

Trzeba przyznać, że dzielnicę portorykańską niełatwo utrzymać w karbach. Ludność portorykańska Nowego Jorku jest niestała i w konsekwencji trudno nią kierować. To ułatwia zadanie Ritalom.

Sytuacja się pogorszyła, ale mowy nie było, żeby Juan Hernandez, zwany Wilkiem, ustąpił. Zanadto cenił to złotodajne źródło: dochody miesięczne – dwieście tysięcy dolarów. Gdzie by takie znalazł?

Cóż więc robić?

Sprowadzić nowych ludzi z Puerto Rico? W San Juan są zachłanni, pragnący iść naprzód młodzi. I okrutni jak tygrysy. Dlaczego by nie ściągnąć kilku do Nowego Jorku? Zastąpiliby tych, którzy go mogą zdradzić na rzecz mafii.

Albo może sprzymierzyć się z Kubańczykami. Byli oprawcy z czasów Batisty, których Fidel Castro wyrzucił z Kuby, mają potężną organizację o żelaznej dyscyplinie i skutecznie opierają się Ritalom.

No tak, ale czy nie ryzykuje, że go pożrą, tak jak ryzykuje, że pożrą go Sycylijczycy?

Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi Hernandeza. Niełatwo jest znaleźć wyjście. Co więcej, trzeba być nieufnym. Ritale łatwo zwalniają spust. Bóg jeden wie, co się mogło przydarzyć czarnuchowi Martowi Stonewallowi. Pewnego ranka, wypuszczony z Sing-Sing, jakby wyparował, nie zostawiając żadnego śladu. Mafia miała na pieńku z Harlemem. A stary Frankie uduszony w kinie Brooklynu?

Jakieś porachunki między Ritalami? W każdym razie nie ma mowy, aby Juan Hernandez miał wyjść z luksusowego apartamentu w samym centrum dzielnicy portorykańskiej. Rezydencja została specjalnie przystosowana i tak usytuowana, żeby żaden budynek z nią nie sąsiadował. To wyklucza, żeby jakiś strzelec mógł się zaczaić na dachu albo w jakimś oknie i sprzątnąć go. Ale to wszystko nie jest zbyt pocieszające. Lepiej pomyśleć o czymś innym, choćby o wieczorze, który zapowiada się bardzo obiecująco.

Ma go odwiedzić Lin-Pei. Na samą myśl przeszedł przez plecy Hernandeza przyjemny dreszcz. Spojrzał na zegarek. Dziewczyna powinna już być. Ale wiadomo, kobiety zawsze się spóźniają. A zwłaszcza Chinki.

Ale Lin-Pei wszystko można wybaczyć. Ze względu na jej talenty. Przede wszystkim talent masażystki, a następnie umiejętności w łóżku. Przychodzi z walizeczką, która zawiera przybory do masażu, tubki, pudełeczka, słoiki. Zrzuca ubranie i bierze się do pracy. A jak umie pracować! Ona...

Zaterkotał telefon. Hernandez podniósł słuchawkę. Dzwonił Miguel.

– Szefie, jest ta Chinka.

– Sama?

– Tak, szefie.

– Niech wejdzie.

– Dobrze.

Cały budynek należał do niego i strzegli go jego ludzie. Mała szansa, żeby się dostał jakiś intruz. Hernandez nacisnął guzik domofonu, po chwili wszedł Sebastian.

– Tak, szefie?

– Przyszła Lin-Pei. Przeszukasz ją jak zwykle i przyprowadzisz tutaj.

– Dobrze, szefie.

Nie minęło pięć minut, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Lin-Pei. Uśmiechała się zagadkowym uśmiechem właściwym ludziom Dalekiego Wschodu.

Hernandez przyglądał się jej z przyjemnością. Prawdziwa rozkosz ta dziewczyna – średniego wzrostu, szczupła, twarz trójkątna, migdałowe oczy, czarne włosy sięgające pośladków, nogi dobrze zarysowane, kształtne, obiecujące. Ale naprawdę do najwyższego stopnia podniecała go jej skóra – tak gładka, atłasowa i delikatna, że trzeba było uważać, żeby jej nie uszkodzić. Przezroczysta jak nocna koszula z lekkiej tkaniny. A jak Lin-Pei masowała! Już czuł rosnące pożądanie.

– Postaw walizkę i zdejmij to futro – rozkazał ochrypłym z podniecenia głosem.

Lin-Pei uśmiechnęła się i spełniła polecenie. Po futrze ściągnęła suknię i kozaczki. Potem przyszła kolej na rajstopy i bieliznę. Dobry Boże, jakże ta dziewczyna była piękna!

Hernandez zdjął szlafrok i położył się nago na wielkim, owalnym łożu. Wyciągnął się na plecach, ręce skrzyżował na szyi i patrzył na dziewczynę, mrużąc oczy.

Lin-Pei też już była naga. Wzięła walizeczkę, postawiła ją u stóp łóżka i otworzyła. Wyjęła duży ręcznik i rozłożyła na łóżku. Następnie wyciągnęła słoiki, tuby, gęsie pióra, długie i cienkie igły, aparat do masażu i wszystko to ułożyła na ręczniku. Jej gesty były precyzyjne, oszczędne. Kiedy skończyła, zapytała z tym samym zagadkowym uśmiechem przylepionym do warg:

– Gotowy?

Rozumiała po angielsku, ale mówiła tym językiem słabo.

– Oczywiście, że jestem gotów! – dyszał Juan Hernandez. – Możesz zaczynać, kotku.

Zamknął oczy. Zadrżał, gdy poczuł ręce Lin-Pei na swoim nagim ciele. Lekkimi, delikatnymi dotknięciami dziewczyna zaczęła masować mięśnie jego brzucha.

Był do tego stopnia podniecony, że nie mógł już opanować pożądania. Przyciągnął dziewczynę i wziął brutalnie. Usatysfakcjonowany, poprosił o dalszy masaż. Wiedział, że za kilka minut, podobnie jak poprzednio, znów go opanuje podniecenie.

Lin-Pei, słysząc jego pomruki, usadowiła mu się na brzuchu i ponownie doprowadziła do paroksyzmu rozkoszy. Potem zaczęła znów masaż, stosując tym razem gęsie pióra i cienkie igły, które wbijała w strefy erogenne. Hernandez drżał za każdym ukłuciem. Lubił to uczucie, owe ciepłe fale przenikające ciało – zapowiedź nowego doznania.

Lin-Pei jednym ruchem sprzątnęła wszystkie igły i usłyszawszy syknięcie Hernandeza, rzuciła się na jego rozdygotane ciało z dziką namiętnością.

Gdy wstała, Juan dyszał z rozkoszy.

– Moje uznanie – mruczał do siebie. – Te Chineczki są niesamowite. Nie ma to jak one! Jakie numery znają!

– Kąpiel? – zapytała.

Otworzył oczy. Dziewczyna patrzyła uśmiechnięta.

Teraz miał nastąpić kolejny etap wschodniego masażu. Dziewczyna poprowadzi go do łazienki, pomoże się wyciągnąć w wannie i umyje go. Do wody wleje specjalny płyn, pachnący i niebieskawy. Potem go wytrze i będzie mógł wrócić do łóżka. Wtedy Lin-Pei przystąpi do ostatniego masażu, przywracającego elastyczność jego wymęczonej skórze.

Uśmiechnął się do niej – dzielna dziewczyna. Wstał. Lin-Pei wzięła z walizki dużą kosmetyczkę i poszła z nią do łazienki. Odkręciła kran. Gdy wanna była do połowy napełniona, Juan zanurzył się w ciepłej wodzie, do której Lin-Pei wlała cały flakon gęstego, niebieskawego płynu.

Delikatnymi ruchami dziewczyna umyła go dokładnie gąbką, wreszcie, ciągle się uśmiechając, powiedziała:

– Odpocznij pięć minut, potem wyjdź.

Skinąwszy głową, zamknął oczy. Czuł się znakomicie. Tylko trochę zmęczony.

Lin-Pei zaciągnęła wokół wanny plastykowe zasłony. Hernandez słyszał, jak się krząta przy umywalce. Gratulował sobie, że odkrył taką perłę. Jakież to szczęście, że ma Lin-Pei. Amerykanki nie pracują tak świetnie. Myślą tylko o sobie. Od wprowadzenia równouprawnienia kobiet mężczyzna stał się zerem. Wszystko dla nich, nic dla niego – to była ich dewiza. To samo było z Portorykankami, nauczyły się wszystkiego od Amerykanek.

Zaśmiał się, przypominając sobie Manolitę o manierach znieważonej księżniczki. Wychłostał ją do krwi, żeby nauczyć odpowiedniego dla kurwy zachowania.

Nagle usłyszał jakiś trzask, jakby się coś paliło. Otworzył oczy i zdziwiony, obserwował plastykową firankę.

– Lin-Pei! – zawołał.

Nie było odpowiedzi.

Coraz bardziej zdziwiony, uniósł się na rękach. Łokciem

opierając się o wannę, pociągnął firankę. Dym buchnął mu w twarz.

Miał wrażenie, jakby chlusnięto nań kwasem. Okropnie paliły go oczy, nozdrza, płuca. Otworzył usta, krzyknął: Lin-Pei, ale wtedy zrobiło się jeszcze gorzej – jakby strumień ognia spłynął do płuc. Jednocześnie poczuł straszny zawrót głowy – istna trąba powietrzna, w której wirowały plastykowe firanki. Były żółte... żółte firanki... Flakony, masa flakonów, flakony różnokolorowe... I drzwi... Zamknięte drzwi...

Zamknięte drzwi?

– Lin-P...

I zapach... straszny zapach. Słodkawy, obrzydliwy. Przyprawiający o mdłości. Jak gorzkie migdały.

Próbował uwolnić się ze śmiertelnej pułapki. Napiął wszystkie mięśnie i wylazł na brzeg wanny. Ostatnim wysiłkiem udało mu się zsunąć na dywanik kąpielowy, ale podnieść się już nie mógł. Ciało miał jak sparaliżowane. Słyszał tylko bicie własnego serca. Pociemniało mu w oczach. Stracił przytomność.

* * *

Nick De Luca położył gazetę obok tacki ze śniadaniem, którego jeszcze nie tknął. Zapalił trzeciego papierosa.

Zawsze palił na czczo trzy papierosy. Stare przyzwyczajenie, z czasów, gdy odsiadywał jedyną karę więzienia, na jaką go skazano. W zakładzie karnym w Alcatraz. Kawę przynoszono dopiero po siódmej, a on budził się niezmiennie o szóstej. Co innego robić w tym czasie, jak nie palić? Zapalić, żeby wypędzić te złe zapachy wydzielane przez współtowarzyszy z celi. Te brudne ludzkie odory, tak natarczywe po przebudzeniu.

Teraz żył w luksusie i czystości, ale zwyczaj pozostał. Czy to nie Frankie uważał, że stary kryminalista nigdy się nie oduczy swych więziennych przyzwyczajeń?

Ale Frankie nie żyje. A z nim cała epoka. Stary Frankie potwierdzał swój pogląd sposobem, w jaki trzymał papierosa w zagłębieniu dłoni. Gdy mówił, wykrzywiał kąciki ust. Miał też manię robienia stu kroków, jakby się znajdował ciągle w celi Leavenworth. Przyzwyczajeń starego kryminalisty nigdy się nie da wymazać.

Stary Frankie nie żyje. Przedostatni z pewnej epoki. Ostatni był on, Nick De Luca. I groziło mu, że też odejdzie.

Po Franku nastąpiło tajemnicze zniknięcie Marta Stonewalla, szefa Harlemu. A przedwczoraj śmierć we własnej wannie Juana Hernandeza, zasranego Portorykańczyka. „Oni" przystąpili do ataku. Dotrzymali słowa. Nie „oni", „on". Bydlak!

I wkrótce może przyjść jego kolej, Nicka De Luki. Ale co może zrobić? Jest samotny. Ustąpić? O tym nie ma mowy. Nie on, nie Nick.

Wayne Sandborg został odkomenderowany przez FBI, żeby pomóc DEA*). Powierzono mu akcję „Guinea"**). Dziwną robotą go obarczyli. I mowy nie ma o wypoczynku!

Udało mu się rozwikłać kilka poważnych spraw. A teraz miał współpracować z FBI i z DEA. Operacja musiała się udać.

Na szczęście miał na ten temat własną teorię.

Pomyślał chwilę, potem wstał, podszedł do umocowanego na ścianie automatu z kawą. Wziął kartonowy kubek, nacisnął guzik: popłynęła kawa. Podniósł kubek do ust, skrzywił się. Prawdziwe pomyje. Jakby wlał wszystkie odchody z całego miasta. Obrzydlistwo. Odstawił kubek i wrócił na fotel.

Lubił tylko mocną kawę. Taką, która przyprawia o bicie serca. Nie ma obawy, żeby ta pobudziła tętno. Jedyne, co ta może spowodować, to albo wrzód, albo dyzenterię.

Gdyby był czas, poszedłby do McCalla, do irlandzkiego bistra przy 52. Ulicy. Tam przynajmniej podają taką kawę, jaką lubi, a poza tym jest tam miło i sympatycznie. Prawdziwie nowojorski nastrój. Klienci wymieniają ostatnie typy na wyścigi w Aqueduct, dyskutują o szansach wygranej. Zakładają się na temat przyszłych mistrzów świata w wadze ciężkiej. Człowiek czuje się tam tak dobrze, że po zwykłej kawie stawia sobie jeszcze irisch coffee – kawę z whisky i kremem. Westchnął. Kłopot z tym, że nie ma czasu, by pójść do McCalla. Miał zajęcie, a to zajęcie nazywało się „Guinea", a „Guinea" to był Barto Scalisio.

Uderzył ołówkiem w metalowy blat biurka. Nagle podniósł się i ciężkim krokiem zbliżył do ściany. Wisiała tam prostokątna tablica, jasnoszara, usiana pomarańczowymi paskami, na których wypisano nazwiska, daty i numery. Sandborg przyglądał się jej przez chwilę, potem wziął nową fiszkę i wrócił do biurka. Chwycił ołówek i wielkimi literami napisał numer, nazwisko, datę:

19. Juan Hernandez. 13 lutego 1974.

Umieścił fiszkę na tablicy i przyglądał się z namysłem swemu dziełu.

Numer 19... Juan Hernandez był numerem dziewiętnastym. Wściekła wojna! Barto Scalisio dotrzymał słowa. Ale Sandborg zamierzał nie tylko liczyć ciosy. Zgoda. Barto Scalisio podniósł dochody nowojorskich kwiaciarzy, ale ani FBI, ani DEA, ani on, Barto, nie brali procentów od obrotów nowojorskich kwiaciarzy. Nie było więc żadnego powodu, żeby pozwolić Bartowi Scalisio prowadzić spokojnie interesy.

Sandborg miał własny plan, jak mu się przeciwstawić. Wyciągnął rękę i nacisnął klawisz interkomu.

Usłyszał melodyjny głos.

– Słucham?

– Moja droga, jestem pewien, że w poczekalni ktoś umiera z niecierpliwości, żeby mnie zobaczyć.

– Tak jest.

– Moja mała Kate, dlaczego każemy mu czekać? To chyba w dawnej Rosji książęta mieli ambicję stawiać się punktualnie na spotkanie. A ja już jestem spóźniony pięć minut.

– Bo nie jesteś ani książę, ani rosyjski.

Rozdział II

Nowy Jork, *15 lutego 1974*

Mój drogi!

Jest godzina dziewiąta w Nowym Jorku. Ty, mój biedaku, szykujesz się pewnie do snu. Mam nadzieję, że przynajmniej możesz spać. Bo ja jestem za bardzo wyczerpana, żeby zasnąć.

Nie mogłam się odwrócić, żeby spojrzeć na ciebie ostatni raz tam, na Orly. Z pewnością pomyślałeś, że ja sobie po prostu poszłam. A to była typowa reakcja kobiety nie pozbawionej wstydu: nie chciałam, żebyś zobaczył moje łzy. Uciekłam, żeby na ciebie nie patrzeć, i udało mi się kupić kilka flakonów francuskich perfum w pięć minut (dla mnie to rekord). Sprzedawczyni musiała pomyśleć, że oszalałam, bo kiedy pakowała flakony, bez przerwy płakałam.

*) Drug Enforcement Administration – poprzednio biuro narkotyków (przyp. tłum.)

**) „Guinea" oznacza Gwineę, ale także w gwarze – „Ritala", czyli Włocha (przyp. tłum.)

Na pokładzie samolotu nic się nie zmieniło na lepsze. Pierwszą piosenkę, jaką usłyszałam, śpiewał Tony Bennett. Piosenka o dwojgu ludziach, którzy się rozstali, a potem odnaleźli. Druga piosenka? No dobrze. Zgadnij! Nasza! Ta, którą nucisz co rano, próbując uruchomić zepsuty ekspres do kawy.

A później był film. Oczywiście najsmutniejszy, jaki tylko można sobie wyobrazić: „Powiedz, jak mnie kochasz" z Lizą Minelli. Przy końcu filmu byłam zupełnie rozhisteryzowana. Na szczęście pasażer obok mnie (jakiś Grek z Cypru) okazał się wyrozumiały. Zmusił mnie do wypicia kieliszka, potem drugiego, potem trzeciego. Udało mu się trochę mnie rozśmieszyć. A może byłam zalana?

Na lotnisku Kennedy wywołałam małe poruszenie na cle. Pamiętasz dwa małe słoiki z ziołami, które nam podarowano w tej małej restauracji na Wyspie Świętego Ludwika, gdzie jedliśmy kolację? Gdy celnicy odkryli te słoiki z ziołami, zaczęli być podejrzliwi. Wąchali, kilka ziarenek położyli na języku i przesłuchiwali mnie, jakbym chciała podstępnie przemycić do USA narkotyki.

W końcu interweniował ich szef. Zaczął się śmiać, gdy mu wytłumaczyłam pochodzenie tych słoików. Ja też się śmiałam, ale dopiero potem...

Cathryn uwielbia moje paryskie prezenty. Jest zawiedziona, że nie przyjedziesz do Nowego Jorku. Wzięła poważnie to, co jej napisałeś w karcie.

Na ścianie, na honorowym miejscu, wisi teraz u mnie nasza fotografia zrobiona na statku. Przypominasz sobie? Musisz sobie przypomnieć, bo to było wtedy, gdy nasi sąsiedzi wylali sobie na kolana całą butelkę bordeaux.

Kończę już. Kocham cię.

Brenda.

P.S. Podlewaj kwiaty, które ci podarowałam.

P.S. Musiałeś przemoknąć do suchej nitki podczas ulewy na Orly, jak wyjeżdżałam. Ten deszcz mieszał się ze łzami, które płynęły po moich policzkach.

B.

Partick Baudouin odłożył list na biurko. Żałował, że Brenda nie została dłużej w Paryżu, ale obowiązki zawodowe wezwały ją do Nowego Jorku wcześniej niż to planowała.

Spędził z nią trzy cudowne tygodnie! Połowę w Paryżu, połowę włócząc się bez celu po południu Francji, gdzie wyjątkowo jak na tę porę roku panowała przyjemna temperatura. Nie mieli nic do roboty na Wybrzeżu, głównie więc leniuchowali, opychali się rybami, frutti di mare, tańczyli w lokalach. W ciągu dnia łazili po mało uczęszczanych drogach.

Spędzili dzień i noc w Digne. Rankiem, gdy Patrick odstawił na podłogę półmisek ze śniadaniem i ponownie wyciągnął się obok Brendy, zobaczył ze zdumieniem, że ma oczy pełne łez.

Wybuch płaczu wcale nie pasował do Brendy.

Była to wysoka blondynka o szarych oczach, smukła i bardzo zgrabna. Miała w sobie coś pociągającego, czemu nie można się było oprzeć. Wypełniała ją niczym nie zmącona radość życia. Emanowała taką energią, że ci, co ją otaczali, musieli chcąc nie chcąc dostroić się do niej. Dwadzieścia cztery godziny doby – to było dla niej dużo za mało. Żyła tak, jakby za minutę jakiś kataklizm miał zniszczyć świat.

Na początku Patrick Baudouin miał trudności z dotrzymaniem jej kroku. Należał raczej do ludzi, którzy wyznawali zasadę: Nie rób tego dzisiaj, co ktoś inny może zrobić jutro. Zawsze miał na wszystko czas. Gdy odwiedzał kraje Wschodu, znajdował tam potwierdzenie właściwego sobie braku energii.

Oczarowała go osobowość Brendy.

Poznał ją przypadkiem. Stała na placu Gwiazdy, wpatrzona w Łuk Triumfalny, opatulona w futro, w białych kozaczkach i w śmiesznej czapce z różnokolorowej wełny.

Patrick podszedł i zaproponował, że oprowadzi ją po Paryżu. Wtedy się zorientował, że jest Amerykanką. Brenda przyjęła propozycję – od razu się sobie spodobali.

Powiedziała, że pracuje w pewnym amerykańskim biurze podróży i lata po świecie, żeby przygotować organizowane przez agencję wycieczki. Dodała, że jest niezamężna, ma dwadzieścia pięć lat, że studiowała na Uniwersytecie Columbia i mówi kilkoma językami, ogromnie przydatnymi w jej zawodzie. Urodziła się w Bronx w Nowym Jorku, z czego nie jest zbyt dumna. Była sierotą i nie utrzymywała żadnych stosunków rodzinnych.

Z kolei on się przedstawił.

Trzydzieści lat, paryżanin. Krótki pobyt na wydziale literatury, potem w szkole sztuk pięknych. Nie unormowana sytuacja rodzinna. Gust eklektyczny. Zamiłowanie do mechaniki. Majsterkuje trochę przy sportowych wozach kolegów, pilotów-amatorów. Opublikował dwie powieści kryminalne i napisał dziesiątki scenariuszy filmowych, których żaden producent nie zaakceptował. Przez sześć lat podróżował po pięciu kontynentach, imając się różnych zawodów. Doker w Nowym Orleanie, kelner w restauracji na Tahiti, „pampero" w Argentynie, smarowacz na statku panamskim, najemnik w Biafrze, prywatny detektyw w Nowym Jorku, goryl afrykańskiego potentata, handlarz złotem w Indiach.

Na razie przebywa w Paryżu.

Nie powiedział jej, że samochód sportowy, który prowadzi tak swobodnie, należy dc jednego z jego przyjaciół, że za mieszkanie nie płaci od trzech miesięcy, że jest winien milion starych franków kumplom, którzy mając dość duże dochody, nie dopominają się zwrotu długu.

Jego styl życia oczarował ją. Ciągle zadawała mu pytania, nagabywała o przyjaciół, o plany. Zawsze wesoła, dynamiczna, roześmiana.

A teraz płacze.

Zadał jej najgłupsze pytanie:

– Dlaczego płaczesz?

– Och, nic.

Nalegał:

– Powiedz mi.

– Taka chandra.

Podniósł brew ze zdumienia.

– Chandra? Dlaczego?

– Na myśl, że wszystko między nami się skończy i muszę wrócić do Nowego Jorku.

Od razu stał się podejrzliwy. Tłumaczenie wydawało się banalne, „Kocham cię, mój najdroższy, nie chcę cię opuszczać, zatrzymaj mnie przy sobie. Dobrze nam ze sobą. Rozumiemy się przecież? Więc dlaczego mamy się rozstać? Zostańmy razem..."

Jeśli jesteś słaby i się zgodzisz, koniec, bo kilka tygodni później, w sprzyjającej chwili, nastąpi inny, znany dobrze refren: „Nie uważasz, że dobrze nam razem? Dlaczego się nie pobrać? Nie masz dość tego kawalerskiego życia? Moglibyśmy mieć dzieci. Nie chciałbyś mieć dzieci?"

Jeśli będziesz miał nieszczęście powiedzieć „tak", choćby szeptem, to jakbyś już stał przed urzędnikiem stanu cywilnego. W błyskawicznym tempie wydrukowane zaproszenia, suknia zamówiona, przyjaciele i rodzice zawiadomieni o szczęśliwym wydarzeniu.

Znalazłeś się w pułapce.

Ale jego, Patricka Baudouina, tak łatwo nie złapią. Włóczył się po świecie, wszędzie spotykał dziewczyny gotowe nim zawładnąć.

Nie, to nie on.

Przede wszystkim nie miał ani grosza. Goły jak święty turecki. Czego dziewczyna może po nim oczekiwać? Niczego poza prośbą, żeby pracowała i zapłaciła jego długi.

Brenda zaczęła się tłumaczyć.

– To zabawne, zachowuję się jak dzieciak. Zaczynam płakać w pokoju hotelowym. Gdyby Cathryn mnie zobaczyła... pękłaby ze śmiechu!

Cathryn była jej najlepszą przyjaciółką. Brenda wysłała do niej widokówkę z Paryża i Patrick dopisał na dole parę słów, że będzie miał przyjemność poznać ją w Nowym Jorku.

Brenda wstała i poszła do łazienki. Przez resztę dnia była pogodna i beztroska, jak gdyby zapomniała o tym rannym płaczu.

Ale nazajutrz zaczęła na nowo. Patrick zrozumiał, że się w nim zakochała. Przyjął postawę obronną.

Brenda mu się podobała, to pewne, ale miał się na baczności. Nie chciał się dać wciągnąć w przygodę uczuciową, która by go mogła zbyt daleko zaprowadzić.

Dwa dni później wrócili do Paryża. Brenda odleciała do Nowego Jorku. Teraz Patrick dostał od niej pierwszy list. Przeczytał go parokrotnie. Czuł to samo, co w chwili jej odjazdu. Okropną samotność. I nieprzepartą chęć, żeby ją mieć przy sobie.

Czy to nie dziwne? Spędził u jej boku trzy tygodnie i wcale sobie nie zdawał sprawy, jaki był szczęśliwy. Przeciwnie, odepchnął ją. A teraz, gdy tylko odjechała, tak bardzo mu jej brakuje.

Postawił maszynę do pisania na biurku i wziął kartkę z bloku. Napisze do Brendy. Dzięki tej agencji podróży wpadanie może znowu do Paryża.

Rozdział III

Piątek, 22 lutego 1974

– Panie przewodniczący, czy pan zdaje sobie sprawę z tego wszystkiego, czym usiłuje się mnie obciążyć? Środki oszałamiające, fałszywe dolary, narkotyki, międzynarodowe stręczycielstwo!...

– Narkotyki i środki oszałamiające to chyba to samo, nie uważasz, Caggio?

– To przejęzyczenie, panie przewodniczący, przepraszam... Wpuszcza się mnie w maliny i nie pozwala się stamtąd wydostać. Uważa się nawet, że byłem właścicielem całej sieci burdelów. Ale burdel, panie przewodniczący, jest tu, w mojej głowie. I to na długo!

– Caggio, chcesz, żeby sąd uwierzył, że jesteś tylko oszustem na małą skalę, drobnym przestępcą, którego występki są błahe, podczas gdy śledztwo prowadzone przez policję dowodzi, że...

– O, pomówmy o policji, wszystko gnojki!

– Cofnij, co powiedziałeś, Caggio!

– Dobra, cofam, panie przewodniczący, to nie są gnojki, to są króle gnojków!

– Uważaj, co mówisz, Caggio, w przeciwnym razie odbiorę ci głos.

– Biję się w piersi, panie przewodniczący. Ja chciałem tylko powiedzieć, że cała policja się zmówiła przeciwko mnie. Nie wiem, co jej zrobiłem, ale uwzięli się na mnie, naprawdę!

– Ale dlaczego, twoim zdaniem, uwzięli się na ciebie?

– Naprawdę nie wiem, panie przewodniczący.

– Pomyśl.

– No dobrze, żeby panu powiedzieć szczerą prawdę, myślę, że oni chcą mnie wrobić zamiast jednego ważniaka.

– Ważniaka?

– Tak.

– Kogo?

– Nie wiem. To przeczucie.

– Nie masz nic na poparcie swego twierdzenia?

– Nie.

– Tak samo, jak nie możesz odeprzeć poważnych zarzutów, które na tobie ciążą i ...

– Ale nie ma dowodów!

– Jeżeli zaufać chronologii faktów, które doprowadziły do zabójstwa Josepha Farizziego...

– Jestem niewinny!

– Sąd przysięgłych orzeknie. W każdym razie to przesłuchanie nie prowadzi nas do celu i nie wnosi żadnego nowego elementu, który mógłby się przyczynić do oświecenia sprawiedliwości i podważenia lub umocnienia przekonania ławy przysięgłych i sądu co do stopnia twojej odpowiedzialności w tej sprawie.

„Proszę zatem pana prokuratora, żeby zechciał teraz wygłosić swoje oskarżenie. Przypominam, że dziś odbywa się ostatnie posiedzenie w tej sprawie. Po mowie oskarżycielskiej pana prokuratora wystąpienia obrony mogą się przedłużyć do późnego wieczora..."

... Orzeka uniewinnienie Denisa Caggia, którego uwolnienie nastąpi niezwłocznie...

Denis Caggio ucałował swego adwokata, mecenasa Jeana Françoisa Burnarda, który bronił go z zapałem i talentem. Potem Denis radośnie pozdrowił ręką Lilianę i Roberta, którzy podnosząc się z ław dla publiczności, głośno oklaskiwali werdykt.

– Spotkamy się zaraz po zwolnieniu – powiedział Caggio do mecenasa Burnarda, podczas gdy dwaj strażnicy ciągnęli go w kierunku korytarza prowadzącego do więzienia.

– Zgoda, idziemy na wyżerkę. Wygłodniałem po tej rozprawie – odpowiedział adwokat z triumfalnym uśmiechem.

Formalności zwolnienia nie trwały dłużej niż dwadzieścia minut i Denis Caggio, z torbą zawierającą skromny dobytek więzienny, przekroczył wkrótce bramy więzienia i znalazł się na chodniku, gdzie oczekiwali go mecenas, Liliana i Robert.

Liliana od razu rzuciła mu się w ramiona.

– Najdroższy, nie masz pojęcia, jak się cieszę.

– Ja też.

Dziewczyna zawisła mu na szyi i namiętnie pocałowała.

– Dobra – rzucił Robert – zadusisz go. A poza tym zamarzniemy tu. Nie mówiąc już, że sąsiedztwo kryminału zawsze na mnie działa deprymująco. Zmywamy się?

– Dobra myśl – powiedział mecenas Burnard – tym bardziej że umieram z głodu. Zamówiłem wczoraj wieczorem stolik na cztery osoby w „L'Ecu d'Or"...

– Cztery osoby? Wczoraj wieczorem? – zdziwił się Denis Caggio, który już się wyswobodził z uścisku Liliany. – Ale nie mógł pan przecież wiedzieć, że...

– Pan wybaczy – napuszył się mecenas – ale byłem pewien wyniku.

– Moje uznanie – pogratulował Robert. – Trzeba przyznać, że pańska obrona była nadzwyczajna, gdybym się nie

powstrzymał, wyłbym jak dziecko. A Liliana, warto było to zobaczyć, toczyła łzy niczym Niagara swe wody.

– Cóż, mam wrażliwą duszę – broniła się Liliana.

– Nie stójmy tu – zdecydował Denis Caggio.

Wsiedli do forda adwokata. Pojechali do centrum.

– Ale mimo wszystko miałeś fart – szepnął Robert do ucha Denisowi.

Usadowili się we dwóch z tyłu, a Liliana usiadła obok adwokata.

Denis Caggio wzruszył ramionami.

– Tak się udaje frajera – mruknął.

– Banda naiwniaków ci sędziowie. Uniewinnić cię!

– Może byś się tak zamknął – mruknął Denis Caggio.

Mecenas Burnard skręcił raptownie. Ukazał się jasno oświetlony plac – z kafejkami o zachlapanych błotem szybach, kinami, sklepikami.

Adwokat okrążył go i skręcił w wąską uliczkę pamiętającą średniowiecze – przy chodnikach mnóstwo samochodów, skąpo oświetlone frontony domów.

– „L'Ecu d'Or" – ogłosił adwokat. – Zobaczycie, boskie jedzenie.

– A jaki tu mają szampan? – zaniepokoił się Robert.

– Najlepszy wytrawny w okolicy.

Wyszli z samochodu i zatrzasnęli drzwi.

Denis Caggio chciał wziąć Lilianę pod rękę. Dziewczyna wyrwała mu się gwałtownie.

Nagle noc przecięły potężne światła dwóch motocykli. Motory z rykiem wjechały w wąską uliczkę.

– Szaleńcy – skomentował Robert.

Denis odwrócił się. Oślepiony światłami, zmrużył oczy. Przycisnął się do wozu, żeby przepuścić jadących.

– Uwaga! – krzyknął Robert.

Denis zadrżał. Ręką szukał klamki. Szepnął: „Ukryję się wewnątrz wozu". Znalazł klamkę, otworzył drzwiczki. Nie zdążył się schylić, żeby wsiąść do samochodu – rozległy się stłumione warkotem silnika strzały. Wydało mu się, jakby jakiś młot pneumatyczny miażdżył mu kręgosłup, nerki, boki. Krew puściła mu się z ust, a on sam upadł na mokry bruk. Staccato huku silników i motocykle z wygaszonymi reflektorami zniknęły w ciemności.

Robert dostrzegł tylko dwie postacie odziane w czarne skóry i w jasnych kaskach, inaczej mówiąc, anonimy, jakich na drogach Francji dziesiątki tysięcy; leżeli na kierownicach, z twarzami ukrytymi za wielkimi, ciemnymi okularami.

Podeszła Liliana. Uklękła przy krwawiącym ciele Denisa Caggia i wybuchnęła płaczem.

Zsiniały mecenas Burnard pochylił się nad trupem, potem odwrócił się i zwymiotował piwo i kanapkę, którą zjadł w bufecie, gdy sąd przysięgłych debatował nad wyrokiem.

Robert przeklinał, że nie zorientował się w porę i nie wyciągnął pistoletu. W rzeczywistości nie miałby nawet czasu strzelić. Był kompletnie sparaliżowany. Można powiedzieć, że miał wytłumaczenie – oto gdy zamierzał przy stoliku uczcić dobrym szampanem zwolnienie Denisa, zjawiło się dwóch zabójców na motorach i wykończyli Denisa.

Nie tracą czasu, bandziory.

Wtorek, 5 marca 1974

Dominique Orsini był bardzo dumny ze swego nowego mercedesa. To dopiero wóz!

Szkoda, że w Paryżu ograniczono szybkość. Ale Orsini nie powinien się uskarżać. Mógł pędzić autostradą Esterel nie kłopocząc się o kontrolę radarową i inne kombinacje wymyślone po to, żeby udręczyć ludzi.

Jechał ku Bandol. Wkrótce będzie w Marsylii. U siebie. Ten wóz to po prostu cacko. Cichutki jak nie nakręcany od tygodnia budzik. Żadnego zgrzytu. Ale ile pali! Używając takiego samochodu napełniał kieszenie emirów arabskich.

Rezerwa paliwa zbliżała się do zera. Orsini pomyślał, że jeżeli nie ma się znaleźć z wyciągniętym palcem na poboczu szosy, musi zaraz kupić benzynę. Tym bardziej że przy wjeździe do Bandol jest stacja Justina. Śmiesznego, starego Justina, który zawsze opowiada zabawne historyjki.

Jakiś 2CV szykował się do wyprzedzenia mercedesa. Orsini pozdrowił kierowcę i dodał gazu. Co on sobie wyobraża? Że tą swoją blaszanką może wyprzedzić jego. 350 SL?

Ostatni zakręt i ukazała się stacja Justina. Orsini już zauważył starego – w wyblakłej niebieskiej czapce, w poplamionym kombinezonie i dobrze podniszczonych gumowych butach. Justin wytarł gąbką szybę jakiegoś peugeota, podszedł do pompy i rzuciwszy gąbkę do pojemnika z wodą, szerokim gestem pożegnał kierowcę samochodu.

Dominique Orsini zwolnił i podjechał do pompy. Zatrzymał się obok Justina. Na jego widok stary się uśmiechnął.

– O! Co ja widzę? Ależ to pan Dominique.

– Jak leci, Justin?

– Nie najgorzej. Dziś piękne słońce, czegóż więcej wymagać od dobrego Boga? Wspaniały wóz pan ma, panie Dominique. Majątku trzeba, żeby to kupić.

– Piękny, co?

– Piękny jak rzadko.

– Nalejesz mi do pełna?

– Pewnie! Powiem panu coś miłego, panie Dominique. Gdyby tylko takie wozy jak pański jeździły po szosach Francji, my na stacjach nieźle byśmy zarabiali na życie. Przynajmniej żłopie. To nie to, co te maluchy, jakie defilują tu przez cały dzień. Dziesięć franków – dwadzieścia franków na benzynę, niech pan pomyśli. Ich właściciele nawet nie mają za co kupić aioli*), ale jeżdżą.

Dominique Orsini czuł się doskonale. Wyłączył silnik, otworzył drzwiczki i wysiadłszy, rzucił Justinowi kluczyki.

– Ma pan wolną chwilę, panie Dominique? To opowiem panu coś zabawnego.

Historyjki były specjalnością Justina – był w tym niezrównany. Marsylski zmysł. Opowiadania zapierające dech w piersiach, rozśmieszające do łez.

– Dobra, Justin, zaczynaj. Mam trochę czasu – rzucił Orsini z pobłażliwym uśmiechem.

– Pewna paryżanka wyruszyła na Lazurowe Wybrzeże. Po raz pierwszy. Była z koleżanką i obie miały miesiąc wakacji. Postanowiły dobrze spożytkować ten czas. Przybyły więc do Marsylii autostopem i znalazły się z torbami i walizkami przed dworcem Saint-Charles. Zna pan dworzec Saint-Charles, prawda? To na dworcu Saint-Charles znajdzie pan...

Nagle rozległ się warkot motorów. Wzmagał się, nasilał, torturując uszy, Dominique Orsini odwrócił się zirytowany.

– No, proszę – powiedział Justin – jeszcze dwaj, co będą prosić o pomoc Matkę Boską. Nie uważa pan, że coś u nich nie po kolei?

Nagle odnieśli wrażenie, że nadciąga tornado. W ich stronę pędziły dwie postacie siedzące okrakiem na motocyklach, odziane w skórzane kombinezony, w kaskach, o

*) Aioli – przysmak prowansalski (przyp. tłum.)

twarzach zasłoniętych szalami i wielkimi ciemnymi okularami. Podjechawszy, zwolnili.

W tej samej chwili Orsini zrozumiał...

Atak na Denisa Caggia w Dijon...

Wsunął rękę do kieszeni, żeby wyciągnąć pistolet. Strzały zlały się z rykiem motorów dokładnie w tej chwili, gdy Orsini dotknął zimnego metalu.

Siła uderzenia pocisku była tak ogromna, że rzuciła Dominique'em Orsinim o szybę samochodu, roztrzaskując mu głowę. Przez chwilę drgające konwulsyjnie nogi uderzały o maskę mercedesa.

Huk motorów. Zarzucenie. I dwa motocykle, przeciąwszy drogę jakiemuś renaultowi, zawróciły, kierowcy dodali gazu i znikneli.

Biały jak płótno, drżący Justin stał skurczony obok pompy. Zaciskając kurczowo dłonie, nawet nie widział, że dopływ paliwa jest otwarty i benzyna, płynąc, miesza się z krwią Dominique'a Orsiniego.

Powtarzał:

– Skurwysyny, o skurwysyny!

Środa, 20 marca 1974

Gérard Cuyre zatrzymał samochód przed pizzerią „A la Baie de Naples" przy ulicy Vavin.

Siedzący obok Bruno Géraud spojrzał na zegarek.

– Pięć po dwunastej – stwierdził. – Idziemy do Jeannota na szklaneczkę?

– Dobra – powiedział Gérard Cuyre. – Mamy trochę czasu.

Wysiedli z samochodu, Gérard przekręcił kluczyk w drzwiach. Bruno wziął go pod ramię i ruszyli. W tym momencie otoczyło ich trzech mężczyzn.

– Policja! – rzucił jeden ostrym tonem, pokazując legitymację z trójkolorowym paskiem.

Dwaj pozostali pchnęli Gérarda i Bruna pod jakieś drzwi i dokładnie ich obmacali.

– No, no – protestowali Gérard i Bruno – co to ma znaczyć?

– Dowiecie się – odpowiedział ten, który już wcześniej się odzywał.

– Ale czego chcecie?

– Zabieramy was.

– Macie nakaz?

– Podpisze się BT.

– BT?

– Szósta Brygada Terytorialna, ulica Croix-Nivert. Tam was zabieramy.

– Nie mamy nic na sumieniu.

– To wy tak uważacie. Okaże się na miejscu. Broni nie mają? – zapytał współtowarzyszy.

– Nie, szefie.

– Dobra, kajdanki.

Jeden ruch i Gérard i Bruno zostali skuci.

– Jazda, załadujcie ich.

Zbierali się gapie. Trzej mężczyźni odsunęli ich energicznie i wepchnęli Gérarda Cuyre i Bruna Géraude do czarnego peugeota 404 z anteną na dachu. Samochód ruszył, a człowiek, który kierował operacją, podniósł przymocowany do tablicy mikrofon i zakomunikował:

– Tu Clermont Ferrand. Clermont Ferrand do Angoulême. Zadanie wykonane. Skończone.

Odłożył mikrofon.

– Jednego nie rozumiem – zdziwił się Gérard Cuyre – przecież ulica Croix-Nivert jest w XV dzielnicy, a Montparnasse w XVI. To nie wasz rejon. Dlaczegoście nas zwinęli poza waszym terenem?

– Jak na bandziora – drwił szef policji – nie jesteś zbyt dobrze zorientowany w organizacji francuskiej policji. Nie wiesz, że jest siedem brygad terytorialnych w Paryżu i pięć na jego peryferiach? I że zasięg działania siedmiu brygad paryskich nie pokrywa się z administracyjnym podziałem miasta? Możesz mi wierzyć, kompetencje szóstej brygady BT rozciągają się na Montparnasse. Wkrótce się zresztą przekonasz.

Gérard Cuyre sposępniał. Rzucił okiem na swego kumpla. Twarz Bruna Gérauda była nieprzenikniona. To najlepsza postawa.

Trzeba zachowywać się jak Bruno, pomyślał Cuyre. Nic po sobie nie pokazywać. Im mniej, tym lepiej. To dobra taktyka. Tych typów trzeba się wystrzegać jak dżumy. Powiesz im po prostu: „Jak ładnie dzisiaj", a oni z tego banalnego zdania wydedukują, że popełniłeś trzy morderstwa i dokonałeś piętnastu napadów na banki. Ale z jakiego powodu nas przyskrzynili?

Jeśli chodzi o liczne interesy, które łączyły Bruna i Gérarda – kabarety, nocne lokale, tajne domy gry, dostawy broni – nie mogło być mowy o przecieku. Wszystko szło jak po maśle w ich organizacji. Dlaczego więc ich zwinięto? Nie, naprawdę nie wiedział. Jakaś pomyłka? Nie ma mowy. Gliny nigdy się nie mylą. Jak się do ciebie przypięli, mur-beton coś przeciw tobie mają.

Ogarnęła go fala niepokoju. Może o czymś zapomniał. Jakieś zaniedbanie? Jakiś szczegół, uznany za nic nie znaczący, posłużył glinom za punkt wyjścia do oskarżenia ich z Brunem.

Niepokój przerodził się w strach. Co to może być? I dlaczego gliny czekały na nich akurat naprzeciw pizzerii, gdzie mieli z Brunem zwyczaj jeść w południe? Dlaczego nie wyciągnęli ich z łóżek, jak to zwykli robić?

Czarna magia, nie sposób się w tym wszystkim rozeznać.

W lusterku widział twarz szefa – prawdziwie świńska gęba. Z taką mordą da im w kość.

Wieczór nie zapowiadał się wesoło. Nie czekała ich hit-parada, ale samotne krzesło wśród glin i krzyżowy ogień pytań.

Peugeot 404 wjechał w ulicę l'Ouest, skręcił w Texel, minął szpital Léopold-Bellan, dojechał do ulicy Vercingétorix i przecinając na ukos jezdnię, skierował się na teren robót publicznych.

Gérard Cuyre rozpoznał budowę skrzyżowania Vercingétorix, pierwszej miejskiej autostrady, łączącej przy Vanves kompleks Maine-Montparnasse z przedmieściami. Miała być ukończona przed 1976 rokiem, jak czytał we „France Soir". Plac budowy ogrodzony był wysokim, drewnianym płotem, za którego można było zobaczyć wyższe piętra budynku „Air France".

Na jego powierzchni były porozstawiane ogromne maszyny i dźwigi, buldożery, sprężarki, walce, koparki mechaniczne, betoniarki... Zbiorowisko monstrualnych kształtów, nieruchomych i milczących.

Na budowie nikt nie pracował. Gérard Cuyre przypomniał sobie, że jest przerwa obiadowa. Zdziwił się nawet, że żołądek nie przypomniał mu o głodzie.

Ale, Boże drogi, w co te gliny zamierzają nas wpakować? Nie oskarżą ich chyba, że rąbnęli ołów czy miedź z jakiejś budowy publicznej, żeby to sprzedać handlarzom złomu na Sain-Ouen. Nie przesadzajmy.

Samochód posuwał się naprzód, zarzucał w gliniastym błocie, lawirował między stalowymi kolosami, betoniarkami, szalowaniami...

Do czego zmierza ta wędrówka po budowie? Gérard Cuyre zesztywniał. Nagle w jego głowie zrodziło się

straszne podejrzenie. A jeżeli to nie gliny? Jeżeli Bruno i on dali się nabrać jak te żółtodzioby? Otworzył usta, żeby ostrzec Bruna, ale peugeot 404 zahamował tak gwałtownie przed walcem drogowym, że Gérard Cuyre uderzył o przednie siedzenie. Zgrzytnęły zęby i boleśnie przyciął sobie język. Skrzywił się z bólu, otworzył oczy i zobaczył przytkniętą do czoła lufę pistoletu.

– Co to?

Pomarańczowy błysk wystrzału z pistoletu i uderzenie, które zmiażdżyło mu czaszkę, były równoczesne.

W tym samym momencie Bruno Gérard z głową przedziurawioną dwoma pociskami osunął się na kolana Gérarda.

– Wyrzućcie ich – zarządził szef.

Drzwi się otworzyły i dwa trupy, jeden po drugim, wypchnięte na zewnątrz, potoczyły się w gliniaste błoto. Walec drogowy jakby tylko czekał na sygnał. Ruszył.

Za szybą kabiny ukazała się nagle jakaś postać opatulona w kanadyjkę i w hełmie ochronnym na głowie. Ręce w grubych rękawicach zręcznie manewrowały dźwignią.

Walec potoczył się po pulchnej ziemi, dosięgnął pierwszego trupa i zmiażdżył go. Wśród koszmarnego zgrzytu, pod ogromnym ciężarem walca ciało pogrążało się w błocie. Potem taki sam los spotkał drugiego trupa...

Pasażerowie peugeota odwrócili twarze od tego widoku i spokojnie palili papierosy.

– Podnieś szybę, Jo – powiedział jeden z nich – może chlapnąć.

– Jesteś pewien, że z budynku „Air France" nic nie widać? – zaniepokoił się drugi.

– Na pewno. Sprawdzono to.

Walec drogowy kontynuował swe dzieło. Toczył się do przodu, przechodził przez dwa ciała i wracał, by zacząć wszystko od nowa.

Gdy wreszcie silnik ucichł, widać było tylko żółtą, gliniastą ziemię.

– Jo – rozkazał szef – weź ten gałgan. Wyczyść tylne siedzenie. Potem otwórz drzwiczki, żeby Lucien mógł wsiąść.

Człowiek w kanadyjce i kasku ochronnym wydobył się z kabiny dźwigu, wyskoczył, w ciężkich gumowych buciorach brodził w błocie. Rzucił ostatnie spojrzenie na ziemię, zagwizdał wesoło i usadowił się na tylnym siedzeniu samochodu.

– No, chłopcy – rzucił pękając ze śmiechu – udała nam się sztuczka z fałszywymi glinami.

Rozdział IV

Czwartek, 28 marca 1974

– Co ty o tym wszystkim myślisz, François? – zapytał Jérôme Ducaz, zaciągając się grubym cygarem.

– Dzieje się coś dziwnego, takie jest moje zdanie.

– Ale co? – nalegał Pierre Salvay.

François Chaive, zwany Françoisem Lyończykiem, nim odpowiedział, zastanowił się.

– To mi przypomina czystkę – powiedział w końcu.

– Czystkę?

– Tak, jakby ktoś chciał pozbyć się niewygodnych ludzi.

– I według ciebie my do nich należymy?

– Niewykluczone.

Trzej mężczyźni siedzieli w luksusowym mieszkaniu Jérôme'a Ducaza, przy alei Focha. Zarządzali całą nielegalną działalnością w Paryżu i w okolicy: prostytucja, hazard, narkotyki, handel, wymuszenia, okupy z domów publicznych, manipulacje wyborcze, kontrabanda, korupcja urzędników, oszukańcze operacje nieruchomościami, szantaż, handel żywym towarem, okupy od nielegalnie zatrudnionych imigrantów, przerzuty przez zieloną granicę, kontrola werbunkowa, morderstwa na zamówienie... Trzymali w rękach wszystkie nici. Ich władza rozciągała się na cały Paryż. Kontrolowali wszelką nielegalną działalność. Albo bezpośrednio, albo przez skomplikowaną sieć podwładnych, którzy korzystali z pewnej autonomii i pobierali procenty. Organizacja funkcjonowała doskonale. Opornych bezlitośnie eliminowano. Dochody były bajeczne.

Żeby znaleźć się na szczycie drabiny, trzeba było twardo walczyć i rozpychać się łokciami. Rachunki regulowano przez całe lata, za każdym razem krwawiej. I powoli rywale znikali ze sceny zbrodni. Reszty dokonały przyjaźnie polityczne. W ten sposób ich królestwo zdobyło solidne podstawy, które dotychczas uważali za niewzruszone.

Jérôme Ducaz był wpływowym radcą prawnym, co wykorzystywał do maskowania swojej działalności przestępczej.

W ich związku zajmował się przede wszystkim oszukańczymi operacjami w handlu nieruchomościami, przekupywaniem urzędników, manipulacjami wyborczymi, oszustwami podatkowymi.

Miał pięćdziesiąt pięć lat, ważył sto dwadzieścia kilo przy stu sześćdziesięciu siedmiu centymetrach wzrostu. W kołach gastronomicznych znano go jako najlepszego speca od starofrancuskiej kuchni. Całkowicie łysy i okrągły jak baryłka. Do tych osobliwości dodać jeszcze można, że był stuprocentowym impotentem .

Pierre Salvay i François Chaive – to autentyczne bandziory, ale z czystą kartoteką sądową. Nie doznali upokorzenia aresztowań ani okropności pobytu w więzieniu.

François Chaive pochodził z Lyonu, natomiast Pierre Salvay był czystym produktem paryskiego bruku. Urodził się w okolicach więzienia Petite Roquette, gdzie jego matka często przebywała ze względu na skłonność do przywłaszczania sobie cudzych dóbr. Pierre wzrastał w dzielnicy Bastylii, a później, gdy odkrył, że jego talenty mogą go wznieść w wyższe rejony zbrodni, wyemigrował w bogatsze strony.

Nie miał jeszcze czterdziestu lat.

François Lyończyk zaczynał karierę biorąc udział w napadach z bronią w ręku. Miał szczęście, że należał do gangów o surowej dyscyplinie – nigdy ich nie unieszkodliwiała policja i zawsze się rozwiązywały za zgodą członków. Później działał w Szwajcarii i Holandii, we Włoszech i Republice Federalnej Niemiec, z gangami włosko-niemieckimi, co mu pozwoliło nawiązać korzystne kontakty w całej Europie Wspólnego Rynku.

W Berlinie Zachodnim był organizatorem potężnej sieci kontrabandystów zajmujących się przemytem do Europy Wschodniej. Tej działalności zawdzięczał przydomek François „Mur Berliński" i François „Żelazna Kurtyna".

Żeby spokojnie działać, wpadł na pomysł oddania się pod opiekę mafii sycylijsko-amerykańskiej, która korzystając z okupacji alianckiej, kontrolowała Berlin Zachodni. W zamian François oddawał im część ogromnego dochodu z czarnego rynku w krajach demokracji ludowej.

Dowodem jego niezwykłej przebiegłości było nawiązanie przyjaźni z przedstawicielem Syndykatu Zbrodni w Berlinie Zachodnim, Nickiem De Luką. Przyjaźń przetrwała do dziś, mimo że dzielił ich Ocean Atlantycki. Nick De Luca wrócił do Nowego Jorku, a Françoisa Lyończyka wydalono z

Berlina Zachodniego. Władze amerykańskie złożyły go na ołtarzu odwilży w stosunkach radziecko-amerykańskich.

François Chaive znalazł się z ogromną fortuną w Paryżu. To był jego pomysł, żeby się związać z Jérôme'em Ducazem i Pierre'em Salvay'em i położyć rękę na stolicy Francji.

Żeby dojść do celu, jaki sobie postawił, korzystał między innymi szeroko z usług zbirów niemieckich i jugosłowiańskich, których przywiózł z Berlina Zachodniego do Paryża. Uważał ich za pewniejszych i wierniejszych od bandziorów paryskich, którzy dobrze znali swoje miasto.

François Lyończyk miał pięćdziesiąt lat. Potężna postura, wargi jak wąsko wyskubane brwi, oczy o bezwzględnym spojrzeniu. Stracił lewe ucho wskutek strzelaniny w Berlinie. Ostatnia cecha: nie umiał się ani śmiać, ani uśmiechać.

– Niepokojące jest to – przyznał Jérôme Ducaz – że nie wiadomo, co się stało z Gérardem Cuyre'em i Brunem Géraud'em! Nie mogli w końcu ot, tak po prostu zniknąć, nie zostawiając adresu.

– Ale zostawiając całą swoją forsę – dodał Pierre Salvay.

– To prawda – dorzucił François Lyończyk – nie mieli żadnego powodu, żeby to robić. Byłem u nich w przeddzień zniknięcia. Pili szampana, żeby uczcić otwarcie „Texacany", naszego najnowszego kabaretu. Powierzyłem im prowadzenie go. Wszystko szło jak po maśle. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mieliby się wynieść.

– A poza tym cała reszta – wtrącił Pierre Salvay – to, o czym sam dopiero mówiłeś, François.

– To prawda.

– I ty myślisz, François – zapytał Jérôme Ducaz z niedowierzaniem – że ktoś by chciał przejąć nasze interesy?

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Ale jeżeli zestawisz to, co się dzieje nie tylko w Paryżu, ale w całej Francji, i poczekaj, nie tylko u nas, ale także u sąsiadów. Spójrz, Niemcy Zachodnie, Włochy, Belgia, Holandia, nawet Szwajcaria!

– I „oni" nic by nie zauważyli?

– Żebyś wiedział!

– Nikt się z tobą nie kontaktował?

– Nie.

– Nawet z Marsylii?

– Nie.

Jérôme Ducaz zmarszczył brwi. Żuł w roztargnieniu cygaro. Na jego pyszałkowatej twarzy odbił się wysiłek umysłowy.

– Nie rozumiem – powiedział wreszcie.

– Nie ty jeden.

Pierre Salvay westchnął.

– Powiem wam coś, wam obu.

– No?

François Lyończyk odwrócił się w jego stronę.

– No, wystękaj.

– Moim zdaniem tylko jedno jest do zrobienia.

– Co?

– Zwołać ich.

– To nie jest zła myśl. Co o tym sądzisz, Jerome?

Jérôme Ducaz był zajęty kontemplowaniem wspaniałej kolekcji impresjonistów, zdobiącej ściany gabinetu. Tyle dróg przebytych, tyle wysiłku, tyle pieniędzy, żeby zebrać tę niezwykłą kolekcję. Czy jego Monety, Renoiry, Sisleye, Degasy, Pissary, Cezanne'y miały się znaleźć w niebezpieczeństwie? Opuścił ciężkie powieki i rzucił trochę astmatycznym głosem:

– Ja się zgadzam.

cdn

W następnym numerze „Fikcji i Faktów":

„Jachniczek i Marysieńka", czyli wielka i namiętna miłość króla do jedynej kobiety życia.

Zygmunt Broniarek – „Trumna prezydenta Kennedy'ego". Pierwszy odcinek cyklu o mężach stanu, politykach i przestępcach. Napisany specjalnie dla FiF.

Waldemar Łysiak – „Przedpokój gilotyny".

Luben Diłow – „Proszę zapiąć pasy". Fantastyczna nowela o kosmitach w ONZ.

Cztery razy „B", czyli dwie opowieści o gwiazdach sportu i ekranu.

Pewien szlachcic francuski obcierał zawsze nos ręką: rzecz cale przeciwna naszym obyczajom. Owóż, broniąc raz swojej sprawy (a był sławny z trefnego języka), spytał mnie, jakiego przywileju zażywa ten wstrętny ekstrement, abyśmy mieli w pogotowiu na jego przyjęcie sztuczkę pięknej i cienkiej bielizny, a potem, co więcej, abyśmy zawijali go i przechowywali troskliwie przy sobie: że to powinno bardziej być nam ohydne niż patrzeć, jak się go miota bądź gdzie, precz od siebie, jako czynimy z innymi nieczystościami. Uważam, że prawi wcale nie od rzeczy: jeno iż zwyczaj odjął mi świadomość tego dziwactwa, które wszelako zda się nam tak wstrętne, skoro ktoś o nim mówi, jak gdyby miało miejsce w innym kraju. Cuda leżą w naszej nieświadomości spraw natury, a nie w samej tejże natury istocie. Oswojenie usypia jasność sądów...

Kartezjusz

Zdrowy rozum jest to rzecz ze wszystkich na świecie najlepiej podzielona, każdy bowiem sądzi, iż jest w nią tak dobrze zaopatrzony, iż nawet ci, których we wszystkim innym najtrudniej jest zadowolić, nie zwykli pragnąć go więcej, niźli posiadają. Nie jest prawdopodobne, aby się wszyscy mylili w tej mierze; raczej świadczy to, iż zdolność dobrego sądzenia i rozróżniania prawdy od fałszu (a to, ściśle biorąc, nazywamy zdrowym rozsądkiem lub rozumem) jest z natury równa u ludzi. Tak więc rozbieżność mniemań nie pochodzi stąd, aby jedni byli roztropniejsi od drugich, ale jedynie stąd, iż prowadzimy myśli swoje rozmaitymi drogami i nie rozważamy tych samych rzeczy. Nie dość bowiem mieć umysł bystry, ale główna rzecz dobrze go zażywać. Największe dusze zdolne są do największych występków, zarówno jak do największych cnót, a ci, którzy idą nawet bardzo wolno, jeśli idą wciąż prostą drogą, mogą posunąć się i wiele dalej niż ci, którzy biegną, lecz oddalają się od niej.

•

Montaigne

(...) Tucydydes mówił o wojnach domowych swego czasu, że chcąc stworzyć ochronę i jakoby wymówkę dla publicznych zbrodni – chrzczono je nowymi, bardziej łagodnymi nazwami, przekształcając i miękcząc ich prawdziwe miano. Wszak ci to dla z r e f o r m o w a n i a naszego sumienia i wiary! Ale najlepszy nawet pozór nowatorski jest bardzo niebezpieczny; i mówiąc szczerze, zda mi się wielkim zarozumieniem o sobie i pychą, szacować swoje mniemania aż do tego stopnia, aby dla narzucenia ich ważyć się obalać spokój publiczny, wprowadzać tyle nieuniknionych nieszczęść i owo tak straszliwe skażenie obyczajów, jakie przynoszą wojny domowe i odmiana porządku w rzeczach tak wielkiej wagi: wprowadzać to wszystko do własnego kraju! Czyż to nie jest zła gospodarka wnosić tyle pewnych i wiadomych nieszczęść po to, aby zwalczyć wątpliwe i niedowiedzione błędy? Czy może być gorszy rodzaj zła niż to, które obraża własne sumienie i naturalne poczucie?

Prawodawca Thuryjczyków nakazał, aby każdy, kto by chciał, albo znieść któreś z istniejących praw, albo ustanowić nowe, przedstawił się ludowi z postronkiem na szyi; w razie gdyby nowość nie spotkała się z powszechnym przyjęciem, miał być natychmiast uduszony.

Dariusz zapytał Greków, za jaką cenę zgodziliby się przyjąć obyczaj Indian, aby zjadać swych pomarłych ojców (tak bowiem czynią owi, w rozumieniu, iż nie mogą dać im bardziej zaszczytnego grobowca niż w samym sobie) odpowiedzieli, iż za nic w świecie. Kiedy znów tamci próbowali nakłonić Indian, aby poniechali swego zwyczaju, a przybrali grecki, który polegał na paleniu ciał, wzbudzili w nich jeszcze większą trwogę. Tak dzieje się ze wszystkim, ile że przyzwyczajenie przysłania nam prawdziwe obrazy rzeczy.

Pascal

(162) Nos Kleopatry: gdyby był trochę krótszy, cała powierzchnia ziemi wyglądałaby inaczej.

(181). Jesteśmy tak nieszczęśliwi, iż możemy znajdować przyjemność w jakiejś rzeczy jedynie pod warunkiem, że strapimy się, jeśli ta rzecz się nie uda; co mogą sprawić tysiące przyczyn i sprawiają też na każdym kroku. Kto by odkrył tę tajemnicę, aby cieszyć się dobrem nie martwiąc się przeciwnym mu złem, ten trafiłby w sedno: oto perpetuum mobile.

(205). Kiedy zważam krótkie trwanie swego życia, wchłonięte w wieczność będącą przed nim i po nim, kiedy zważam małą przestrzeń, którą zajmuję, a nawet którą widzę, utopioną w nieskończonym ogromie przestrzeni, których nie znam i które mnie nie znają, przerażam się i dziwię, iż znajduję się raczej tu niż tam, nie ma bowiem racji, dlaczego raczej tu niż gdzie indziej, dlaczego raczej teraz niż wtedy. Kto mnie tu postawił? na czyj rozkaz i zarządzenie przeznaczono mi to miejsce i ten czas?...

(206). Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie.

(207). Ileż królestw nie wie o naszym istnieniu!

(298). S p r a w i e d l i w o ś ć , s i ł a – Sprawiedliwym jest, aby poddać się temu, co sprawiedliwe; koniecznym, poddać się temu, co silniejsze. Sprawiedliwość bez siły jest bezsilna; siła bez sprawiedliwości – tyrańska. Sprawiedliwość bez siły spotyka się z oporem, ponieważ zawsze znajdą się źli; siła bez sprawiedliwości ściąga nienawiść. Trzeba tylko zespolić razem sprawiedliwość i siłę i dążyć do tego, aby to, co sprawiedliwe, było silne, aby to, co silne, było sprawiedliwe.

(347). Człowiek jest tylko trzciną, najwątlejszą w przyrodzie, ale trzciną myślącą. Nie potrzeba, aby cały wszechświat uzbroił się, aby ją zmiażdżyć: mgła, kropla wody wystarczy, aby go zabić. Ale gdyby nawet wszechświat go zmiażdżył, człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to, co go zabija, ponieważ wie, że umiera, i zna przemoc, którą wszechświat ma nad nim. Wszechświat nie wie nic. Cała nasza godność spoczywa tedy w myśli. Stamtąd trzeba nam się wywodzić,

Izaak Babel

LIST

Oto list podyktowany mi przez posłańca z naszego oddziału ekspedycyjnego, Kurdiukowa. List ten nie powinien ulec zapomnieniu. Przepisałem go bez upiększeń i przekazuję dosłownie, zgodnie z prawdą:

„Droga mamo, Jewdokijo Fiodorowno!

W pierwszych słowach mojego listu śpieszę mamę zawiadomić, że Bogu dzięka, jestem żyw i zdrowy, co bym także samo chciał od mamy usłyszeć. A także samo nisko wam się kłaniam aż do samej ziemi... (Tu następują imiona krewnych, chrzestnych, kumotrów. Pomińmy to. Przejdźmy do drugiego ustępu.)

Droga mamo, Jewdokijo Fiodorowno Kurdiukowa. Śpieszę mamie napisać, że znajduję się w Czerwonej Konnej Armii towarzysza Budionnego, a także samo znajduje się tu mamin kum, Nikon Wasylicz, który jest w teraźniejszej chwili za czerwonego bohatera. Oni wzięli mnie do siebie, do ekspedycji politoddziału, gdzie my rozwozimy na pozycje literaturę i gazety – „Moskiewskie Izwiestia CIK", „Moskiewską Prawdę" i naszą rodzoną bezlitosną gazetę „Czerwony Kawalerzysta", którą każdy żołnierz na frontowej pozycji ma życzenie przeczytać, a potem to z bohaterskim zapałem rąbie podłą szlachtę i ja żyję przy Nikonie Wasyliczu bardzo doskonalę.

Droga mamo, Jewdokijo Fiodorowno. Przyślijcie mi, co tylko mama może według swojej możliwości. Dopraszam się, żeby zarżnąć łaciatego wieprzka i zrobić mi przesyłkę do politoddziału towarzysza Budionnego, odbiorca Wasyli Kurdiukow. Każdy dzień kładę się spać nie jedzący i bez żadnego odzienia, tak że fest mi zimno. Niech mi mama napisze względem mojego Stiopy, czy żyje, czy nie, dopraszam się, żeby mama go doglądała, i niech mi mama napisze, czy się strychuje, czy przestał, a także samo względem świerzbu na przednich nogach, podkuli go czy nie?

Upraszam, żeby droga mama Jewdokija Fiodorowna obmywała mu konieczne przednie nogi mydłem, które zostawiłem za obrazami świętymi, a jeżeli tatuś mydło wymydlili, to kupcie w Krasnodarze i Bóg mamę wynagrodzi. Mogę mamie także samo opisać, że tutaj kraj całkiem biedny, chłopi ze swoimi koniami chowają się przed naszymi czerwonymi orłami po lasach, pszenicy widać mało, a jak jest, to strasznie drobna, my się z niej śmiejemy. Gospodarze sieją żyto i także samo owies. Na kijach tu rośnie chmiel, tak że wychodzi bardzo akuratnie. Z niego pędzą samogon.

W drugich słowach mojego listu śpieszę napisać mamie względem taty, że tato zarąbali brata Fiodora Timofieicza Kurdiukowa, będzie temu z rok czasu. Nasza czerwona brygada towarzysza Pawliczenki szła na miasto Rostów, kiedy w naszych szeregach zdarzyła się zdrada. A tato był w te czasy u Denikina za dowódcę kompanii. Te ludzie, co ich widzieli, to mówią, że tato mieli na sobie medale jak przy starym reżymie. I przez tę zdradę wszystkich nas wzięli do niewoli i brat Fiodor Timofieicz nawinął się tacie. I tatuś zaczęli Fiedię rżnąć, mówiąc: draniu, psie czerwony, sukinsynu i rozmaicie i dorzynali, aż się ściemniło, dopokąd brat Fiodor Timofieicz nie skonał. Ja napisałem wtedy do mamy list, jak mamin Fiedia bez krzyża leży. Ale tato złapali mnie z listem i powiedzieli: wyście – matczyne dzieci, wyście – jejne kurewskie nasienie, ja waszą matkę brzuchaciłem i będę brzuchacić, moje życie stracone, ja własny ród za prawdę wygubię i jeszcze rozmaicie. Ja znosiłem te męki od niego jak Zbawiciel Jezus Chrystus. Tylko że prędko potem od taty nawiałem i doskoczyłem do swojego oddziału towarzysza Pawliczenki.

I nasza brygada dostała rozkaz iść do miasta Woroneża na uzupełnienie i dostaliśmy tam uzupełnienie, a także samo konie, chlebaki, nagany i wszystko do nas przynależące.

Względem Woroneża mogę mamie napisać, droga mamo Jewdokijo Fiodorowno, że to miasteczko bardzo wspaniałe, będzie większe jak Krasnodar, ludzie tam bardzo przepiękni, rzeczka sposobna do kąpania. Dawali nam chleb po dwa funty dziennie, mięsa pół funta i cukru odpowiedzialnie, tak że na wstawanego pili my słodką herbatę, także samo na wieczór i o głodzie zapomnieli my, a na obiad chodziłem do brata Semena Timofieicza za blinami albo gęsiną i potem to kładłem się odpocząć. O te czasy Semena Timofieicza za jego śmiałość cały pułk chciał mieć za dowódcę i od towarzysza Budionnego wyszedł taki rozkaz i on dostał parę koni, całe umundurowanie, cały wóz na łachy i Order Czerwonego Sztandaru, a ja przy nim byłem za brata. Jak tera który sąsiad mamie ubliży, to Semen Timofieicz może go spokojnie zarżnąć. Potem zaczęliśmy pędzić generała Denikina, naszatkowaliśmy ich tysiące i zapędziliśmy ich w Czarne Morze, ale tylko taty nigdzie nie było widać i Semen Timofieicz ich szukali na wszystkich pozycjach, dlatego że im bardzo było tęskno za bratem Fiedią. Tylko że, droga mamo, już mama zna tatę i jego uparty charakter. Bo co on też zrobił – nachalnie pofarbował sobie brodę z rudej na karą i znajdował się w mieście Majkopie w cywilu, tak że nikt z tamtych mieszkańców nie wiedział, że on jest sam przez się strażnik przy starym reżymie. Tylko że prawda zawsze na wierzch wyjdzie, mamin kum Nikon Wasylicz trafem zobaczył go w chałupie u jednego i napisał list do Semena Timofieicza. Powsiadali my na konie i przelecieli dwieście wiorst – ja, brat Sieńka i chłopaki ze stanicy, kto miał chęć.

I cośmy też zobaczyli w mieście Majkopie? Zobaczyliśmy, że tyły nie mają dla frontu ani tyle współczucia i wszędzie tam zdrada i pełno Żydów, jak przy starym reżymie. I Semen Timofieicz w mieście Majkopie miał porządną przeprawę z Żydami, co nie puszczali taty i trzymali go w więzieniu pod kluczem, mówiący: przyszedł rozkaz nie rąbać jeńców, my go sami będziemy sądzić, nie miejcie złości, on swoje dostanie. Ale jednak Semen

Timofieicz postawił na swoim i pokazał, że jest dowódcą pułku i ma od towarzysza Budionnego wszystkie ordery Czerwonego Sztandaru i odgrażał się, że wszystkich zarąbie, co się ujmują za taty osobistość i nie wydają jej, a także samo odgrażali się chłopaki ze stanicy. Ale jednak Semen Timofieicz tatę dostali i zaczęli tatę batożyć i ustawili na dworze wszystkich żołnierzy jak się należy według wojskowego porządku. I wtedy Sieńka chlusnął tacie Timofiejowi Rodionyczowi wody na brodę i z brody pociekła farba. I Sieńka spytał Timofieja Rodionycza:

– Dobrze wam, tato, w moich rękach?

– Nie – odpowiedział tato – źle mi.

Wtedy Sieńka spytał:

– A Fiedii, kiedyście go rżnęli, dobrze było w waszych rękach?

– Nie – powiedział tato – źle było Fiedii.

Wtedy Sieńka spytał:

– A myślał tato, że i wam tak źle będzie?

– Nie – powiedział tato – nie myślałem, że mnie tak źle będzie.

Wtedy Sieńka obrócił się do ludzi i powiedział:

– A ja tak myślę, że jeżeli waszym w ręce wpadnę, to nie będzie dla mnie litości. A teraz, tato, my tatę wykończymy.

I Timofiej Rodionycz zaczął nachalnie do Sieńki wyrażać się o mamie i o Najświętszej Panience i bić Sieńkę po mordzie i Semen Timofieicz wysłali mnie ze dwora, tak że nie mogę, droga mamo Jewdokijo Fiodorowna, opisać mamie względem tego, jak wykańczali tatę, bo mnie wysłali ze dwora.

Potem to dostaliśmy kwatery w mieście Noworosyjskim. Względem tego miasta to można opowiedzieć, że na nim już ani kawałka suchego miejsca nie ma, tylko sama woda, Czarne Morze, i myśmy tam stali do samego maja, kiedyśmy poszli na polski front i trzepiemy szlachtę jak się patrzy...

Pozostaję z uszanowaniem, wasz syn Wasyli Timofieicz Kurdiukow. Mamusiu, doglądajcie Stiopki i Bóg mamy nie opuści".

Oto list Kurdiukowa bez jednej poprawki. Kiedy skończyłem, Kurdiukow wziął zapisany arkusik i schował go za pazuchę, na gołe ciało.

– Kurdiukow – spytałem chłopca – złegoś miał ojca?

– Z ojca był pies – odpowiedział ponuro.

– A matka lepsza?

– Matka jak należy. Jak chcesz, to tu masz naszą familię...

Podał mi złamaną fotografię. Był na niej Timofiej Kurdiukow, barczysty strażnik w urzędowej czapce i z rozczesaną brodą, znieruchomiały, z wystającymi skułami, z błyskiem w bezbarwnych, bezmyślnych oczach. Obok niego w bambusowym foteliku siedziała drobna chłopka w długim kaftaniku, o mizernych, jasnych i wstydliwych rysach twarzy. A pod ścianą, na tym nędznym prowincjonalnym fotograficznym tle z kwiatami i gołąbkami, sterczeli dwaj chłopcy – potwornie rozrośnięci, tępi, o szerokich twarzach, wyłupiaści, zastygli jak na mustrze, dwaj bracia Kurdiukow – Fiodor i Semen.

Przełożył Jerzy Pomianowski

Opowiadanie z książki *„Utwory wybrane"* – Izaak Babel, wydanej nakładem SW *„Czytelnik"*, 1974

Sztuka walki



Gdyby żył, byłby najlepiej opłacanym aktorem świata w historii kina. Amerykańska wytwórnia filmowa Warner Brothers zaproponowała mu kontrakt dość oryginalny, nawet jak na zwyczaje Hollywoodu. Oferta opiewała na sto tysięcy dolarów dożywotniej pensji, jeśli zaakceptuje jeden z pięciu proponowanych scenariuszy filmowych. Bruce Lee jednak jej nie podpisał. Zmarł nagle w nocy z 21 na 22 lipca 1973 roku...

Miał wówczas trzydzieści dwa lata i był uwielbiany przez miliony. Jego popularność nie mieściła się w dotychczasowej konwencji kina. Nie wyznaczały jej ani nagrody, ani mistrzostwo sztuki scenicznej. Scenariusze jego filmów także odbiegały od klasycznych wzorów dramaturgii. Były banalne, czasem wręcz naiwne. Nikogo jednak z ówczesnych widzów i producentów nie raziły uproszczenia. O ich rzeczywistej wartości przekonano się dopiero po latach, gdy na kanwie sprawdzonych wzorów podjęto próbę kontynuacji stylu. Pomimo zachowania wszelkich reguł nowe filmy bez głównego bohatera były puste i pozbawione własnego życia.

Do filmowego przemysłu Bruce Lee wszedł jakby kuchennymi drzwiami. Stworzył ekranową postać ucieleśniającą najskrytsze marzenia młodych ludzi, niezależnie od szerokości geograficznej. Udało mu się uchwycić ten moment, w którym wizja świata składa się wyraźnie z dwóch barw, czerni i bieli. Dobra i zła, bez półcieni i kompromisów. Wydaje się, że w wyobraźni milionów Lee wskazał drogę od lęku przed agresją do sławy niezwyciężoności. Ale to był już pomysł i sposób na życie. Jakże inny od Chaplinowskiego rozumienia świata, inny też od zbuntowanego Jamesa Deana, ale już bliski nieustraszonym szeryfom Dzikiego Zachodu. Z kinowym bohaterem każdy mógł się utożsamić. Bruce Lee kreował samego siebie, demonstrując umiejętności walki wręcz, jakich nauczył się jeszcze w młodości. Okazywał szlachetność i cnotę, bo taką też filozofię niosły ze sobą zapomniane przez setki lat sposoby walki mnichów buddyjskich. To zachęcało do naśladownictwa. Stał się więc idolem także i poza ekranem.

Hollywood przyjął skośnookiego aktora z Hongkongu bardzo poważnie i wydaje się, że profity płynące z jego filmów nie były dla owego stosunku miarą decydującą. Po karate Amerykę ogarnął szał zgłębienia tajemnic kung fu. W krótkim czasie zrodził się olbrzymi ruch z własnymi wydawnictwami, klubami i sektami pod wezwaniem filmowego bohatera Bruce'a Lee. On sam pobierał coraz wyższe opłaty za lekcje, a mimo to znajdował wdzięcznych słuchaczy. Pobierali te nauki tacy aktorzy, jak Steve McQuin czy James Coburn. Carlo Ponti zaproponował mu rolę w filmie obok żony – Sophii Loren, a wytwórnia Metro Goldwyn Mayer planowała stworzyć obraz z Brucem Lee i Elvisem Presley'em w rolach głównych.

Kiedy gazety przyniosły wiadomość o tragicznej śmierci aktora, znakomita większość jego wielbicieli potraktowała to jako reklamowy chwyt. Wiadomo było, że Bruce Lee kręcił właśnie film „Game of Death" (Gra śmierci)...

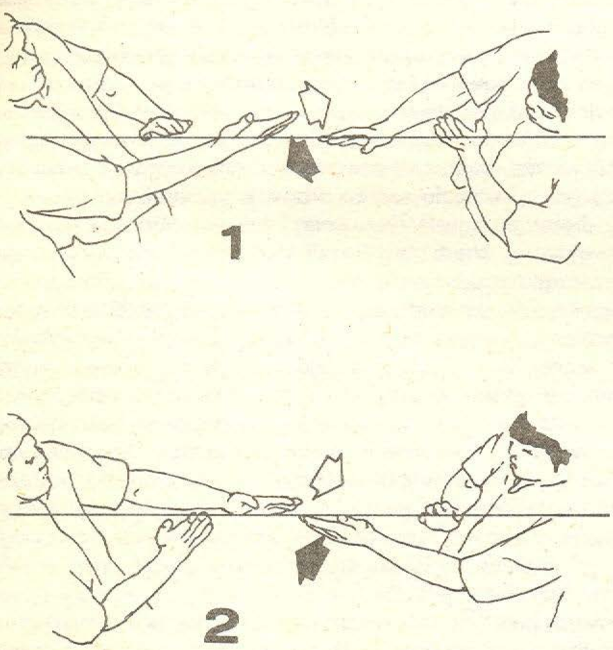
Niespodziewana śmierć zrodziła kult i legendę, którą porównywano do legendy Jamesa Deana w latach pięćdziesiątych, czy późniejszej Elvisa Presley'a. Najbardziej jednak zdumiewające jest to, że mimo już blisko dziesięciu lat, jakie upłynęły od tamtej pory, popularność Bruce'a Lee nie słabnie. Jego filmy nadal skutecznie konkurują z filmowymi Oscarami, jak i z nagranymi na taśmie video poradnikami z dziedziny pornografii. Jeden z jego siedemnastu filmów – „Wejście Smoka" jest od kilkunastu miesięcy wyświetlany w naszym kraju. Także i w Polsce sukces kasowy nie ma sobie równych.

Filmowa kariera Bruce'a Lee rozpoczęła się bardzo wcześnie. Nazywano go Małym Smokiem – Li Siu-Lung. Przydomek osadzony w konwencji starochińskiej mistyki narodowej nadano mu już w młodości, gdy jako kilkuletni chłopiec wystąpił w dwóch filmach nakręconych w Hongkongu. Jego prawdziwe imię, nadane przez matkę, brzmiało Li Yuen Kam, czyli Opiekun San Francisco. Bruce Lee urodził się bowiem w San Francisco, w rodzinie chińskich emigrantów. Przyszedł na świat 27 listopada 1940 roku, jako czwarte z kolei dziecko. W kilka lat później rodzice wraz z dziećmi opuścili Stany Zjednoczone i osiedlili się w Hongkongu. Przydomek „Małego Smoka" stał się jednak popularny dopiero po latach, gdy narodziła się kinowa sława małego wzrostem, lecz silnego duchem skośnookiego aktora z Dalekiego Wschodu.

Ojciec Bruce'a, fanatyk zdrowia, skierował swego wówczas trzynastoletniego syna do słynnej szkoły Yip Mana. W latach trzydziestych Yip Man osiedlił się w Hongkongu, podobnie jak wielu innych mnichów klasztorów buddyjskich, którzy znajdowali tu schronienie w obawie następstw zmian politycznych w Chinach. Lee stał się wiernym uczniem Mistrza,

Bruce Lee

Janusz Świerczyński



1

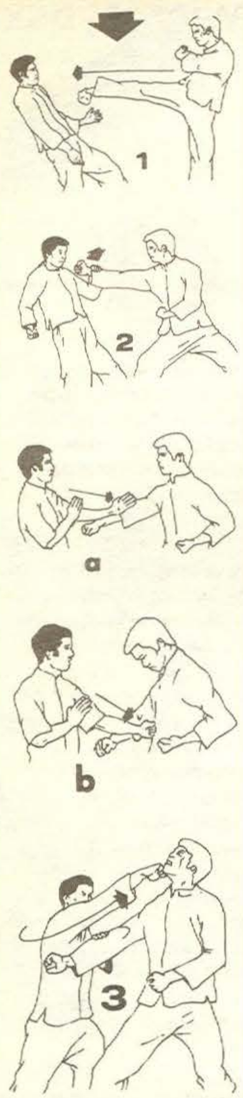
2

Filmy z „małym smokiem" wywołały zainteresowanie demonstrowanymi przez niego metodami walki wręcz. Dzięki nim wielki rozgłos zyskała jedna z wielu odmian kung fu, pozostająca na uboczu zainteresowań, styl zwany Wing Tsun. Bruce Lee uczył się kung fu w Hongkongu w szkole Yip Mana, spadkobiercy tradycji stylu walki rozwiniętego w XVIII wieku przez mniszkę (o dźwięcznym imieniu) Wing Tsun. Wing Tsun, czyli wiosenny czas, był najczęściej stosowanym stylem przez „małego smoka". Odmiana ta wyróżnia się prostymi ciosami wyprowadzanymi w kierunku przeciwnika z maksymalną energią. Oszczędna jest ich kombinacja, a linia ruchów załamana. Prezentowane rysunki ilustrują bardzo charakterystyczną dla tego stylu kung fu niespotykaną nigdzie indziej specyficzną pracę rąk. Techniki te zwane Chi Sao oznaczają „przyklejone ręce" i podobnie jak skrzyżowanie szpady służą tym samym celom: wyczuciu rąk przeciwnika i odnalezienie słabego miejsca obrony. Chi Sao jest ruchem falowym, który, jak twierdzą starzy mistrzowie, nadaje kierunek przepływu energii wewnętrznej. Chi Sao jest podstawową techniką Wing Tsun, praktykowaną często w ciemnym pokoju lub z zawiązanymi oczyma. Oparcie taktyki walki na pracy rąk narzuca pewien specyficzny układ gardy (rys. 1,2). Ramiona w pozycji równoległej, zaś grzbiety dłoni znajdują się naprzeciw siebie: gwarantuje to przeprowadzenie obrony poprzez zejście w bok od przeciwnika. Inną odmianą jest ułożenie rąk, gdy gardy są sobie bardziej przeciwstawne i wewnętrzne strony dłoni znajdują się naprzeciw siebie. Obrona kierowana jest wówczas od wewnętrznej strony.

który uczył go zasad życia, przykazań moralnych i powinności, opierających się na sztuce walki. Rozwijał on jedną z odmian starochińskiego boksu, zwaną Wing Chuen-kung fu. Styl ten, zaliczany do gatunku tak zwanych zewnętrznych, opracowała w XVI wieku zakonnica buddyjska Ng Mui, natomiast współczesną postać nadała także kobieta Yim Wing Chuen. Yip Man (zmarły w 1973 roku, w wieku osiemdziesięciu lat) był bodaj największym autorytetem tego stylu, natomiast wielkiej sławy Wing Chuen-kung fu przysporzył swymi filmowymi popisami właśnie jego uczeń Bruce Lee. Uważa się obecnie, że dzięki tej reklamie jest on trzecim co do popularności stylem Wai Chia (czyli zewnętrznym) rozwijanym na świecie.

Z technicznego punktu widzenia szkoła tej walki jest niezwykle oryginalna, gdyż cechuje ją oszczędność ruchu. Postawy są naturalne, wysokie i rozprężone, natomiast ruchy krótkie, wykonywane głównie po liniach prostych. Walczący w Wing Chuen przyjmuje – opierając się na charakterystyce stylu podanej przez Rolanda Hebersetzera – szczególną gardę – nogi ustawione są w lekkim rozkroku, kolana lekko ugięte. Ramiona na pół zgięte, z łokciami przy tułowiu. Dłonie natomiast są otwarte i skierowane ku przeciwnikowi. Cechą charakterystyczną tego stylu jest pewna kombinacja siły i zręczności, która wyraża się zasadą, że jeśli przeciwnik ma przewagę siły, należy przeciwstawić mu zręczność. Może to być, na przykład, bliski kontakt z ramionami przeciwnika, połączony z natychmiastowym obrotem ciała wokół wektora ataku (Chi Sao). Jeśli jednak przeciwnik wykazuje przy ataku elastyczność, wówczas możliwe jest zakończenie walki poprzez zaskakujące uderzenie siłowe. (Zasada ta przejęta została także i przez pewne odmiany karate, jak choćby Goju-Ryu). Interesujące może być także i to, że właśnie Wing Chuen, w odróżnieniu od innych szkół, jest chętnie praktykowany przez kobiety.

Bruce Lee opanował te zasady w stopniu doskonałym, czego najlepszym dowodem są właśnie jego filmy. Techniki i sceny walki, poza oczywiście koniecznymi retuszami montażowymi przydającymi widowisku większej dramaturgii, są w znakomitej większości właśnie autentyczną prezentacją stylu kung fu i tej całej rozległej wiedzy walki. Poznał także



Bardzo charakteiystyczną cechą tego stylu jest zadawanie tak zwanego ciosu prostopadłego. Wing Tsun, podobnie jak i inne systemy, zakłada pojęcie blokady i ataku w jednoczesnym rytmie (rys. 1,2,3). Kierunek ruchu jest ukośny, ku górze, po prześliźnięciu się po przedramieniu przeciwnika lub też po bloku uderzenie w dół. Aby dobrze opanować owe proste zdawałoby się techniki, należy dokładnie zgłębić tajniki Chi Sao, to znaczy w rezultacie wielu lat praktyk doprowadzić do wykształcenia zmysłu wyczucia każdego ruchu przeciwnika.

wiele innych stylów kung fu, odmian karate taekwendo czy sposobów walki tak zwanymi chłopskimi broniami, z których na plan pierwszy wysuwa się niezwykle piękna sztuka władania nunchaku, czyli dwoma kijami połączonymi łańcuszkiem.

Lee mając siedemnaście lat wystąpił w filmie, którego treść w dużej mierze osnuta była na jego biografii. Była to historia chłopca pełnego temperamentu, skłonnego do zwady, który w pewnym momencie staje przed koniecznością wyboru. Albo pozostanie na marginesie, albo wybierze drogę życia uczciwego poprzez naukę w szkole. W wiele lat później powiedział, że gdyby nie został gwiazdorem, prawdopodobnie byłby gangsterem.

Pochlebne opinie o „Orphan Ah Sam", gdyż taki tytuł nosił ten obraz, skłoniły go do szukania życiowej przygody w kraju narodzin. W 1958 roku wyjechał do Kalifornii, a rok później wstąpił na studia filozoficzne w uniwersytecie waszyngtońskim. Uczył się, pracował i nadal doskonalił swoje kung fu. To ostatnie zajęcie przynosiło mu coraz więcej profitów, postanowił więc założyć swój własny „instytut", rezygnując z dalszych studiów. Z biegiem czasu jego szkoła zyskała olbrzymi rozgłos, co pozwoliło mu podnieść cenę za tydzień nauki do 500 dolarów. On sam natomiast poszukiwał kontaktu z filmowym byznesem. Wystąpił w dwóch filmach: „Długa ulica" i serialu „Zielony Szerszeń", które jednak nie wywołały aplauzu. Znacznie większą popularność dawały mu telewizyjne popisy techniki uderzeń, prezentacja skutecznych metod walki. Rozbijał deski, nadając sobie miano niezwyciężonego. Był agresywny i pewny siebie w publicznych wypowiedziach. Podobno podczas jednego z takich telewizyjnych występów wywołał skandal, bijąc jednego z gości, który nie dowierzał jego słowom o skuteczności kung fu. I gdy wydawało się, że droga, jaką obrał, nie wróży nic dobrego, otrzymał propozycję z... Hongkongu. Wytwórnia Filmowa „Golden Harvest" powierzyła mu odtworzenie głównej roli w filmie „Big Boss". Wraz z rodziną: żoną Lindą i dwojgiem dzieci, przeniósł się do Hongkongu.

Praca nad filmem pochłonęła go bez reszty. Lee zrozumiał, że w opowieści o wiejskim chłopcu, który w obronie zaginionych kolegów wypowiada wojnę szefowi i jego bandzie oprychów, może pokazać coś więcej niż technikę zabijania. Gra rolę szlachetnego, spokojnego człowieka pracy, któremu udaje się przełamać wszystkie nieprawości. A to przecież w tej kompozycji tkwi klucz do sławy. Z czasem ten motyw stanie się jego ideologicznym przesłaniem, podstawą do wypowiadania filozoficznych morałów. Niszczenie i zabijanie będzie już odtąd jedynie elementem wspomagającym wymowę obrazu. Już w następnym filmie – „Fist of Fury" („Wściekła pięść"), Bruce Lee zmienił w sposób zaskakujący pointę scenariusza. Jest to opowieść o zemście. Lee, grający Chena, eksperta od kung fu, przyjeżdża do Szanghaju w celu wzięcia udziału w pogrzebie swego nauczyciela – Ho. Na uroczystości zjawiają się odwieczni przeciwnicy, czyli przedstawiciele japońskiego stowarzyszenia sztuk wojennych. Mimo próby pojednania dochodzi jednak do walki. Chen broni się, zabija i ucieka. Mści się następnie na szefie japońskiej szkoły. W rewanżu za śmierć przyjaciela zabija jeszcze kilka osób. I gdy wydawałoby się, że oto zemsta została spełniona, a Chen wycierając spracowane dłonie mógłby udać się do codziennych zajęć, staje się coś niezwykłego. Bruce Lee powiedział o tym tak: *„Gloryfikacja przemocy i agresji, to, co obserwujemy każdego dnia w telewizji i czytamy w prasie, co w rezultacie składa się na nasze codzienne życie, jest olbrzymim błędem. I dlatego ów charakter, który kreowałem w „Fist of Fury", umiera na końcu filmu. Zabił zbyt wielu ludzi i musiał za to zapłacić..."*

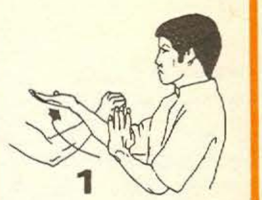
Zarówno pierwszy jak i drugi film przyniosły mu olbrzymi sukces, przeliczany na konkretną walutę. Lee stał się najlepiej opłacanym aktorem chińskiej fabryki snów – jak potocznie nazywano wytwórnię filmową braci Shaw w Hongkongu. Rzecz jednak w tym, że jednocześnie stał się filmowym Mesjaszem. Nie ma potrzeby, jak się wydaje, dyskutować nad wyrafinowaniem jego idei. Była ona prosta, a przez to łatwa do ogarnięcia przez miliony. Ważne, że on sam wierzył w to przesłanie niezwykle głęboko, tworząc sugestywne postacie, przekazujące ten jego wschodni „dekalog".

Kolejne propozycje posypały się już obficie. Każdy nowy film przynosił sukces i coraz większy rozgłos. Wiele z nich powstało w kooprodukcji z wytwórniami w Hollywood. Ameryka nigdy jednak nie przejęła „Małego Smoka" na własność. Propozycja nadeszła zbyt późno.

Kiedy Warner Brothers przedłożył ofertę, Bruce Lee miał już za sobą siedemnaście filmów i rzesze wielbicieli na całym świecie. Kinowa epidemia kung fu przeniosła się do klubów i stowarzyszeń. On sam był częścią tego wielkiego biznesu. Spośród wielu pism poświęconych tej tematyce miesięcznik Kung Fu Monthly osiągnął w latach siedemdziesiątych nakład ćwierć miliona egzemplarzy! Bruce Lee udzielał porad, nauczał techniki walki, jakby te wszystkie filmowe kawałki były jedynie skromną częścią jego wiedzy. Ogłosił także, że w wyniku wieloletnich studiów i doświadczeń opracował własny styl kung fu, którego główną zasadą było dostosowanie techniki i sposobów walki do budowy i możliwości ćwiczącego. Nazwał go Jeet Kune Do. Zwykł mawiać, że *„w sztuce bojowej nie należy starać się zostać kimś innym, a raczej ujawnić swoją osobowość. Trzeba być kimś, a nie stawać się dopiero kimś..."*. Wskazywał także cel owych praktyk: *„Kopnięcie lub uderzenie nie jest pokonaniem przeciwnika, lecz pokonaniem siebie, swego „ja", swego strachu i rezygnacji".*

W batalistycznych scenach filmowych był prawdziwy i naturalny. Występowali u jego

boku zawodowi mistrzowie rozlicznych turniejów, uznane sławy w wielu dziedzinach walki: karate, taekwendo, kung fu, a także specjaliści we władaniu bronią. Chuck Norris, Peter Archer czy Bob Wall zasłynęli tym razem jako negatywni bohaterowie tych opowieści o walce dobra ze złem. I choć prawdziwe ich pojedynki były „ustawione", składały się jednak z autentycznych kombinacji technik. Bruce Lee przykładał do ich roli wielką wagę. Sam, gdy tylko mógł, pragnął okazać swą niebywałą wszechstronność i inteligentną taktykę: W „Drodze Smoka" przegrywa bitkę z Chuckiem Norrisem, by w końcu po niespodziewanej zmianie taktyki zwyciężyć. Poza kadrem nadawał temu działaniu specjalną oprawę: *„Nigdy nie wiesz, co zrobię i ja sam tego nie wiem. Mój ruch jest rezultatem twojego ruchu, moja technika jest efektem tej, jaką ty zastosujesz."* Prawda ta leży zresztą u podstaw wszystkich stylów kung fu. Wszystkie jednak sceny filmowe, które w większości osobiście wyreżyserował, były na tyle wiarygodne, że nigdy nikt nie ośmielił się zarzucić mu fałszu lub fikcji.



1

Był pierwszym aktorem-sportowcem, który w tak doskonały sposób ukazał całemu światu przebogatą skarbnicę wschodnich sztuk walki. Jego nagły zgon w młodym wieku i rewelacyjne informacje, pochodzące rzekomo od lekarzy dokonujących sekcji zwłok, dodały do legendy Bruce'a Lee wiele pikanterii. Podobno komórki jego płuc i mózgu posiadały nienaturalną postać, bardzo nietypową w klasycznych przypadkach zgonu. Zauważono, że bardzo podobne zjawiska obserwowano czasem u innych zmarłych na Dalekim Wschodzie. Zrodził się w związku z tym pogląd, że Bruce Lee złamał wielką tajemnicę Wschodu. Zaspokajając własną pychę i ambicję gwiazdora sprzedał sekrety walki. Zgodnie z obowiązującą etyką zasady walki można zdobywać jedynie w otoczeniu mistrza. On jeden decyduje, komu jaką wiedzę można przekazać. Bez jego zgody uczeń nigdy nie może ani się wypowiadać na temat kung fu, ani tym bardziej ujawniać swych technik. Tak nakazuje wielusetletnia tradycja, która jest przestrzegana przez wiele współczesnych szkół na Wschodzie. Rzecz, oczywiście, polega może nie tylko na sprzedawaniu tajemnic, choć i te po dziś dzień są zastrzeżone jedynie dla wybranych, co na surowym rygorze wychowawczym, karcącym pychę i egoizm, ustalającym zasady, jakie winny obowiązywać pomiędzy nauczycielem a uczniem. Jakby nie patrzeć na życie Bruce'a Lee nie pozostawało ono w zgodzie z nakazem pokory i skromności. Musiał więc zginąć nie podejmując nawet walki, gdyż nie poznał jeszcze wszystkich sekretów kung fu. Sam zresztą wielokrotnie wypowiadał się krytycznie o mistrzach tak zwanych stylów wewnętrznych kung fu, którzy koncentrują się na „fluidach życia" i wyzwalaniu sił psychicznych. W starochińskim kung fu mówi się o legendarnych stylach Dim Mok i Dim Huk, które uczyły, jak siły te potęgować i wyzwalać. Czyżby więc Bruce Lee zginął od takiego bezbolesnego dotyku, który podobno można wyraźnie oznaczyć w czasie minionych tygodni i miesięcy?



2



3

Oficjalna wersja zgonu w domu aktorki Betty Ting Pei, do której gwiazdor zawitał o zmierzchu, mówi o ataku serca. Jest to wszak powszechne zjawisko fizjologiczne, choć w tym przypadku zastanawiające, że spotkało ono człowieka młodego i wysportowanego. Czy jest normalne, aby mogło to nastąpić w kilka godzin po wzięciu proszków od bólu głowy, choćby nawet popitych szklaneczką alkoholu, którego, notabene, nigdy nie używał? A czy właśnie serce – argumentują ci, dla których współczesna medycyna jest śmieszną częścią chińskiej wiedzy o człowieku – nie jest organem, jaki należy porazić, aby taki atak wywołać? Nie jest przecież tajemnicą, że w wyniku uporczywego treningu psychicznego można sterować własnym lub cudzym układem wegetatywnym, włącznie z zatrzymaniem akcji serca i doprowadzeniem osoby do śmierci klinicznej. Podobne przykłady opisywali angielscy badacze sprzężenia zwrotnego po pobycie w Indiach. Także i współcześnie nie brak jest zjawisk, których nie sposób jeszcze wytłumaczyć, wywoływanych przez osoby leczące energią i poprzez dotyk. Skoro można leczyć, to należy sądzić, że można także niszczyć.



4

Dyskusje na temat przyczyn zgonu Bruce'a Lee trwały przez wiele lat i choć już wygasły, pozostawiły wiele wątpliwości. Niezaspokojona ciekawość i podziw dla mistrzostwa sprawiły, że Bruce Lee przeżył własną śmierć. Pozostał idolem znacznie dłużej niż dane to było wielu innym animatorom filmowych wzruszeń.



6

Esencją stylu Wing Tsun w chińskim pojęciu jest zasada: *„Jeśli przeciwnik atakuje, wchłoń i zneutralizuj jego cios. Przeciwnik wycofuje się, odetnij mu odwrót, dogoń go i skontratakuj. Uwolnij ramiona od uchwytu odwzajemniając się bolesnym uderzeniem".* Oto także jeden z typowych sposobów wykorzystania rąk w akcji obronnej. (rys. 1 do 6). Po ataku nogą i ręką, którego należy uniknąć poprzez cofnięcie się i zejście z linii ataku. Kontrolując nadgarstek przeciwnika w chwili zatrzymania ciosu należy zatrzymać go ciosem pięści. Obniżenie prawej dłoni i doprowadzenie stopy za przeciwnika sprawi, że nowy cios powali go na ziemię.



5

Frederick Forsyth

CZYSTA ROBOTA

Mark Sanderson lubił kobiety. Lubił także krwiste befsztyki z dobrze przyprawioną sałatą. Zarówno pierwsze, jak i drugie konsumował z jednakowym apetytem. Kiedy nachodziła go ochota, telefonował do odpowiedniego dostawcy i zamawiał towar, który przysyłano mu do wytwornego mieszkania, zbudowanego na dachu dużego domu. Mógł sobie pozwolić na wszystko, był bowiem multimilionerem, i to liczonym w walucie, w której wartość jednostki monetarnej, funta szterlinga – nawet w dzisiejszych czasach – równa się niemal dwóm dolarom.

Podobnie jak większość ludzi bogatych, którym dopisało szczęście, prowadził potrójne życie. Przede wszystkim było to życie zawodowe i publiczne potentata, a przy tym bon vivanta londyńskiego światka, po wtóre – prywatne, które nie z konieczności, ale zgodnie ze zwyczajem przyjętym przez jego otoczenie było w pełni jawne, i wreszcie trzecie, całkowicie okryte mrokiem tajemnicy.

W regularnych odstępach czasu pisano o nim na łamach wszystkich ważniejszych dzienników i mówiono w TV, przy czym interesowały się nim zarówno kolumny finansowe, jak i kroniki towarzyskie. Mark Sanderson, mając niewielkie wykształcenie, ale za to wprost niezwykły instynkt i prawdziwy nos do transakcji inwestycyjnych, rozpoczął pracę w połowie lat sześćdziesiątych w agencji handlu nieruchomościami w centrum Londynu. W ciągu dwóch lat nauczył się nie tylko wszystkich zasad gry kupieckiej, ale – co jeszcze ważniejsze – sposobów obchodzenia tych zasad. Mając dwadzieścia trzy lata załatwił w ciągu doby swoją pierwszą samodzielną transakcję. Było to kupno posiadłości w dzielnicy St. John's Wood. Zarobił na tym dziesięć tysięcy funtów i założył firmę pod nazwą Hamilton Holdings, która przez następne czternaście lat miała stanowić jego główną bazę wypadową. Nazwał ją tak na pamiątkę owej pierwszej transakcji, nabyta bowiem wówczas przezeń kamienica znajdowała się przy Hamilton Terrace. Miało to być jego pożegnanie z sentymentami w interesach.

Na początku lat siedemdziesiątych, po zarobieniu pierwszego miliona, przerzucił się z handlu nieruchomościami na budownictwo biurowców. W połowie dekady był wart bez mała pięć milionów funtów i zaczął rozszerzać granice swej działalności. Jego mistrzowskie operacje finansowe, bankowe i w przemyśle chemicznym oraz inwestycje w miejscowościach letniskowych nad Morzem Śródziemnym były równie intratne, jak owa pierwsza transakcja w St. John's Wood. Pisano o nich w prasie, podziwiano je, a akcje dziesięciu przedsiębiorstw zgrupowanych w Hamilton Holdings stale zwyżkowały na giełdzie.

O prywatnym życiu Marka Sandersona można się było dowiedzieć z innych stron tych samych gazet. Pisano o jego wspaniałym apartamencie przy Regent's Park, luksusowej posiadłości w stylu elżbietańskim w hrabstwie Worcester, zamku w dolinie Loary, willi w Cap d'Antibes, o jego jachcie, rolls royce'ie, lamborghinim, o nie kończącym się korowodzie młodych, kształtnych gwiazdek filmowych, w których towarzystwie nieustannie się fotografował. Plotkarskie kąciki gazet pełne były fascynujących opisów wdzięków dziewczyn wylegujących się w jego czterometrowym okrągłym łożu. Jeszcze dziesięć lat temu zostałby zapewne doprowadzony do ruiny opisem sprawy rozwodowej pewnej majętnej gwiazdy filmowej czy sprawozdaniem z procesu o ojcostwo, wytoczonego mu przez pretendentkę do tytułu miss świata, gdy tymczasem na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych skandale te były raczej świadectwem – tak obecnie pożądanej – jego krzepy i budziły w kołach londyńskiego West Endu sensację i podziw. Mark Sanderson był więc osobistością powszechnie znaną.

Czymś zgoła innym było jego życie ściśle osobiste, które można było określić po prostu słowem... nuda. Wszelka aktywność nudziła Marka Sandersona. Ukute niegdyś przez niego powiedzonko: „Czego Mark zapragnie, Mark dostanie", przemieniło się w kiepski żart. Mając trzydzieści dziewięć lat wyglądał nieźle, pozował na Marlona Brando, był w świetnej formie fizycznej i... bardzo samotny. Zdawał sobie sprawę, że potrzebuje nie setek dziewczyn, ale owej jedynej, która dałaby mu dzieci i potrafiła stworzyć ognisko domowe. Ponieważ wiedział dość dokładnie, jaka powinna ona być, a dotąd jeszcze takiej nie spotkał, rozumiał, że szansa znalezienia jej jest niewielka. Jak większość bogatych playboy'ów mógł ulec urokom wyłącznie takiej kobiety, której by nie imponowały ani jego pieniądze, ani pozycja społeczna, ani sława. W odróżnieniu od większości ludzi bogatych Mark Sanderson zachował wystarczającą trzeźwość umysłu, żeby patrzeć na siebie obiektywnie. Oczywiście w tajemnicy przed światem. Publiczne przyznanie się do czegoś takiego równałoby się ośmieszeniu.

Był już absolutnie pewien, że nigdy owej wymarzonej istoty nie spotka, gdy to się właśnie stało. Było to wiosną na jednym z tych balów dobroczynnych, na których wszyscy goście śmiertelnie się nudzą, a dochód ze sprzedaży biletów wystarcza akurat na bańkę mleka dla dzieci w Bangladeszu. Kobieta stała po przeciwnej stronie salonu, słuchając monologu jakiegoś niskiego grubasa kurzącego długie cygaro. Słuchała go z dyskretnym półuśmiechem, z

ktorego trudno było wywnioskować, czy bawi ją anegdotka grubasa, czy też raczej jego błazeńskie wysiłki, żeby zajrzeć w głąb jej dekoltu. Sanderson przedarł się przez tłum i korzystając z przelotnej znajomości z grubym producentem filmowym, pozwolił się przedstawić dziewczynie, która nazywała się Angela Summers. Dłoń o wypielęgnowanych paznokciach, którą mu podała, była wąska i chłodna. Na trzecim palcu lewej ręki, w której trzymała szklankę dżinu z tonikiem, a raczej z samym tonikiem, widniała złota obrączka. Sandersona to bynajmniej nie zraziło. Kobiety zamężne uważał za równie łatwe do zdobycia jak panny. Żeby spokojnie z nią porozmawiać, pozbył się filmowca, a Angelę zaprowadził w kąt pokoju. Bliskość kobiety podnieciła go, co było właściwie normalne, ale wrażenie, jakie na nim zrobiła, trzeba uznać raczej za niezwykłe.

Pani Summers była wysoka, smukła, piękna i promieniowała spokojem. Mimo obowiązującej w latach siedemdziesiątych szczupłości sylwetki miała wypukłe piersi, wąską talię i solidne biodra. Jej błyszczące, kasztanowate włosy ściągnięte były klamrą, a ich połysk zdawał się świadczyć o zdrowiu ich właścicielki. Miała na sobie prostą, białą suknię, która podkreślała jej złocistą opaleniznę. Nie nosiła żadnej biżuterii. Była – jeżeli nie liczyć lekko umalowanych oczu – bez makijażu, co wyróżniało ją spośród wytwornych pań obecnych w salonie. Mark ocenił, że może mieć trzydzieści lat. Jak się później dowiedział, skończyła trzydzieści dwa.

Jej opalenizna posłużyła Sandersonowi za pretekst do rozpoczęcia rozmowy: czy zdobyła ją w czasie wiosennych wakacji w górach, czy może na statku, w drodze na Wyspy Karaibskie? Zakładał, że ona i jej mąż są wystarczająco zamożni, żeby prowadzić taki tryb życia jak większość obecnych na balu gości. Okazało się, że jego przypuszczenia są błędne – mieszkała z mężem w domku na wybrzeżu Hiszpanii. Państwo Summersowie żyli z niewielkich dochodów, jakie przynosiły pisane przez jej męża książki o ptakach, oraz z pieniędzy, które zarabiała ona, udzielając lekcji języka angielskiego.

Przyglądając się jej ciemnym oczom i włosom oraz złocistej cerze, doszedł do wniosku, że jest Hiszpanką, ale powiedziała mu, że jest Angielką. Przyjechała w odwiedziny do rodziców mieszkających w środkowej Anglii, a szkolna koleżanka zaprosiła ją na tydzień do Londynu. Za kilka dni miała powrócić do Hiszpanii. Rozmawiało się z nią łatwo. Nie schlebiała Sandersonowi, z czego był zadowolony, nie wybuchała przesadnym śmiechem, kiedy mówił coś zabawnego.

– Co pani myśli o towarzystwie z West Endu? – zapytał ją, gdy stojąc oparci o ścianę przyglądali się tańczącym parom.

– Przypuszczalnie nie to, co powinnam – odpowiedziała poważnie.

– To papugi w szklanej klatce – mruknął złośliwie.

Uniosła brwi.

– A mnie się zdawało, że Mark Sanderson to jeden z filarów tego światka – powiedziała z delikatną, lecz wyraźną kpiną.

– Czyżby wieści o nas docierały aż do Hiszpanii?

– Nawet na Costa Blanca czytamy „Daily Express" – odpowiedziała ze śmiertelną powagą.

– A w nim dokładne opisy życia i przygód Marka Sandersona.

– Także – odpowiedziała cicho.

– Robią na pani wrażenie?

– A powinny?

– Nie.

– Wiec nie robia.

Jej odpowiedź sprawiła mu ulgę.

– To dobrze. A mogę zapytać dlaczego?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Wszystko to fałsz – odpowiedziała wreszcie.

– Czy ja też?

Patrzył, jak pod prostą, białą, bawełnianą sukienką łagodnie unoszą się i opadają jej piersi. Po długiej chwili spojrzała mu w oczy.

– Nie wiem – odparła z powagą. – Ale przypuszczam, że gdyby dać panu szansę, mógłby się pan okazać całkiem miły.

Jej słowa speszyły go.

– Myli się pani – mruknął.

Uśmiechnęła się pobłażliwie, jak do małego, krnąbrnego chłopca.

Po kilku minutach zjawili się jej przyjaciele i przywitawszy się z Sandersonem, zabrali Angelę. Idąc do hallu Mark zaprosił Angelę na kolację następnego wieczoru. Nie robił tego już od lat. Angela Summers nie wysiliła się na żaden dowcip o tym, jak to niebezpiecznie jest pokazywać się w jego towarzystwie, ani o tym, że ma nadzieję, iż nie będzie w pobliżu fotografów. Zastanowiwszy się chwilę, powiedziała:

– Dobrze, bardzo chętnie.

* * *

Mark myślał o niej przez całą noc. Całkowicie zaniedbał wychudzoną i mizdrzącą się modelkę, którą poderwał nad ranem w jakimś nocnym lokalu. Wpatrywał się w sufit i widział oczami wyobraźni połyskujące kasztanowate włosy, wyobrażał sobie, że leżą na jego poduszce. Pod palcami czuł miękką, złocistą skórę Angeli. Był pewien, że ich właścicielka śpi spokojnie i cicho, wszystko bowiem robiła w taki właśnie sposób. Wyciągnął rękę, żeby popieścić pierś modelki, ale natrafił na wysuszony woreczek przypominający ucho zagłodzonego szczeniaka. Dziewczyna wydała z siebie cichy jęk, który miał być niby to jękiem rozkoszy. Mark poszedł do kuchni, zaparzył sobie kawę i usiadł w ciemnej bawialni. Popijając z wolna, przesiedział tam do świtu, aż drzewa parku, oświetlone promieniami wschodzącego hen, nad wrzosowiskami Wansteadu słońca, zarysowały się przed jego oczami jasno i wyraźnie.

* * *

Tydzień to za krótki czas na rozwinięcie się romansu, ale wystarczająco długi na to, żeby całkowicie zmienić życie nie jednej, ale dwóch, a nawet trzech osób. Gdy następnego wieczora Mark przyjechał po Angelę Summers, zeszła i usiadła obok niego w samochodzie. Włosy miała wysoko upięte. Ubrana była w białą bluzkę z bufiastymi rękawami zakończonymi koronką, długą czarną spódnicę, mocno ściągniętą w talii szerokim paskiem. Strój ten przydawał jej sylwetce staroświeckiej, findesiéclowej elegancji, co Sandersona podnieciło, gdyż tak bardzo odbiegało od jej wczorajszego wyglądu i od obrazu, jaki miał w pamięci.

Angela odzywała się rzadko, ale to, co mówiła, było proste i inteligentne, a kiedy zaczął jej opowiadać o swoich transakcjach handlowych, co rzadko robił wobec kobiet, słuchała go uważnie. Pod koniec wieczoru zrozumiał, że to, co zaczyna w stosunku do niej odczuwać, nie jest przelotnym uczuciem, a już z pewnością nie zwykłym pożądaniem. Angela budziła w nim ogromny podziw. Był w niej wewnętrzny spokój, wielkie opanowanie, które uspokajały i koiły.

Coraz łatwiej i swobodniej mówiło mu się z nią o sprawach, które na ogół zachowywał dla siebie, a więc o operacjach finansowych, o pogardzie, jaką żywił dla nader

swobodnych obyczajów ludzi swojej sfery, co zresztą bez skrupułów wykorzystywał do własnych celów. Wprawdzie nie znała się na tym, ale wszystko rozumiała, co u kobiet jest znacznie ważniejsze niż znajomość rzeczy. Kiedy wybiła północ i zaczęto zamykać restaurację, wciąż siedzieli, pogrążeni w ożywionej rozmowie.

Uprzejmie, ale stanowczo odmówiła, gdy zaproponował, żeby pojechali do jego mieszkania na strzemiennego. Z taką reakcją nie spotkał się od lat.

Po kilku dniach musiał się przed sobą przyznać, że jest zakochany po uszy, niczym sztubak. Zapytał Angelę o ulubione perfumy, dowiedział się, że nazywają się Miss Dior i że od czasu do czasu kupuje je sobie w samolocie, gdzie są sprzedawane bez cła. Posłał więc kogoś na Bond Street po największy, jaki był w sprzedaży, flakon tych perfum. Przyjęła prezent bez minoderii, ale zaprotestowała przeciw jego rozmiarom.

– To ogromna przesada – zauważyła.

Poczuł się zakłopotany.

– Chciałem ci ofiarować coś bardzo specjalnego.

– Ależ to musiało kosztować fortunę – zauważyła ze zgorszeniem.

– Zapewniam cię, że stać mnie na to.

– Wierzę i jestem ci wdzięczna, ale proszę nigdy więcej nie kupować mi takich rzeczy. Nie lubię ekstrawagancji.

Zatelefonował do swej posiadłości w Worcestershire, kazał puścić wodę do basenu i podgrzać ją. Gdy w sobotę pojechali tam na weekend, wiał chłodny majowy wiatr, Mark polecił więc, by otoczono basen z trzech stron ruchomymi szklanymi parawanami. Kiedy Angela wyszła z kabiny w jednoczęściowym białym kostiumie kąpielowym frotté, była tak piękna, że aż mu dech zaparło. Cóż to za wspaniała kobieta, i to pod każdym względem, pomyślał.

Ostatni wieczór przed jej powrotem do Hiszpanii spędzili oczywiście razem. Przez długi czas całowali się w ciemnym rolls royce'ie, zaparkowanym w małej, poprzecznej uliczce niedaleko domu Angeli, kiedy jednak Mark spróbował wsunąć rękę za jej dekolt, odsunęła go łagodnie, lecz stanowczo.

Zaproponował, żeby rozeszła się z mężem i wyszła za niego. Ponieważ powiedział to bardzo serio, odniosła się do propozycji z całą powagą i potrząsnęła głową.

– Nie potrafiłabym tego zrobić – powiedziała.

– Kocham cię. I nie jest to uczucie przemijające. Kocham cię bezgranicznie i na zawsze. Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Wbiła wzrok w zalegającą za szybą samochodu ciemność.

– Wierzę ci, Mark. Nie powinniśmy byli posunąć się tak daleko. To moja wina, że nie zorientowałm się wcześniej i nie przestałam się z tobą widywać.

– Ale czy ty mnie też kochasz? Chociażby odrobinę?

– Jeszcze nie wiem. Nie jestem taka szybka.

– Może będziesz mogła mnie pokochać? W przyszłości.

I znowu wykazała kobiecą intuicję, i odniosła się z powagą do tego pytania.

– Sądzę, że tak. Na pewno tak. Jesteś zupełnie inny, niż o tobie mówią. Pod grubą warstwą cynizmu tkwi ciepły i wrażliwy człowiek, a to mi się podoba.

– Więc rzuć męża i wyjdź za mnie.

– To niemożliwe. Nie mogę porzucić Archiego.

– Czy ma on coś, czego ja nie potrafiłbym ci ofiarować?

– Nie, skądże – uśmiechnęła się. – W gruncie rzeczy jest szalenie słabym człowiekiem i raczej kiepsko sobie radzi...

– Czemu więc nie chcesz się z nim rozejść?

– Ponieważ on mnie potrzebuje – odparła z prostotą.

– Ja też cię potrzebuję.

– Nie, chyba nie – potrząsnęła głową. – Pragniesz mnie, to pewne, ale doskonale potrafisz sobie radzić beze mnie. A on nie. Nie ma na to siły.

– Angelo, nie tylko cię pragnę, ale i kocham, i to bardziej niż wszystko i wszystkich dotąd. Uwielbiam cię i pożądam.

– Nic nie rozumiesz – powiedziała po chwili. – Kobiety kochają być kochane, uwielbiają być uwielbiane, pożądane, ale przede wszystkim pragną, żeby ktoś ich potrzebował. A ja jestem Archiemu potrzebna, i to bardziej niż powietrze, którym oddycha.

Sanderson gwałtownym ruchem zgasił cygaro w popielniczce.

– Więc pozostaniesz z nim, dopóki śmierć was nie rozdzieli?...

Nie zareagowała na jego ironiczny ton, spojrzała tylko mu prosto w oczy i skinęła głową.

– Tak, chyba właśnie tak. Dopóki śmierć nas nie rozdzieli. Przykro mi, Mark, ale taka już jestem. W innym miejscu, w innym czasie, no i gdybym nie była żoną Archiego, prawdopodobnie zareagowałabym odmiennie na twoją propozycję, nawet na pewno. Ale jestem mężatką i nie ma na to żadnej rady.

Nazajutrz wyjechała. Mark kazał szoferowi zawieźć ją na lotnisko, skąd odleciała do Walencji.

* * *

Miłość i potrzeba czyjejś obecności, tęsknota i pożądanie to różne uczucia, ale każde z nich potrafi stać się obsesją. W wypadku Marka Sandersona wszystkie one uległy takiemu przekształceniu równocześnie. Maj ustąpił przed czerwcem, a on coraz bardziej i bardziej pragnął Angeli. Ponieważ życie nie odmówiło mu dotąd niczego, o czym tylko zamarzył, w ciągu dziesięciu lat stał się, tak jak wszyscy ludzie mający władzę, moralnym kaleką. Logicznym następstwem pożądania była determinacja, pomysł, plan i jego wykonanie. A wszystko to kończyło się zdobyciem. W pierwszych dniach czerwca Sanderson postanowił zdobyć Angelę Summers, a kiedy zastanawiał się nad sposobem realizacji tego celu, nieustannie kołatało mu się w głowie zdanie wyjęte prosto ze ślubnej przysięgi „... dopóki śmierć nas nie rozdzieli". Gdyby Angela była inna, gdyby była kobietą pragnącą pieniędzy, luksusu, władzy, pozycji towarzyskiej, w ogóle nie byłoby problemu. Mógłby ją wtedy olśnić bogactwem, tyle że wówczas byłaby kimś innym, kogo by nie pragnął z taką namiętnością.

Znalazł się więc w błędnym kole. Krążenie po nim doprowadziłoby go z pewnością w koncu do obłędu, postanowił zatem znaleźć jakieś wyjście, a było tylko jedno. Wynajął sobie, na nazwisko Michaela Johnsona, niewielkie mieszkanko w Londynie. Zrobił to za pośrednictwem agenta i przez telefon. Zapłacił komorne za miesiąc i złożył odpowiedni depozyt – wszystko czekiem i przez pocztę. Poprosił, żeby pozostawiono klucz od mieszkania pod słomianką, gdyż planuje przyjazd późnym wieczorem.

Następnie zadzwonił do jednej z owych agencji, które nie stawiają zbyt wielu pytań i nie interesują się bez potrzeby legalną stroną przeprowadzanych transakcji, podał nowy londyński adres i zreferował dokładnie, o jaką usługę chodzi. Ponieważ pragnął zachować anonimowość, zażądano od niego pieniędzy z góry. Wysłał przesyłką poleconą zaliczkę w wysokości pięciuset funtów szterlingów.

W tydzień później pan Johnson otrzymał list, w którym donoszono mu, że jego zlecenie wykonano i że pozostało do zapłacenia jeszcze dwieście pięćdziesiąt funtów. Sumę

tę wysłał pocztą i w trzy dni później otrzymał odpowiedni materiał. Była tam krótka biografia, którą szybko przekartkował, fotografia wycięta z okładki książki na temat ptactwa rejonu Morza Śródziemnego, której od dawna nie było w sprzedaży i która rozeszła się w znikomej liczbie egzemplarzy, oraz kilka kiepskich zdjęć wykonanych za pomocą teleobiektywu. Fotografie przedstawiały drobnego, raczej cherlawego mężczyznę o cofniętym podbródku i z małym, przypominającym szczoteczkę do zębów wąsikiem na górnej wardze. Major Archibald Clarence Summers (musi oczywiście nadal używać stopnia majora, zdenerwował się Sanderson), brytyjski eks-oficer, mieszkający obecnie w niewielkiej willi stojącej kilkaset metrów od wybrzeża, na przedmieściu małego hiszpańskiego miasteczka w prowincji Alicante, w połowie drogi pomiędzy Alicante a Walencją. Sanderson obejrzał również zdjęcia willi. Wreszcie przeczytał raport na temat trybu życia jej mieszkańców. Śniadanie państwo S. spożywali w niewielkim patio, przed południem pani S. udawała się do pałacu, by uczyć angielskiego trójkę dzieci *contessy*, a każdego popołudnia opalała się na plaży i pływała w morzu, dokładnie pomiędzy trzecią a czwartą, a więc wówczas, gdy jej małżonek pracował nad notatkami do dzieła o ptactwie Costa Blanca.

Nazajutrz Sanderson zawiadomił personel biura, że zamierza na pewien czas pozostać w domu, ale że będzie z nimi w stałym kontakcie telefonicznym. Potem zajął się zmianą swojej powierzchowności.

Poszedł do małego zakładu fryzjerskiego, który ogłaszał się w jednym z tygodników przeznaczonych dla pederastów. Właściciel zakładu okazał się nadzwyczaj pomocny. Obciął na jeża dość długie włosy Sandersona i ufarbował je na jasnoblond. Zabieg ten trwał nieco ponad godzinę. Fryzjer był zachwycony osiągniętym rezultatem, który jak twierdził, powinien wystarczyć na jakieś dwa tygodnie.

Od tej chwili Sanderson, aby uniknąć spotkania z portierem, wjeżdżał samochodem wprost do podziemnego garażu i tam wsiadał do windy. Ze swego mieszkania zatelefonował do jednego z przyjaciół, dziennikarza, i poprosił go o podanie mu adresu najlepszego londyńskiego archiwum specjalizującego się w najnowszej historii. Zarekomendowane mu zbiory składały się z milionów wycinków prasowych, setek tysięcy słowników oraz innych dzieł informacyjnych. W trzy dni później Sanderson otrzymał na nazwisko Michaela Johnsona kartę wstępu do archiwum.

Zaczął od słowa „najemnik". W teczce opatrzonej tym hasłem znalazł takie nazwiska, jak Mike Hoare, Robert Renard, John Peters i Jaques Schramme, oraz odsyłacze do innych haseł, na przykład Kenia, Rodezja, Kongo, Katanga, Jemen, Nigeria, Biafra i Angola. Przejrzał wszystko. Przeczytał ogromną liczbę informacji, artykułów z prasy codziennej i periodyków a także recenzji książek i wywiadów. Wynotował nazwiska autorów książek, a następnie zdjął z półek ich książki. Przeczytał „Historię najemnictwa" Anthony'ego Mocklera, „Najemnika w Kenii" Mike'a Hoare'a i tom pod tytułem „Siła ognia", w całości poświęcony Angoli.

Z plejady nazwisk strzelców wyborowych, którzy przewinęli się przez jego lektury, wyłoniło się w końcu jedno, które go zainteresowało. Należało do człowieka, który walczył w trzech wojnach i o którym nawet autorzy pisujący bez owijania rzeczy w bawełnę wyrażali się w sposób oględny.

Człowiek ten nigdy nie udzielił nikomu wywiadu, nigdy nie pozwalał się fotografować. Był Anglikiem. Sanderson postanowił działać tak, jakby ten człowiek przebywał właśnie w Londynie.

Kilka lat wcześniej, gdy Sanderson przejmował przedsiębiorstwo, którego akcje stały bardzo wysoko na giełdzie, został przy tej okazji właścicielem kilku innych firm, wśród których znajdował się sklep z cygarami, laboratorium filmowe i agencja literacka. Nigdy jakoś nie starał się tych przedsiębiorstw rozwinąć. Teraz agencja literacka znalazła mu prywatny adres autora tomu wspomnień, który go szczególnie zainteresował. Wydawca książki nie miał powodu do jakichkolwiek podejrzeń, toteż podał adres autora, któremu od czasu do czasu wysyłał niewielkie honoraria.

Kiedy wielki finansista, udając urzędnika wydawnictwa, odwiedził najemnika-autora, znalazł człowieka całkowicie wykończonego, rozpitego, żyjącego wyłącznie wspomnieniami. Były najemnik myślał z początku, że wizyta ma jakiś związek z dalszymi nakładami i honorariami, kiedy się jednak okazało, że tak nie jest, nie ukrywał rozczarowania. Gdy jednak gość zaproponował mu zaliczkę, oczy mu zabłysły.

Sanderson przedstawił się jako Johnson i powiedział, że jego firma otrzymała wiadomość, iż były kolega najemnika nosi się z zamiarem napisania pamiętników. Firma jest nimi zainteresowana i nie chciałaby, żeby ubiegła ją konkurencja. Problem polega na tym, że nikt nie zna adresu owego człowieka.

Kiedy były najemnik usłyszał nazwisko eks-kolegi, skrzywił się.

– Zdecydował się wywalić całą prawdę na wierzch – mruknął. – Wierzyć mi się nie chce.

Był obojętny, ale tylko do chwili, gdy wypił szóstą whisky i poczuł pomiędzy palcami szeleszczące banknoty. Wtedy nagryzmolił coś na kartce i podał ją Sandersonowi.

– Zawsze tam się ten skurwysyn uchlewa, gdy przyjeżdża do miasta – powiedział.

Sanderson jeszcze tego wieczora odnalazł ów lokal. Był to przytulny klub w pobliżu Earl's Court. Drugiego wieczora zjawił się w nim ten, którego oczekiwał. Sanderson nigdy nie widział jego fotografii, ale w jednym z pamiętników był jego rysopis. Rozpoznał go po bliźnie na policzku oraz imieniu, które zwracając się do niego, wymienił barman. Był to barczysty, długonogi, wysportowany mężczyzna.

Sanderson przyjrzał się jego twarzy odbijającej się w lustrze umieszczonym za kontuarem – głęboko osadzone oczy i skrzywione gorzkim uśmiechem usta. Mężczyzna powoli popijał piwo z kufla. Kiedy opuścił klub, Sanderson poszedł za nim i zobaczył, że wchodzi do czynszowej kamienicy, stojącej jakieś czterysta metrów od klubu.

W dziesięć minut później spostrzegł, że w jednym z okien zapłonęło światło. Zapukał do drzwi mieszkania. Otworzył mu człowiek w ciemnych spodniach i kamizelce. Sanderson zauważył, że zanim otworzono drzwi, zgasło w przedpokoju światło, tak że mężczyzna stał w cieniu. Oświetlała go tylko lampa z hallu.

– Mister Hughes? – zapytał Sanderson.

Mężczyzna uniósł brew.

– Z kim mam przyjemność? – warknął.

– Nazywam się Johnson. Michael Johnson.

– Nakaz rewizji – zażądał Hughes stanowczym tonem.

– Nie jestem gliną, ale zwykłym obywatelem – odparł Sanderson. – Czy mogę wejść?

– Kto panu dał mój adres? – spytał Hughes, pomijając milczeniem pytanie gościa.

Sanderson podał mu nazwisko informatora.

– Za dwadzieścia cztery godziny zapomni, że ze mną rozmawiał – dodał. – Jest tak napompowany, że nie pamięta nawet własnego imienia.

W kącikach ust Hughesa ukazał się cień uśmiechu, ale oczy pozostały groźne.

– To by się zagadzało – mruknął i skinąwszy głową zaprosił Sandersona do środka.

Weszli do dużego pokoju. Stało w nim kilka odrapanych gratów, jak to bywa w tak zwanych umeblowanych mieszkaniach, których w Londynie są tysiące. Hughes wskazał jedno ze stojących przy stole krzeseł. Sanderson usiadł, Hughes ulokował się naprzeciwko niego.

– No więc?

– Chciałbym zamówić pewną robotę. Zdaje się, że nazywa się to skok. Ale skok na człowieka.

Hughes patrzył na niego twardo.

– Lubi pan muzykę? – zapytał nagle.

Sanderson był zaskoczony, ale skinął głową.

– No to sobie coś zagramy.

Hughes wstał i podszedł do przenośnego radia, które stało przy łóżku. Jedną ręką przekręcił gałkę, a drugą sięgnął pod poduszkę. Obrócił się i skierował na Sandersona kolta 0,45. Oddychał ciężko i co chwila przełykał ślinę. Zgłośnił muzykę tak, że była wprost ogłuszająca. Sięgnął do szuflady nocnego stolika, wyciągnął notes i pióro i nie spuszczając swojego gościa z oka, powrócił do stołu. Jedną ręką napisał na karteczce dwa słowa i podsunął ją Sandersonowi.

„Rozbierać się", przeczytał Sanderson.

Zakręciło mu się w głowie. Wiedział, że ludzie tego pokroju potrafią być bezwzględni. Koltem Hughes dał Sandersonowi do zrozumienia, żeby się odsunął. Mark posłuchał. Zdjął marynarkę, krawat, koszulę i rzucił je na podłogę. Nie miał na sobie podkoszulka. Lufa kolta powędrowała w dół. Sanderson zrzucił spodnie. Hughes przyglądał mu się z kamienną twarzą. Powiedział:

– W porządku. Ubieraj się pan.

Z rewolwerem, skierowanym teraz w podłogę, podszedł do radia, ściszył je i powrócił do stołu.

– Rzuć mi pan marynarkę – zażądał.

Sanderson, który zdążył już nałożyć spodnie i koszulę, położył marynarkę na stole. Hughes obmacał ją.

– Nałóż ją pan – odezwał się.

Sanderson zrobił, co mu kazano, i usiadł. Ulżyło mu trochę. Hughes siedział teraz po przeciwnej stronie stołu. Kolta położył tak, żeby był w zasięgu prawej ręki, i zapalił francuskiego papierosa.

– O co chodzi? – zapytał go Sanderson. – Chciał się pan upewnić, czy mam broń?

Hughes powoli potrząsnął głową.

– Wiedziałem, że nie – powiedział. – Ale mógł pan mieć przy sobie mikrofon. Gdybym go odkrył, tobym okręcił panu jaja przewodem i posłał do pańskiego szefa.

– Rozumiem. Ale widzi pan, że nie mam ani szefa, ani broni, ani mikrofonów. Jestem swoim własnym bossem i od czasu do czasu wynajmuję sobie kogoś do pomocy. Mówię serio. Potrzebny mi jest człowiek do pewnej roboty. Gotów jestem dobrze zapłacić. Jestem człowiekiem bardzo dyskretnym. Z konieczności.

– Mnie to nie wystarcza – warknął Hughes. – Więzienie Parkhurst jest pełne pierwszorzędnych facetów, którzy dali się nabrać na piękne słówka.

– Ja nie pana potrzebuję – powiedział Sanderson twardo.

Hughes znowu uniósł brew.

– Nie, nie pana. Nie chcę do tej roboty człowieka, który mieszka w Wielkiej Brytanii albo stąd pochodzi. Wystarczy, że ja tu mieszkam. Potrzebny mi jest cudzoziemiec, robota też jest zagranicą. Od pana chcę tylko nazwiska. Nazwiska takiego człowieka. Zapłacę panu dobrze.

Z zewnętrznej kieszeni marynarki Sanderson wyjął plik nowiusieńkich dwudziestofuntowych banknotów i położył go na stole. Hughes przyglądał mu się obojętnie. Sanderson podzielił banknoty na dwie części, jedną podsunął pod nos Hughesa, a drugą starannie przedarł na pół. Połowę przedartych banknotów włożył z powrotem do kieszeni.

– Pierwsze pięćset jest za wyrażenie zgody – powiedział. Drugie za nazwisko, i to nazwisko faceta, który zgodzi się ze mną zobaczyć i wykonać zleconą robotę. Niech się pan nie martwi, to nic skomplikowanego. Nie chodzi o żadną sławę, ale o zwykłego, nikomu nieznanego człowieka.

Hughes nie spuszczał oczu z leżących przed nim pięciuset funtów. Ale nie dotknął ich.

– Może nawet znam takiego faceta – powiedział wreszcie. – Pracował ze mną przed laty. Nie wiem, co teraz robi. Muszę się zorientować.

– Może pan do niego zadzwoni – zaproponował Sanderson.

Hughes potrząsnął głową.

– Nie mam zaufania do międzynarodowych telefonów – powiedział. – Za dużo jest podsłuchów. Szczególnie w Europie. Musiałbym do niego pojechać i pogadać osobiście. To by pana kosztowało jeszcze dwie stówy...

– Zgoda, ale wypłata po dostarczeniu nazwiska.

– Skąd mam wiedzieć, że nie zrobi mnie pan w konia? – zapytał Hughes.

– Znikąd. Tyle że gdybym to uczynił, to pewnie by się pan odegrał. A na to nie mam szczególnej ochoty. Wolę stracić siedemset funtów.

– A skąd pan wie, że pana nie wystrychnę na dudka?

– Tego też nie wiem, ale cokolwiek będzie, prędzej czy później znajdę sobie faceta do mojej roboty. Mam dosyć pieniędzy na zapłacenie dwóch, gdyby jeden się wściekł. Ale nie lubię, jak się ze mnie robi wała. Po prostu z zasady.

Przez dobre dziesięć sekund patrzyli sobie twardo w oczy. Sanderson obawiał się, że posunął się za daleko. Ale nagle Hughes uśmiechnął się. Tym razem szczerze i jakby z szacunkiem. Zgarnął ze stołu pięćset funtów w całych banknotach i stertę połówek.

– Dostarczę panu nazwisko i załatwię spotkanie z tym człowiekiem. Jak się pan z nim umówi na fest, to prześle mi pan resztę należności. Na poste restante – poczta Earl's Court, nazwisko Hargreaves. Zwyką, nie poleconą przesyłką pocztową, w dobrze zaklejonej kopercie. Jeżeli pan tego nie zrobi, to mój człowiek dowie się, że umowa nieważna.

Sanderson skinął głową na znak zgody.

– Kiedy więc będę miał to nazwisko?

– Za tydzień. Jak pana szukać?

– Sam pana znajdę.

Hughes wcale nie był urażony.

– No to niech pan dzwoni do baru, w którym mnie pan dzisiaj spotkał. O dziesiątej wieczorem.

Dokładnie w tydzień później Sanderson o wyznaczonej porze zadzwonił do baru. Barman przekazał słuchawkę Hughesowi, który powiedział:

– Na rue Miollin w Paryżu jest kawiarnia. Niech pan tam będzie w poniedziałek w południe. Mój człowiek rozpozna pana. Będzie pan czytał „Figaro", z tym że ma je pan tak złożyć, żeby pierwsza kolumna była na zewnątrz. Wie, że pan się nazywa Johnson. Musi się pan z nim sam dogadać.

Gdyby nie mógł pan być tam w poniedziałek, będzie na pana czekał w tym samym miejscu we wtorek i w środę w południe. Potem koniec. I niech pan ma przy sobie gotówkę.

– Ile? – zapytał Sanderson.

– Około pięciu tysięcy funtów. Na wszelki wypadek.

– Skąd mogę mieć pewność, że on mnie nie wystrychnie na dudka?

– Nie wiem. A skąd on może mieć pewność, że gdzieś w tej knajpie nie siedzi któryś z pańskich goryli?

Po drugiej stronie odłożono słuchawkę. Rozległ się sygnał.

* * *

Był poniedziałek, pięć minut po dwunastej. Sanderson czekał w kawiarni przy rue Miollin. Czytał „Figaro", złożone tak, żeby pierwsza kolumna była na zewnątrz. Ktoś odsunął stojące naprzeciw niego krzesło i usiadł. Był to mężczyzna, który już od godziny stał przy barze.

– Monsieur Johnson?

Sanderson opuścił gazetę, złożył ją i odsunął na bok. Mężczyzna był wysoki, szczupły, miał ciemne włosy i oczy, kwadratową szczękę. Niewątpliwie Korsykanin. Rozmawiali przez trzydzieści minut. Korsykanin przedstawił się jako Calvi, co w istocie było nazwą miejscowości, w której się urodził. Po dwudziestu minutach Sanderson wręczył mu dwie fotografie. Jedna przedstawiała twarz mężczyzny, na jej odwrocie był napis: „Major Archie Summers, Villa San Crispin, Playa Caldera, Ondara, Alicante". Na drugim zdjęciu widać było małą białą willę, ozdobioną jaskrawożółtymi okiennicami. Korsykanin kiwnął głową z namysłem.

– To musi być zrobione pomiędzy trzecią a czwartą po południu – zaznaczył Sanderson.

Korsykanin znowu skinął głową.

– Nie ma problemu – powiedział.

Jeszcze przez jakieś dziesięć minut omawiali sprawy finansowe, następnie Sanderson wręczył Korsykaninowi pięć paczek banknotów, po pięćset funtów każda. Robota połączona z wyjazdem jest zawsze droższa, tłumaczył Korsykanin, poza tym policja hiszpańska potrafi być szczególnie niemiła dla pewnego gatunku turystów. Wreszcie Sanderson wstał.

– Kiedy? – zapytał.

– Za tydzień, dwa, najwyżej trzy – odparł tamten.

– Proszę mi natychmiast dać znać.

– W takim razie muszę wiedzieć, jak się z panem skontaktować.

W odpowiedzi Sanderson napisał kilka cyfr na kawałku papieru i wręczył kartkę Calviemu.

– Od dziś za tydzień, a następnie w trzy kolejne poniedziałki pomiędzy godziną siódmą trzydzieści a ósmą rano może mnie pan zastać pod tym numerem telefonu w Londynie. Proszę nie szukać adresu tego mieszkania, no i żeby się panu poszczęściło!

Calvi skrzywił się w uśmiechu.

– Zrobi się – powiedział. – Potrzebna mi jest druga część tej forsy.

– I jeszcze jedno. Żeby nie było żadnej fuszerki, żadnych śladów.

Korsykanin wciąż się uśmiechał.

– Panu, panie Johnson, chodzi o reputację, a mnie o życie. Gdybym wpadł, czeka mnie w najlepszym razie trzydzieści lat więzienia, i to hiszpańskiego. Może pan być spokojny. Nie będzie żadnych śladów, żadnej fuszerki. Czysta robota.

* * *

Kiedy Anglik odszedł, Calvi popatrzył za nim uważnie, żeby się zorientować, czy nikt go nie śledzi, następnie udał się do innej kawiarni w centrum miasta, gdzie mimo ostro przygrzewającego czerwcowego słońca spędził dwie najbliższe godziny na intensywnym rozmyślaniu. Zamówienie było proste, chodziło o sprzątnięcie jakiejś nic nie podejrzewającej osoby. Problem polegał na tym, jak przemycić do Hiszpanii pistolet. Calvi mógłby pojechać pociągiem Paryż-Barcelona i zaryzykować graniczną kontrolę celną, jednakże nietrudno przewidzieć finał, gdyby go przyłapano na przewożeniu broni, szczególnie jeżeli by to uczyniła nie francuska, lecz hiszpańska policja, która ma bardzo staroświeckie podejście do zawodowych rewolwerowców. O samolocie nawet mowy nie było. Z powodu palestyńskich porywaczy wszyscy pasażerowie są gruntownie rewidowani na lotnisku Orly. Calvi przypomniał sobie jednak, że jeszcze z czasów działalności w OAS ma w Hiszpanii całkiem dobre kontakty. Byli to ludzie, którzy wolą żyć na wybrzeżu pomiędzy Alicante a Walencją, niż podejmować ryzyko powrotu do Francji. Z pewnością któryś, gdy go poprosi, pożyczy mu swej spluwy. Po chwili porzucił jednakże tę wersję planu, pomyślał bowiem, że ci ludzie, nie mając zapewne nic do roboty, od rana do wieczora plotkują. Wreszcie wstał, zapłacił rachunek i wyszedł do miasta. Spędził dobre pół godziny w hiszpańskim biurze turystycznym, a następnie dziesięć minut w lokalu linii lotniczej „Iberia". Wszedł jeszcze do księgarni przy rue de Rivoli, po czym pojechał do swego mieszkania znajdującego się na jednym z przedmieść.

Tegoż dnia zatelefonował wieczorem do hotelu „Metropol" w Walencji – najlepszego w całym mieście – i z dwutygodniowym wyprzedzeniem zamówił dwa pojedyncze pokoje, jeden na nazwisko Calviego, a drugi na figurujące w jego paszporcie. Urzędniczce, z którą rozmawiał przez telefon, przedstawił się jako Calvi i przyrzekł potwierdzić rezerwację listownie. Zamówił również bilet z Paryża do Walencji na samolot przybywający do Walencji wieczorem w dniu rezerwacji hotelowej. Powrót do Paryża miał nastąpić wieczorem nazajutrz.

Czekając na połączenie z Walencją, zdążył napisać list do hotelu. List był krótki i rzeczowy. Potwierdzał rezerwację dwóch pojedynczych pokojów i zawierał prośbę, żeby do przyjazdu pana Calviego, który przed przybyciem do Walencji będzie się znajdował w długiej podróży, przechowano jego książkę na temat historii Hiszpanii, którą kazał sobie przesłać do hotelu „Metropol".

Calvi wykombinował sobie – i słusznie – że gdyby książka została przechwycona, to w chwili, kiedy poda swoje prawdziwe nazwisko i poprosi o przesyłkę, zachowanie recepcjonisty z pewnością mu zdradzi, że wszystko się wydało, a wówczas niewątpliwie zdąży obrócić się na pięcie i zbiec. A jeżeli nawet go złapią, będzie mógł twierdzić, że jest niewinny i że po prostu oddał przysługę przyjacielowi, niejakiemu panu Calviemu, którego zawsze uważał za człowieka nieskazitelnie uczciwego.

List podpisał lewą dłonią, nazwiskiem Calviego, zakleił go, opatrzył znaczkiem i zabrał się do książki, którą zakupił po południu. Była to rzeczywiście historia Hiszpanii, kosztowne, opasłe tomisko, z mnóstwem fotografii, wydrukowane na doskonałym papierze, a więc dosyć ciężkie.

Odgiął okładki i złączył je solidną gumową opaską. Znajdujące się pomiędzy nimi czterysta stron mocno ścisnął i dwiema stolarskimi klamrami przytwierdził do kuchennego stołu.

Zakupionym przed kilkoma godzinami cienkim skalpelem wyciął w bloku książki prostokątne wgłębienie, pozostawiając dookoła margines szerokości około czterech centymetrów. W ten sposób powstała głęboka na siedem i pół centymetra skrytka, której jeden bok miał piętnaście a drugi siedemnaście centymetrów. Jej wnętrze posmarował gęstym klejem i czekając, aż zaschnie, wypalił dwa papierosy. Wiedział, że kiedy klej stwardnieje, nigdy już nie da się przekartkować czterystu stronic książki. Żeby wypełnić

powstałe po wycięciu papieru wgłębienie, Calvi wyłożył je sztuczną gąbką, którą poprzednio starannie zważył na kuchennej wadze. Rozłożył na części mały brauning kalibru dziewięć milimetrów, który zakupił w Belgii przed dwoma miesiącami, natychmiast po wrzuceniu do kanału Alberta kolta 0,38, którym posłużył się podczas wykonywania innej roboty. Był ostrożny i nigdy dwa razy nie używał tej samej broni. Półtoracentymetrowy koniec lufy brauninga został nagwintowany, żeby można było umocować na nim tłumik.

Pistolet automatyczny w odróżnieniu od rewolweru ma ruchomy zamek i dlatego jego tłumik nigdy nie spełnia tej roli, jaką zwykli mu przypisywać autorzy scenariuszy filmowych i operatorzy dźwięku. Gdy pocisk opuszcza lufę, broń automatycznie repetuje, aby wyrzucić łuskę i wprowadzić do komory nowy nabój. Właśnie dlatego nazywa się bronią automatyczną. Ale w ułamku sekundy, kiedy zamek się otwiera, połowa hałasu wydobywa się przez otwarty zamek i w ten sposób umieszczony na końcu lufy tłumik wygłusza dźwięk jedynie w pięćdziesięciu procentach. Calvi wolałby posłużyć się rewolwerem z nieruchomym zamkiem, ale potrzebna mu była broń płaska, żeby mógł ją zmieścić w książce.

Tłumik, który leżał pośród części składowych brauninga, był największym przedmiotem do schowania, miał bowiem około trzynastu centymetrów długości. Calvi, który był fachowcem, wiedział, że tłumiki, jakie zazwyczaj oglądamy na ekranach telewizorów, a więc wielkości korka od szampana, są tak samo mało skuteczne jak domowa gaśnica, którą ktoś chciałby stłumić wybuch Wezuwiusza. Ułożone obok siebie pięć części pistoletu, łącznie z tłumikiem i magazynkiem, nie zmieściłyby się w skrytce, wobec czego Calvi, aby zaoszczędzić miejsca, wsunął magazynek w rękojeść. Na kawałkach sztucznej gąbki nakreślił flamastrem zarysy poszczególnych części pistoletu i nowym skalpelem powycinał w nich odpowiednie wgłębienia. Kiedy wybiła północ, leżały już spokojnie, każda w swoim łóżeczku: lufa, rękojeść i zamek równolegle w trzech poziomych rzędach, tłumik natomiast wzdłuż grzbietu książki. Teraz Calvi nakrył wszystko cienką warstwą gąbki, którą przesycił świeżą warstwą kleju, i zamknął okładki. Położył książkę na podłodze i przycisnął blatem odwróconego do góry nogami stołu. Po godzinie stwardniała na kamień. Teraz można by ją było tylko rozciąć nożem. Ponownie ją zważył. W porównaniu z poprzednią wagą była zaledwie o kilka gramów cięższa.

Calvi wsunął tę dziwną historię Hiszpanii do grubej koperty, takiej jakich używają wydawcy wysyłając wartościowe książki. Koperta była z polietylenu, toteż Calvi zamknął ją rozgrzanym na gazowej kuchence ostrzem swojego scyzoryka. Jeżeli celnik otworzy przesyłkę i przez przezroczysty polietylen zobaczy, że w środku znajduje się książka, prawdopodobnie ją ponownie zapakuje.

Na koniec Korsykanin wsunął swój skarb do jeszcze jednej, już zwykłej koperty, jednej z tych, które zamyka się na dwa metalowe klipsy. Wydrukował za pomocą dziecinnej drukarki naklejkę z adresem znanej księgarni, a adres nadawcy napisał na maszynie. Brzmiał on:

Monsieur Alfred Calvi
Hotel „Metropol"
Calle de Jativa
Valencia
Espagne.

Potem wydrukował jeszcze naklejkę z napisem:
„Libros – Impresos – Livres".

I wszystko było gotowe.

Nazajutrz rano wysłał list pocztą lotniczą, a książkę jako zwykłą, niepoleconą przesyłkę, co oznaczało, że zostanie nadana na pociąg i dotrze na miejsce przeznaczenia dopiero po dziesięciu dniach.

* * *

Właśnie zachodziło słońce, kiedy samolot linii „Iberia" wylądował na Campo de Manises. Było wściekle gorąco i trzydziestka pasażerów denerwowała się z powodu długiego oczekiwania na bagaż. Byli to przeważnie właściciele nadbrzeżnych willi, którzy przybyli z Paryża na sześciotygodniowy urlop.

Calvi miał tylko niewielką walizkę. Celnik otworzył ją i przejrzał uważnie. Korsykanin wyszedł z budynku pierwszy i udał się na postój taksówek. Po drodze obejrzał pobliski parking i z zadowoleniem stwierdził, że jego znaczna część jest odgrodzona od gmachu szpalerem rozłożystych wysokich drzew. Przed wyjściem stały długie rzędy samochodów i cierpliwie czekały na właścicieli. Calvi postanowił powrócić tu następnego dnia i wybrać odpowiedni wehikuł. Potem pojechał taksówką do miasta.

Recepcjonista hotelowy był niezwykle uprzejmy. Obejrzawszy wręczony mu paszport, natychmiast przypomniał sobie rezerwację i list z jej potwierdzeniem. Przyniósł z biura paczkę z książką. Korsykanin wyjaśnił mu, że jego przyjaciel, pan Calvi, niestety, nie mógł przyjechać i że wobec tego on nazajutrz, przy wyjeździe, opłaci obydwa rachunki. Następnie pokazał recepcjoniście list Calviego upoważniający go do odbioru paczki.

Recepcjonista przeczytał list, podziękował za zapowiedź uregulowania rachunku Calviego i wydał Korsykaninowi paczkę.

W pokoju Calvi dokładnie obejrzał kopertę. Otwierano ją, metalowe klipsy były odginane, a następnie z powrotem zaciśnięte. Brakowało też kropelki kleju, którą Calvi umieścił na jednym ze spinaczy. Ale w środku, w nienaruszonym opakowaniu, spoczywała nietknięta książka.

Calvi wyciągnął ją, rozciął scyzorykiem i wyjąwszy z niej części pistoletu, złożył je. Nakręciwszy tłumik na lufę, sprawdził zawartość magazynka – znajdujące się w nim pociski, aby odgłos strzału był słabszy, miały usuniętą połowę ładunku prochu. Nawet przy zmniejszonym ładunku dziewięciomilimetrowy pocisk przebija bez trudu ludzką czaszkę z odległości trzech metrów, a Calvi z zasady nie strzelał z większego dystansu.

Położywszy pistolet na dnie szafy, zamknął ją na klucz, który wsunął do kieszeni, i wyszedł na balkon. Paląc papierosa i przyglądając się arenie do walki byków, rozmyślał o jutrzejszym dniu. O dziewiątej, ubrany w zakupiony u jednego z najbardziej ekskluzywnych krawców Paryża szary garnitur, który idealnie pasował do atmosfery eleganckiego, starego hotelu, zszedł na dół. Zjadł doskonałą kolację, o północy położył się do łóżka. Dowiedziawszy się od recepcjonisty, że o ósmej rano odlatuje samolot do Madrytu, kazał się obudzić o szóstej.

Nazajutrz o siódmej wyprowadził się z hotelu i taksówką pojechał na lotnisko. Stanął przy wejściu do budynku i przyglądając się przejeżdżającym samochodom, notował ich marki, numery rejestracyjne i wygląd ich właścicieli. W siedmiu wozach znajdowali się samotni kierowcy w ciemnych garniturach. Calvi wszedł na taras obserwacyjny i zauważył, że czterech z nich wsiadło do madryckiego samolotu. Spojrzał na swoje notatki i stwierdził, że ma do wyboru simkę, mercedesa, jaguara i seata, czyli starego hiszpańskiego fiata 600.

Kiedy samolot wystartował, Calvi poszedł do toalety,

zdjął szare ubranie i nałożył dżinsy, jasnoniebieską sportową koszulę oraz granatową nylonową wiatrówkę zapinaną z przodu na zamek błyskawiczny. Pistolet owinął ręcznikiem i włożył do wydobytej z walizki miękkiej torby lotniczej. Walizkę zdeponował w przechowalni bagażu i potwierdziwszy swoją rezerwację na wieczorny lot do Madrytu, poszedł na parking.

Zdecydował się na seata, ponieważ jest to najpopularniejszy samochód w Hiszpanii i łatwo daje się otworzyć. Odczekawszy, aż dwaj mężczyźni, którzy właśnie przyjechali na parking, oddalą się, podszedł do małego czerwonego samochodu. Z rękawa wyjął kawałek metalowej rury, wsunął ją za klamkę i szarpnął. Zamek puścił. Calvi otworzył maskę i za pomocą dwóch przewodów spiął akumulator i cewkę rozdzielacza. Silnik zapalił natychmiast. Calvi skoczył szybko do wozu i ruszył z parkingu prosto na nową autostradę nadmorską nr 332, prowadzącą na południe, do Alicante.

Odległość pomiędzy Walencją a Ondarą wynosi dziewięćdziesiąt dwa kilometry, czyli pięćdziesiąt pięć mil, i droga prowadzi przez pomarańczowe gaje Gandii i Oliwii. Calvi jechał wolno, toteż podróż trwała aż dwie godziny. Całe wybrzeże skąpane było w porannym słońcu, plaże wzdłuż szosy ciągnęły się niby złota wstęga, upstrzona brązowymi ciałami opalających się na nich ludzi. Upał był straszny, powietrze nieruchome, horyzont ginął w oparach rozedrganej mgiełki.

Calvi wjechał do Ondary i minął hotel „Palmera", gdzie – jak wiedział – mieszkał generał Raoul Salan, były szef OAS. Poinformowano go, że Playa Caldera jest położona półtora kilometra od miasta. Było już południe, gdy znalazł się w dzielnicy malowniczych domków, zamieszkanych głównie przez cudzoziemców. Zaczął się rozglądać za dobrze mu znaną z dawno już zniszczonych przez niego fotografii willą San Crispin. Nie chciał pytać o drogę.

Kiedy wreszcie odszukał domek o białych ścianach i żółtych okiennicach, dochodziła pierwsza. Sprawdził nazwisko właściciela, wymalowane na kafelku wpuszczonym w kolumienkę znajdującą się przy furtce, i zaparkował samochód dwieście metrów od willi. Przerzucił torbę przez ramię i powolnym krokiem ruszył ku plaży. Dyskretnie przyjrzał się bocznej furtce. Stwierdził, że jest otwarta. Poszedł wąską ścieżką biegnącą w górę przez pomarańczowy gaj rosnący za rzędem jednorodzinnych domków. Patrząc spoza zasłony drzew, stwierdził, że tylko niskie ogrodzenie oddziela rudą ziemię pomarańczowego sadu od ogrodu willi z żółtymi okiennicami. Człowiek, o którego mu chodziło, podlewał w ogrodzie kwiaty. Oszklone drzwi prowadzące z salonu willi do ogrodu były otwarte na oścież, żeby wpuścić do wewnątrz powietrze, które było jednak zupełnie nieruchome. Korsykanin spojrzał na zegarek – pora na obiad.

Wrócił do samochodu i pojechał do Ondary.

Do godziny trzeciej siedział w barze „Valencia" przy ulicy Doktora Fleminga. Zjadł duży talerz krewetek i wypił dwie szklanki miejscowego białego wina. Zapłacił i opuścił lokal.

Kiedy znowu znalazł się w drodze na Playa Caldera, zaczęły się zbierać chmury deszczowe i słychać było groźne pomruki odległej jeszcze burzy, dość niezwykłej w połowie lipca w tej części Hiszpanii. Calvi zaparkował samochód w pobliżu ścieżki prowadzącej do pomarańczowego gaju, wsunął brauninga za pasek i zaciągnąwszy pod samą szyję suwak wiatrówki, ruszył pomiędzy drzewa. Przeskoczył niski płot i znalazł się w ogrodzie, w którym panowała całkowita cisza. Wszyscy mieszkańcy willowej dzielnicy oddawali się sjeście. Na liście pomarańczowych drzew spadły pierwsze krople deszczu. Lunęło dokładnie w momencie, gdy Calvi minąwszy kamienne schodki, dotarł do oszklonych drzwi salonu. Calvi ucieszył się. Wiedział, że gwałtowne dudnienie deszczu w czerwone dachówki willi wszystko zagłuszy.

Z lewej strony, z przyległego do salonu pokoju dochodziło stukanie maszyny. Calvi wydobywszy pistolet, chwilę stał nieruchomo pośrodku salonu. Następnie wolno ruszył po plecionej macie przykrywającej podłogę i znalazł się w drzwiach gabinetu pana domu.

Major Summers z pewnością nie zdążył sobie niczego uzmysłowić. Może zobaczył stojącego w drzwiach człowieka i wstał, żeby go zapytać, czego chce. Może nawet zauważył przedmiot, który ten człowiek trzymał w ręku. Rozległy się dwa głuche puknięcia, niewiele głośniejsze niż uderzenia kropel deszczu o dach. Dwie kule przebiły pierś majora. Trzecia, wystrzelona z odległości pół metra, trafiła go w skroń, ale tej już chyba nawet nie poczuł. Korsykanin przykląkł i poszukał pulsu swej ofiary. Potem podniósł głowę, wstał i ruszył do drzwi...

* * *

Następnego wieczora w barze „Miollin" przy rue Miollin spotkali się dwaj mężczyźni: morderca i jego klient. Poprzedniego dnia Calvi jeszcze z Walencji zadzwonił do Sandersona. Sanderson natychmiast poleciał do Paryża i wręczył Korsykaninowi należne mu pięć tysięcy funtów szterlingów. Wydawał się zdenerwowany.

– I co? Nie było kłopotów? – zapytał.

Calvi uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nikt pana nie widział? Nie było świadków?

– Nie. – Korsykanin wstał od stolika i gestem pełnym satysfakcji poklepał się po prawej górnej kieszeni marynarki. – Chociaż, niestety, pod sam koniec, gdy już stałem nad zwłokami, ktoś wszedł do pokoju, pewnie żeby zamknąć okna, bo lało jak z cebra.

Anglik spojrzał na Korsykanina z przerażeniem w oczach.

– Kto to był?

– Jakaś kobieta.

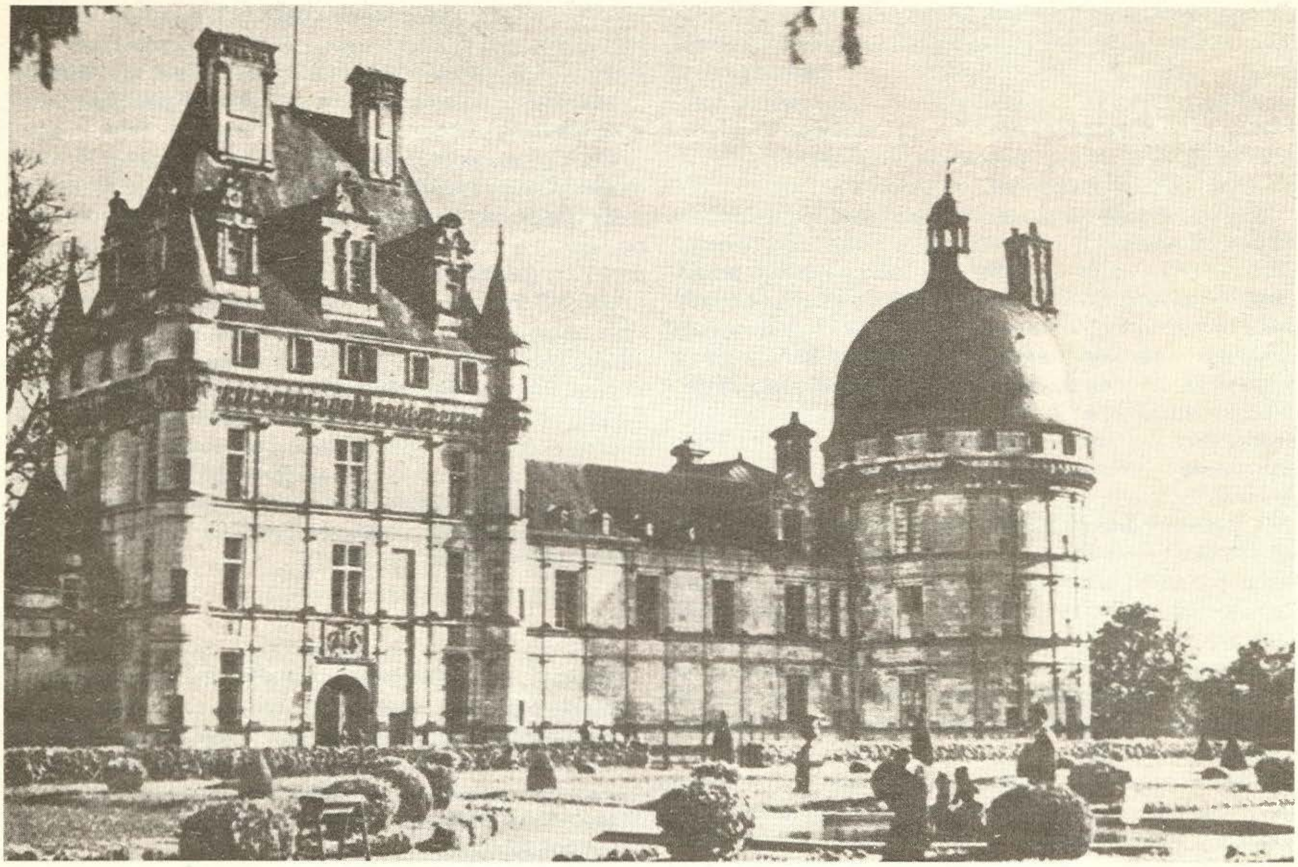
– Wysoka? Brunetka?

– Właśnie. Nawet całkiem niebrzydka.

Zauważywszy odmienioną twarz swego klienta, Korsykanin poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Niech się pan nie martwi, monsieur – powiedział uspokajająco. – To była czysta robota. Zastrzeliłem ją z miejsca.

Przekład: **Stefan Wilkosz**



Waldemar Łysiak

GROBOWIEC NA VALENÇAY, czyli Niewolnica geniusza niemoralności, albo Historya prawdziwa affektu de comtesse Tyszkiewicz do J.Exc. Xięcia-ministra interesów zagranicznych

Talleyrand miał za młodu, jak mówiono, wielkie powodzenie u kobiet, a i ja widziałam go potem otoczonego dawnym swoim haremem (...) do którego należała też biedna moja ciotka, niewolnica Talleyranda od mniej więcej ćwierć wieku.

Anna z Tyszkiewiczów Potocka-Wąsowiczowa
Wspomnienia naocznego świadka.

Zamek Valençay. Gigant. Parametrami, nie sztuką. Obiekt drugiego rzutu w dolinie Loary, pozbawiony oryginalności, banalne popłuczyny po trzech innych zamkach: Veuil, Chambord i Chenenceaux. Dla znawców. Dla turystów „prześliczny": monumentalność stumetrowego frontu z wprawionym weń pełnym cylindrycznych u szczytu wieżyczek, „donjonem" i rezydencjonalnymi basztami na flankach, piękny park za żelazną bramą, z basenem, w którym pluszczą się łabędzie i flamingi, ogród zoologiczny, masa barwnej architektury podświetlonej w sezonowe noce. Ornamentacja i detal bagate, roślinność wypielęgnowana, czyste połacie murów, czegóż więcej trzeba? Wystrojony kolos w urokliwym pejzażu budzi westchnienia gromad pędzonych przez języki-batogi przewodników.

Ojcem Valençay był Jakub d'Etampes, który zaczął wznosić zamek w roku 1540 na planie wyraźnie inspirowanym przez Chambord i będącym wyolbrzymioną kopią pobliskiego Veuil. Wielki projekt został zrealizowany tylko częściowo a i tak realizacja ta trwała trzysta lat. W ciągu tych trzech stuleci wyrosły dwa skrzydła i trzy zwieńczone pękatymi hełmami wieże. Dzieło bardziej ornamentystów niż architektów, w kategoriach bezwzględnych przyjemne dla oka, w porównaniu z fantazją i nowatorstwem dzieł wcześniejszych – mierne.

Ale jest tu krypta grobowa sławnej familii francuskiej. W krypcie tej, obok członków wspomnianej rodziny, spoczywa tylko jedna osoba nie związana z tą rodziną węzłami krwi. Czymś więcej – sercem i duszą, pętami wierności. Po złoże-

niu jej ciała w zamkowej kaplicy Świętego Maurycego wmurowano w posadzkę czarną płytę marmurową z następującą inskrypcją ze złotych liter:

Tu spoczywa J. W. Maria Teresa Józefina Anna księżniczka Poniatowska, wdowa po J. E. hrabim Tyszkiewiczu, wielkim raferendarzu Wielkiego Księstwa Litewskiego, bratanica Stanisława Augusta, ostatniego króla Polski, córka księcia Poniatowskiego i księżniczka Kinsky, siostra księcia Józefa Poniatowskiego, marszałka cesarstwa francuskiego, urodzona 29 września 1760 roku, zmarła w Tours 2 listopada 1934 w wieku 74 lat. Została przewieziona do tej kaplicy przez rodzinę, której wierną i szlachetną przyjaciółką była przez długie lata.

Uściślijmy: wierną i szlachetną przyjaciółką była przez kilkadziesiąt lat ponadczasowemu wirtuozowi dyplomacji, księciu Karolowi Maurycemu Talleyrand-Périgord. I to on, a nie „rodzina", pochował ją w tej kaplicy, obok siebie. Spoczywali odtąd razem, lecz chociaż to była kaplica jego zamku i on był tak wielki, że jego nazwisko stało się symbolem, a ona tak nieistotna dla świata, że świat ten szybko o niej zapomniał – on nie otrzymał tu żadnego epitafium i tylko jej ofiarowane złote litery wspominały ich długą wspólną drogę. Szlak ten, wyzłocony jej miłością do niego i jego przywiązaniem do niej, jest równie godny tragedii jak pamfletu, La Scali i kloaki zarazem, ma za kamienie milowe perły wzniosłości i głazy nikczemne, wart refleksji i jadu. Przeto właśnie taki magnetycznie absorbujący, minąć go nie sposób mej ścieżce.

„Niewolnica Talleyranda" – tak mówiono i pisano o niej. „Gwiazda haremu arcyszubrawca" – tak też mówiono i pisano. Polka. Tedy ja, stojąc przed jej grobem, mam czuć jak wieszcz przy *Mogiłach haremu* i przy *Grobie Potockiej* i szukać w gwiazdach odpowiedzi? Polskę miała za nic, a w charakterze coś z szulera, podobnie jak ten, któremu oddała się w niewolę. A we mnie ten sam co u wieszcza smutek. Gwiazda, ku której patrzę, mruga ku mnie, drwi. Z niej czy ze mnie, że mnie tak melancholia ogarnia? Bezczelny świetliku z kosmicznej studni, czemu drwisz? Nie rozumiesz, że choćby najplugawsza była ta namiętność i dobrowolne trwanie w haremie kanalii, to taka droga przy jednym boku przez lata długie aż po skonanie – śmieszną być nie może? Wierności psa nie sposób wyśmiać, by się samemu śmiesznością nie okryć. Nie żądaj tego, złośliwa. Zapaliłem ci ogarek w tytule i tym się ukontentuj. Nie będę opowiadał chichocząc.

Urodziła się w Wiedniu. Tam i w Warszawie spędziła dużą część swych młodych lat, opiekując się młodszym o trzy lata bratem Józefem i patronując jego „amitié sceandaleuse" z Vaubanką, którą przywiozła nad Wisłę. Bardzo skromną cząstkę tej młodości spędziła u boku męża, referendarza litewskiego, który zasłynął osobistym upodobaniem do damskich łaszków. Opuściła go wkrótce po ślubie, jako że Poniatowscy nie nosili w żyłach ni kropli szkockiej krwi rozsianych po całej Europie (w tym i w Polsce) Stuartów, zaczym damy z jej rodu przekładały panów wdziewających spodnie nie używających spódnic.

W dobie pruskiej hrabina Tyszkiewiczowa była duszą ówczesnego ogniska zepsucia – pałacu Pod Blachą. Organizowała teatry amatorskie, w których sama występowała, wraz z panią de Vauban toczyła wojnę podjazdową z teatrem narodowym, inscenizowała braciszkowi wymyślne orgietki, o kilka długości biła wszystkie konkurentki rozrzutnością, fantazją wybryków i pułapem zadłużenia. Do tego polityka; tatuś walczył przeciw ojczyźnie w austriackim mundurze, ona związała się ze stronnictwem rosyjskim. I jeszcze – jakże by inaczej? – wolnomularstwo; w roku 1783 była nawet mistrzynią żeńskiej loży „Dobroczynność". Cały arsenał epoki, w której z niewoli narodowej uczyniowo „fête galante á la Watteau".

Jej zażyła znajomość z Talleyrandem datuje się... licho wie od kiedy, podobno już z przedrewolucyjnego Paryża, a jeśli nie, to od owej pięknej zimy 1806–1807, kiedy to orły Napoleońskie zawitały do Warszawy. Napoleon pojawił się w stolicy w nocy z 18 na 19 grudnia i zamieszkał w Zamku. Towarzyszący mu „minister interesów zagranicznych", Wielki Szambelan dworu, książę Beneventu Talleyrand wybrał sobie za siedzibę pobliski pałac Teppera (przy ulicy Miodowej) i tu właśnie wydał 17 stycznia 1807 roku słynny bal karnawałowy, na którym rozpoczął się romans między Napoleonem a Walewską. W tym czasie romans księcia Beneventu był już w pełnym toku, wywołując zjadliwe uwagi na temat związku dwóch podstarzałych kalek. On miał wówczas pięćdziesiąt trzy lata i laskę, gdyż utykał, ona czterdzieści siedem i szklane oko.

W Warszawie prawie każdy z przybyłych tu dostojników Cesarstwa znalazł sobie damę serca ze sfer. Jeden z tych związków zakończył się ślubem (gen. Morand i Parysówna). Jeden wspiął się do powieści, encyklopedii, szkół, filmu i telewizji (Napoleon i Walewska). Żaden z nich i wszystkie razem wzięte nie mogą się równać ze związkiem T-T, gdyż w nim nie przytuliły się do siebie szabla i gęś, ale intelekt z intelektem, cynizm z cynizmem, nikczemność z nikczemnością, kalectwo z kalectwem – tworząc rarytas.

Talleyrand nie znosił sypiać z głupotą, gdyż jak Vilde głupotę miał za największy z grzechów – mierziła go, tak jak innych mierzi brud, zapach cebuli albo homoseksualizm. W roku 1798 Talleyrand „został poślubiony" najpiękniejszej idiotce we Francji (zmusił go do tego w przypływie czarnego humoru Napoleon) i od tej pory wystrzegał się ślicznych gęsi. Nie szukał w kobietach olimpijskiego intelektu, gdyż nie wierzył w jego istnienie, lecz swoistego rozumku, w którym tkwią obrotność, spostrzegawczość,



Hrabina Tyszkiewiczowa z Poniatowskich (portret pędzla Kazimierza Wojniakowskiego).

intuicja i zasób inicjatywy. Szukał kobiet zdolnych do kochania i do intrygi, słowem, wszechstronnnie użytecznych. To on ukuł dewizę: „faire marcher les femmes". W Warszawie działała dlań hrabina Tyszkiewiczowa, siostra wschodzącej gwiazdy odradzającej się Polski – dlatego ją wybrał.

Dlaczego ona wybrała jego? Dla tego samego powodu, dla którego wybierały go wszystkie, których zapragnął. Napoleon kilkakrotnie w swym życiu dostał kosza; nieznany jest przypadek, by jakaś kobieta odmówiła Talleyrandowi. Tajemnicą tego powodzenia był specyficzny, o wiele bardziej zniewalający kobiece serca niż doskonałość męskich rysów, rodzaj urody, na którą składało się niezmiernie rzadkie połączenie w jednym osobniku siedmiu fascynujących cech: kalectwa, sławy, wiedzy, bogactwa, cynizmu, drapieżnej ambicji i intelektu tnącego jak brzytwa. Ten demoniczny koktajl był nie do odparcia.

Jako dziecko nie był kochany. Matka, której przeszkadzał w tańczeniu przez życie, oddała go mamce na wychowanie, ta zaś pewnego dnia posadziła go na wysokiej komodzie i zapomniawszy o nim wyszła z domu. Spadł, roztrzaskał sobie prawą nogę i pozostał na zawsze kaleką – każdym krokiem wprawiał tułów w balans. Gdy ukończył piętnaście lat, oddano go, wbrew jego woli, do seminarium duchownego. Samotny, znienawidzony przez rodzinę, nikomu niepotrzebny, narażony na drwiny kolegów, z wiecznym kompleksem kuternogi – pojął, że wszyscy, którzy go otaczają, to konkurenci posiadający fory od przeklętego losu, bezlitosna zgraja wilków, którą pokona tylko wówczas, jeśli zdoła się wspiąć na wyższy od nich stopień rozumu i bezwzględności.

Równie wcześnie zrozumiał, że intelekt i kalectwo wywierają na kobiety duży wpływ – jedno imponuje, drugie wzbudza instynkty opiekuńcze, i postanowił wykorzystać swe kochanki dla przyśpieszenia kariery. Miał niebywałe powodzenie, w następstwie czego już w wieku dwudziestu jeden lat otrzymał godność przeora w Reimes, a mając lat trzydzieści trzy został mianowany przez króla biskupem diecezji Autun. Wszelako nie żadna z tych nominacji, ale rok 1778 był dla Talleyranda przełomowy. Zaszło wówczas coś, co jego biografowie pomijają lub lekceważą, a co w sposób zasadniczy zdeterminowało dalszy szlif jego intelektu. Spotkanie z osiemdziesięcioczteroletnim Voltaire'em, podczas którego oszołomił go ton i styl twórcy *Kandyda*, cudowna łatwość zamykania wielkich mądrości lub interesujących głupstw w niezrównanych „bon-mots", w lapidarnych skrótach, w których złośliwość szła o lepsze z celnością. Pojął, że wobec tego człowieka jest nędzarzem, gdyż mądrość, której nie można sprzedać w efektownym opakowaniu kilku słów, jest towarem gnijącym na składzie i nie zwracającym uwagi. („Jeśli ktoś nie umie się wyrazić lekko, oryginalnie i dowcipnie, jest zgubiony, a wkrótce też i wzgardzony"). Stanął przed ołtarzem, przed którym musi kiedyś stanąć każda pycha intelektualna, tak jak każda siła musi się kiedyś nadziać na siłę większą, zmuszającą do pokory. Znany psychologom fenomen „zderzenia intelektualnego". Talleyrand dawno już wyrzucił skromność na śmietnik, teraz jednak uświadomił sobie, że pycha jest równie bezsensowna – naraża na rozczarowania.

Dokonał trafnego odkrycia. Pycha – tak jak skromność – przeszkadza. Zamiast niej lepiej mieć chłodną świadomość swego poziomu intelektualnego i wiedzy, lecz świadomość taką niezmiernie trudno osiągnąć, zwłaszcza w młodości. Lata całe nadyma cię pewność własnej mądrości, rozkoszujesz się umiejętnością samodzielnego oceniania zjawisk i wyciągania wniosków, wynosisz się ponad ocean plagiatowych intelektów, wielbiąc swą durnną wyspiarskość. Aż przychodzi dzień, jeden, którego daty nie zapamiętasz ni godziny, spotkasz człowieka – może to być poeta albo kolejarz – i pojmiesz całą marność swej wiedzy i intelektu, i zawstydzisz się, i przestraszysz, że może nie dogonisz go nigdy. I opadną ci pawie pióra. Ale zapamiętaj – musisz go gonić, goń go, nie ustawaj, a osiągniesz to samo na szlaku, choćbyś miał nigdy nie dotrzeć tak daleko jak on. Nie cel jest ważny, ale bieg ku niemu, który jest zaiste wszystkim, co warto w życiu czynić. Nie doskonałość – ta byłaby nudna jak rzeźba jaja – lecz ściganie jej, cudowna samotność długodystansowca.



Talleyrand (portret pędzla Scheffera).

Przez całe życie, identycznie długie (osiemdziesiąt cztery lata), gonił Voltaire'a, jego ton i styl, i dobiegł bardzo daleko. Operował słowem jak wielki pianista klawiaturą. Słowa są jak pieniądze, wyświechtują się, dewaluują, podlegają fałszerstwom, lecz źródłem największych kłopotów są wówczas, gdy ich brak. Jemu nigdy nie było brak odpowiedniego słowa w odpowiednim momencie, potrafił słowem skompromitować, zniszczyć, zabić, rozśmieszyć do łez i wzbudzić taki podziw, że nawet tym, którzy go nienawidzili (a prócz kobiet, które obdarzał łaskami, nienawidzili go wszyscy), zapierało dech z zachwytu. Część z tych fenomenalnych ripost i refleksji zawarł później w swych *Pensées*, lecz ich lektura to już nie to samo – zbyt wiele tu pozowania na cnotę.

Cnotę przeklął ostatecznie w tym samym momencie. Patrząc na Voltaire'a, zastanowił się, dlaczego ten geniusz nie sięgnął po laury w najbardziej pożądanej ze sztuk – we władzy. Brak silnej woli? Nie. „By zdobyć władzę i fortunę, nie trzeba mieć silnej woli, trzeba nie mieć skrupułów". Takiej udzielił sobie odpowiedzi i zapamiętał ją. Nie miał

skrupułów tak dalece, że już wtedy Mirabeau, wyprzedzając całe rzesze moralistów i historyków, scharakteryzował go jako człowieka „podłego, chciwego, kochającego się w intrydze i pieniądzach, za które sprzedałby duszę, i miałby rację, gdyż zamieniłby kupę gnoju na złoto". Napoleon nazwał Talleyranda publicznie „łajnem w jedwabnych pończochach", a współcześni i potomni dorzucili do tego hektolitry pomyj i przekleństw. Banalnych przez swe podobieństwo i dosłowność. Poza banał wyszedł najlapidarniej Eugeniusz Sue. Talleyrand nie znosił posiłku bez sera, a swój ulubiony gatunek, „le brie" nazwał „królem serów". Sue skomentował to: „Jedyny król, którego nie zdradził".

I tak było w istocie. Talleyrand zdradził Kościół, kilka reżimów, którym kolejno służył, setki ludzi, którzy służyli jemu, wszystko tłumacząc nadrzędnym interesem ojczyzny. W jej interesie jako minister spraw zagranicznych imperium wykradł z akt państwowych całe worki tajnych dokumentów i sprzedawał je obcym mocarstwom, w jej interesie nie chciał zawrzeć bez łapówki żadnego traktatu, w jej interesie stworzył arcydzieło niemoralności.

Stworzył je naprawdę, wycyzelował tak, jak Michał Anioł pieścił marmury, głębokie i tajemnicze jak pejzaże Leonarda, płonące zmiennym kolorem jak katedry Moneta, demoniczne jak kompozycje Boscha. Niemoralność ma coś ze strachu i kiczu. Strach może narosnąć do takiego stopnia kondensacji, że przekracza granicę przerażenia i przeradza się w determinację, staje się odwagą. Znają to historie wojen. Kicz może osiągnąć takie natężenie antyestetyki, że przekracza granicę złego smaku i staje się sztuką autentyczną. Amoralność zwielokrotniona do n-tej potęgi przestaje wzbudzać odrazę, zaczyna fascynować, zwłaszcza gdy ożeniona z mądrością. Powstaje wówczas amoralność idealna, w stanie czystym, posągowe dzieło sztuki, które przeraża, ale przecież pełne okrucieństwa i fantasmagorycznych zboczeń *Caprichos* Goyi też przerażają. Geniusz amoralności o wszechstronnym intelekcie może być godny potępienia, lecz nie wstrętu. Wstręt budzi głupota. Połączyć w sobie Voltaire'a z Makiawelem – to znaczy wyrzeźbić superintelekt nadamoralny. Talleyrand dokonał tej sztuki. „Sztuka nie znosi oceny moralnej" (Wilde).

W momencie gdy Talleyrand przybył do Polski, jego arcydzieło miało już szlachetność patyny, wzbogacone doświadczeniami przebytej drogi. Według opinii prefekta policji paryskiej, Pasquiera, właśnie w Warszawie (a nie w rok później w Erfurcie, jak się powszechnie przyjmuje) „srebrny lis" zaczął spiskować z Dalbergiem przeciw Napoleonowi. Służył mu, lecz nienawidził go, co dostrzegano, aczkolwiek rozumiano błędnie, przykładając wyświechtane kategorie osądów moralnych. Potocka napisała, że „zadawał gwałt swym poglądom (...) aby zdobyć bogactwa, wielkie rzeczywiście, ale opłacone godnością i honorem". Gdyby to usłyszał, skwitowałby pobłażliwie: Proszę mnie nie rozśmieszać, i znowu miałby rację – nie można gwałcić meteorologii („Moje poglądy zależą od pogody"), nie można płacić za coś walutą, której się nie posiada.

Nie mniejsze bzdury wypisywano o Tyszkiewiczowej. Niemcewicz piętnował w swych wspomnieniach jej „przywiązanie do familii Burbonów" i „niską czołobitność, którą okazywała Talleyrandowi", nie rozumiejąc, że „niska czołobitność" Tyszkiewiczowej dla Talleyranda nie miała nic z serwilizmu wobec najpotężniejszego ministra Europy, nic z politycznej żebraniny, że był to klasyczny serwilizm miłosny i intelektualny, oddanie się kobiety człowiekowi, którego pokochała i który jej imponował swym stylem i rozumem. Przywiązanie do Burbonów? Nienawidziła po prostu Napoleona, gdyż nienawidził go uwielbiany przez nią Talleyrand. Równie dobrze można by twierdzić, że ktoś z pewnością kocha ser, bo nie znosi szynki.

Książę minister opuścił Warszawę 3 maja 1807 roku. Niedługo potem Tyszkiewiczowa podążyła za swym idolem do Francji. Powracała czasami do Warszawy, lecz już jako gość. Stała się osobą bezpaństwową, nie należała już do Polski ani do Francji, ani do Europy, należała do Talleyranda. Wprowadził ją w ekskluzywne kręgi Faubourg Saint-Germain, a ona zamieszkała przy tej samej ulicy co on, rue Saint-Florentin 7, by być tuż, zawsze blisko (dom ten istnieje do dzisiaj; gdy wstąpiłem doń, okazało się, że zamieszkuje go Jean Patou). Chcąc go mieć dniem i nocą a nie dysponując już pokuśliwym ciałem, nauczyła się grać w ulubionego przezeń wista. Grała kiepsko, brak jednego oka utrudniał jej śledzenie gry, ale grała i on całe noce spędzał z nią przy kartach. Nad ranem padała ze zmęczenia, ale była szczęśliwa. Wzruszająca jest ta jej walka o niego.

Salony kwitowały jej wysiłki drwiną. Bawiący we Francji niemiecki książę Karol de Clary-et-Aldringen zanotował w roku 1810: „Jedną z osobliwości balu (u generała Clarke'a – przyp. WŁ), którą sobie pokazywano i która przechodzi wszelkie wyobrażenie, była pani Tyszkiewiczowa, obwieszona fałszywymi diamentami ogromnej wielkości (...) i nosząca stare wyświechtane łaszki. Było mi za nią wstyd..." Do jasnej cholery! Jak to czytać bez gniewu? Ten niemiecki laluś wstydził się za polską arystokratkę, nie wiedząc, że nie stać jej było na prawdziwe klejnoty, bo wyprzedała wszystkie dla Talleyranda, bo rujnowała się na podarki dla niego, bo zapożyczała się dla niego jak obłąkana, aż do starych łachów na ciele krewnej króla Polski! Witaj, smutku. Czyż to nie budzi żalu, ten obłęd starej damy?

Któregoś dnia książę Beneventu ujrzał u antykwariusza przy rue Royal dwie kolumienki porcelanowe ze złotymi głowicami i zachwycił się, lecz cena odstraszyła go od kupna. Wieczorem znalazł je w swym apartamencie przy ulicy Saint-Florentin. Zapłaciła za nie 60 tysięcy franków – sumę horrendalną. Gdy po oficjalnej wizycie w Paryżu, w roku 1811, książę Józef Poniatowski otrzymał od cesarza na pożegnanie wysadzaną brylantami tabakierkę, rozeszła się nad Sekwaną pogłoska, że do tej tabakiery dołączony był duży prezent pieniężny. Owszem, otrzymał Poniatowski pieniądze, lecz prawda wyglądała tak, że była to zwykła zwrotna pożyczka, o którą poprosił Napoleona, by zapłacić straszliwe długi siostry. Płacił je nawet po śmierci, gdyż ona przeputała dla Talleyranda cały spadek po nim.

Dogadzanie Talleyrandowi pochłaniało również dochody, jakie Tyszkiewiczowa czerpała z urządzonego w swym apartamencie kasyna gry w „biribi". Potocka ujrzawszy tę jaskinię hazardu była tak przerażona i zdegustowana, że nazwała ją „bandycką spelunką", na co ciotka odparła gniewnie, że „zapracowany książę w jej domu znajduje rozrywki, których stanowisko jego wzbrania mu we własnych progach". W tym kasynie tylko jego właścicielka nie grała o pieniądze, grała o Talleyranda. Dla niej była to gra o wszystko.

A przecież nie była jedyną. Talleyrand nienawidził innych żyjących mężczyzn (co jest bardzo przyjemnym hobby, jeśli ma się władzę – tylko wówczas) i tak jak Voltaire nad męskie przedkładał towarzystwo kobiet. Tylko że – pomijając alkowę – Voltaire uważał, że kobiety mają chłonniejsze umysły i są ciekawsze w rozmowie, a Talleyrand, że są bardziej użyteczne. „Faire marcher les femmes".

„Maszerowało" ich dla niego kilkadziesiąt. Po nazwiska i kolejność odsyłam ciekawskich do *Talleyrand amoureux* Casimira Carrére'a, zaznaczając jedynie ten interesujący fenomenik, że pierwsza i ostatnia nosiły imię Dorota (Dorota

Luzy i Dorota księżniczka kurlandzka, znana jako księżna Dino). Między dwiema Dorotami było wiele świetnych nazwisk rodowych, kilka tajemniczych „zjaw" (np. „czarna metresa" z Filadelfii), oraz druga Polka, Izabela Sobolewska, również... Poniatowska z domu! (córka króla Stanisława Augusta i pani Grabowskiej). Nie trzeba chyba nadmieniać, że o żadną nie była hrabina Tyszkiewiczowa tak zazdrosna jak o swą krewną.

Powszechnie plotkowano również w Europie o „haremie księcia Beneventu", składającym się z dam, które swą cielesną świetność przeżyły przed Rewolucją, a teraz zaprzęgłszy się do jego karety donosiły mu, spiskowały dla niego, zabawiały, były na każde skinienie. Wicehrabina de Lavel-Montmorency, księżna de Luynes, hrabina Kielmannsegge, księżna Vaudémont, hrabina Tyszkiewiczowa i inne. Jeden z dziennikarzy za Restauracji warczał: „Stary satrapa i jego seraj!" Jean Orieux nazwał je: „stowarzyszeniem byłych piękności, wiecznych gwiazd, syndykatem podstarzałych metres".

Traktował je, jak traktuje się stado psów do polowań, bo też do tego służyły. Znowu Potocka: „Był to rzeczywiście bardzo zabawny widok: Panie te, przy których spełniał kolejno rolę kochanka, tyrana lub przyjaciela, na próżno siliły się, aby go rozerwać. Wszystkie ich wysiłki rozbijały się o jego ponure usposobienie. Ziewał przy jednej, urągał drugiej, wszystkie nazywał wariatkami, wyciągając złośliwe wspomnienia i daty (...) Sprawiał takie wrażenie, jakby w towarzystwie nieszczęsnych kobiet starał się specjalnie wyglądać na opryskliwego mruka".

Potrafił być okrutny i być może nie wyłącznie anegdotą była jego odpowiedź jednookiej kochance, gdy spytała go w momencie kryzysu: „Jak wyglądają sprawy?" („Tak, jak pani widzi!", miał odrzec), nigdy bowiem nie przepuszczał okazji, by strzelić słowną błyskotką, lecz jak świadczy wiele przekazów z epoki – kochał ją na swój sposób. Może nie tak jak księżnę Dino, gdyż była na to za stara, lecz bardzo czule, za jej wierność, za psie oddanie na zawsze. Była mu dobrym aniołem, opiekunką i pielęgniarką ciała i duszy. Zabierał ją w każdą ze swych prywatnych podróży, do kurortów i do zamku Valençay, który kupił za namową Napoleona i w którym – przerobiwszy wnętrza z renesansowych na empirowe – ofiarował swej polskiej przyjaciółce stały apartament w małej wieży południowo-zachodniej, zwanej Nową Wieżą, gdyż powstała najpóźniej, w końcu XVIII wieku.

Była blisko niego i to napawało ją szczęściem, którego nic mogła zamącić nawet obecność w jego życiu księżnej Dino. Wszystko, o czym marzyła, streszczało się w krótkim: „pourvu aue ça dure" – byle tylko to trwało. Lecz cóż trwa wiecznie?

Potem on wyjechał na swą ostatnią placówkę dyplomatyczną, do Londynu, a gdy wrócił po czterech latach, w roku 1934, dowiedział się, że ona umiera w Tours. Poczuł ból, jakiego nie czuł nigdy przedtem. W jedną z bezsennych nocy chwycił za pióro i napisał do pierwszej lepszej osoby podsuniętej przez pamięć, do hrabiny de Jersey: „Cierpiętnicza droga księżnej Tyszkiewicz zbliża się do kresu. Dwadzieścia siedem lat niezmiernego poświęcenia czyni dla mnie jej śmierć niewypowiedzianie bolesną. Wiem już od pewnego czasu, że zbliża się koniec, lecz moment rozstania na zawsze jest potworny. Uczucie nie jest nigdy przygotowane na tę ostatnią godzinę. Męczy mnie potrzeba wyrażenia tego, co czuję dla osoby, którą kocham od ponad dwudziestu lat, i dlatego właśnie piszę do pani". Kiedy umarła, 2 listopada 1834 roku, po raz pierwszy widziano Talleyranda płaczącego (świadectwo Montroda i innych.).

Dla tego tylko listu-krzyku serca i tych łez warto mi było zamyślić się w Valençay i napisać potem o ich wędrówce. Zważcie – ten człowiek, idealnie nikczemny, czarodziej kłamstwa, złodziej, łapownik, minister-regularny agent dwóch obcych wywiadów, ten geniusz niemoralności płakał tylko raz w życiu, gdy umarła jego polska „niewolnica", stara siedemdziesięcioczteroletnia kobieta. Na Boga! Wiecie, ile są warte takie łzy?

Marzyła o tym, by nie rozstali się nigdy, o miejscu obok niego w kaplicy Świętego Maurycego w Valençay, do której ofiarowała złote, inkrustowane lapisem cyborium, dar papieża dla jej wuja, arcybiskupa krakowskiego (dzisiaj znajduje się ono w Luwrze i tam je oglądałem). Obiecał jej to i dotrzymał słowa, być może również po raz pierwszy w życiu. Dwudziestego listopada 1834 roku złożył w swej pogrzebowej kaplicy zwłoki kobiety, która brak urody i młodości wyrównywała mu w nadmiarze przywiązaniem.

Poczuł się wówczas samotny i po raz pierwszy poczuł się stary. Jej śmierć zabiła w nim ostatnie resztki energii. Natychmiast po pogrzebie, w końcu listopada, poprosił Ludwika Filipa o udzielenie mu dymisji i zagrzebał się w Valençay, gdzie codziennie mógł chodzić do kaplicy i klękać przed jej trumną.

Czekał na śmierć jeszcze cztery lata. Konał w Paryżu, w maju 1838 roku. W chwili przedostatniej pojawił się u łoża śmierci król Ludwik Filip.

– Najjaśniejszy panie, cierpię jak potępieniec – wyszeptał Talleyrand.

– Już? – wyrwało się królowi.

Zmarł 17 maja. Metternich, dowiedziawszy się o tym, spytał:

– Ciekaw jestem, dlaczego on to zrobił?

Przed śmiercią pojednał się z Bogiem.

Zgodnie z życzeniem zmarłego ciało przewieziono do Valençay i złożono w kaplicy Świętego Maurycego, obok hrabiny. Szesnastego sierpnia 1944 roku kaplica stanęła w ogniu i zmieniła się w ruinę. W lutym 1958 roku odnaleziono trumny (cynkową i drewnianą) ze szczątkami Polki. Drewniana była całkiem spróchniała. Wymieniono ją na nową, ozdobiono metalową plakietką epitafijną z poprzedniej i umieszczono całość po lewej stronie krypty.

Valençay należy dzisiaj do potomków Talleyranda. We wnętrzu mieści się wspaniała kolekcja pamiątek po nim, a w niej szeroki skórzany but ortopedyczny, z metalowym zbrojeniem, jego wieczny prawy but. Ten eksponat mówi więcej niż wszystkie pozostałe. Mnie mówi.


But ortopedyczny.

Żegnając Valençay pomyślałem, że jeśli napiszę, jak przeczytaliście, pomówiony zostanę o gloryfikowanie kanalii. Nie przestraszyłem się. Nie wielbię nikczemników i zbrodniarzy, ale też nie darzę nienawiścią. Nienawidzę obojętnych. To dzięki ich milczeniu popełniane są zbrodnie i zdrady.

Opluwano go przez dwieście lat, do dzisiaj. W jego epoce mijało dwieście lat, jak zaczęto opluwać Makiawela. Wielki Niccolo napisał *Księcia* i doczekał się w XVIII wieku księcia, który zrealizował jego wskazania i dzięki temu utrzymał się przy władzy przez sześćdziesiąt lat, trzykrotnie dłużej niż Napoleon! Autor *Księcia* i książę. Gdyby mi dano do wyboru: niebo z moralistami i potępiającymi ich obu albo czyściec z nimi dwoma, wybrałbym czyściec i poczekałbym z nimi na niebo. Długo, bo długo, ale nie nudząc się.

Fragment książki pt. *Francuskie ścieżki*, która ukaże się nakładem oddziału KAW w Krakowie.



Naczelna Redakcja Fotografii KAW proponuje zestawy zdjęć, każdy 18 fotografii formatu 24x30 cm.
Warszawa z lotu ptaka. Warszawa XVIII i XIX wieku. Zamek Królewski dawniej i dziś. Poczet wielkich królów polskich. F. Chopin. M. Kopernik. T. Kościuszko. K. I. Gałczyński. M. Dąbrowska. Z. Nałkowska. J. Iwaszkiewicz. Zespoły rockowe. Wielcy podróżnicy polscy. Podróże Jana Pawła II.

Wyczerpujących informacji udziela Naczelna Redakcja Fotografii KAW 00-372 Warszawa ul. Foksal 16. Telefony: 29-92-26, 26-14-34.



Janina Pałęcka

TESTAMENT ROMY

Mała kartka papieru pokryta nerwowym, kanciastym pismem. Bardziej przypomina listę zakupów na następny dzień niż dokument. Ale na górze można odczytać podkreślony tytuł: MEIN TESTAMENT
i datę: 10 maja. Podpis nie pozostawia wątpliwości: to jest ostatnia wola Romy Schneider.

„Panie doktorze H., bardzo proszę: wszystko co posiadam – ja, Romy Schneider – powinno zostać przekazane Laurentowi Pétin i mojej córce Sarah. Nalegam, by uznano to za mój testament i jeszcze raz podkreślam: wszystko co posiadam i co do mnie należy przeznaczone jest dla pana Laurenta Pétin i dla Sarah. Taka jest moja wola i ostatnia decyzja".

Na dziewiętnaście dni przed śmiercią napisała te słowa aktorka, stojąca, zdawałoby się, u szczytu sławy i powodzenia.

W trzy tygodnie później spadkobiercy odziedziczyli same długi...

Jak to się mogło stać? Przecież Romy Schneider od dwudziestu lat kręciła film za filmem, otrzymując iście królewskie honoraria. Władze podatkowe obliczyły, że tylko we Francji pomiędzy 1972 i 1982 rokiem zarobiła osiemnaście milionów franków, to jest około trzy i pół miliona dolarów. A do tego dochodziły honoraria za filmy amerykańskie, angielskie, włoskie, zachodnioniemieckie. Honorarium za jej ostatni film *La passante du Sans-Souci* wyniosło ponad milion franków, z czego czterysta tysięcy przekazano jej na konto bieżące w paryskim banku dosłownie na kilka dni przed śmiercią.

A jednak w dniu śmierci, 29 maja 1982 roku Romy Schneider nie posiadała nic. Koszty pogrzebu pokrył Laurent Pétin, ostatni towarzysz jej życia. Co będzie z zaległymi podatkami – nie wiadomo. Francuskie władze podatkowe zażądały uiszczenia siedmiu milionów franków tytułem zaległości; żądania te ponawiane są od roku 1978.

Wszystko się zaczęło w nastroju pogodnej bajki. Piętnastoletnia pulchna blondyneczka, dopiero przekształcająca się w kobietę, córka popularnej pary gwiazd filmu i wiedeńskich operetek z lat trzydziestych, Magdy Schneider i Wolfa Albach Retty'ego, debiutuje na ekranach w komedyjce pod obiecującym tytułem: *Kiedy znów zakwitną białe bzy..* I zaraz potem pojawia się znowu jako młodziutka cesarzowa Elżbieta z bawarskich Wittelsbachów, w siedemnastym roku życia wydana za młodziutkiego cesarza Austrii, Franciszka Józefa I, sławna „Sissi". Jeden po drugim, w latach 1954–56 powstają trzy wystawne, kostiumowe filmy: *Sissi, panieńskie lata królewny, Sissi, cesarzowa-podlotek* i *Sissi, młoda cesarzowa.* Miliony widzów, tysiące kolorowych zdjęć, okładki w największych ilustrowanych magazynach.

W rzeczywistości wszystko to wyglądało trochę inaczej. Matka pochłonięta własną karierą aktorską niewiele czasu poświęcała Romy, wychowywanej najpierw przez guwernantki, potem w klasztornym internacie koło Salzburga. Odnaleziony po śmierci aktorki pamiętnik przepełniony jest skargami na samotność i poczucie zagrożenia. Ale są też dowody, że decyzja o przyszłej karierze zapadła bardzo wcześnie. Poświadcza to zdjęcie rodziców w strojach wieczorowych z podpisem: *„Ja też będę kręcić mając 19 lat"* i fotografia Orsona Wellesa ściskającego w ramionach Ritę Hayworth; strzałka wskazuje sylwetkę sławnej gwiazdy, a podpis brzmi: *„to ja"*. Przez całe cztery lata pobytu w internacie ojciec nigdy jej nie

odwiedził i tylko parokrotnie przyjechała w odwiedziny matka...

Romy nie była pięknością. Zdjęcia kilkunastoletniej dziewczynki ukazują banalną buzię i dość tęgą sylwetkę w białej bluzeczce i spódniczce do połowy łydki.

W szkole prawdziwą pasją Romy były przedstawienia teatralne. Próby, szycie kostiumów, atmosfera przed podniesieniem kurtyny wprawiały ją w stan ekscytacji; zwykle bowiem była zamknięta w sobie, milcząca i przeważnie smutna.

Swemu pamiętnikowi, traktowanemu jako przyjaciółka imieniem „Peggy", zwierzała się: *„Niedługo wyjadę do Paryża albo do Meksyku i będę grała role kowbojskie".* Wiele też marzeń o mężczyznach – pięknych, bogatych, wpływowych. Wszystkie plany życiowe układają się w rytm: grać – podróżować – grać – podróżować. I kochać.

W cztery lata później wydawać by się mogło, że niemal wszystko z marzeń już osiągnęła. Jako „Sissi" ma popularność, podziw, uwielbienie; jest też jedną z najlepiej płatnych aktorek w RFN. Aktorek? Przecież Romy Schneider nie ma żadnego aktorskiego wykształcenia! Ale kto by na to zwracał uwagę. Nad jej pierwszymi krokami czuwa matka i cały sztab asystentów reżysera Ernesta Marischki.

Pojawiają się pierwsi amanci. Romans z Horstem Buchholzem, wówczas ogromnie popularnym i uważanym za niemiecki odpowiednik Jamesa Deana (iluż ich było, tych lokalnych Deanów, po całym świecie!). Wprawdzie nieco zgorszył konserwatywną opinię, ale czegóż by wówczas nie wybaczono „Sissi". A potem w jej życiu pojawił się pierwszy „Ktoś".

Był aktorem i miał za sobą tylko jeden liczący się film: *W pełnym słońcu.* A także burzliwą przeszłość, z domem poprawczym i służbą w komandosach w Wietnamie. Jego nazwisko nic jeszcze nikomu nie mówiło, choć wróżby na przyszłość były jak najlepsze. Nazywał się Alain Delon. I Romy bez słowa wyjeżdża z nim do Paryża. Prasa brukowa poświęca jej romansowi całe kolumny. Nadchodzi lato 1960 roku. Sensacją sezonu ogórkowego staje się wiadomość o rychłym ślubie Romy i Alaina. Nigdy nie mieli takich planów. Więc po paru tygodniach – dramatyczne opisy kłótni, która te plany przekreśliła. Nie mogą wyjść z domu, pójść do kina czy na kolację, aby nie otaczali ich reporterzy. Gdy Alain wyjeżdża do Rzymu kręcić *Rocco i jego bracia* z Luchino Viscontim, zaczynają się sensacyjne doniesienia o jego romansach włoskich – i jej paryskich zdradach. Kiedy ona zaczyna grać pod kierunkiem Alaina Cavaliere w *Pojedynku na wyspie* – już są pikantne doniesienia o romansie z Jean-Louisem Trintignantem.

Nie był to łatwy okres dla obojga. W dodatku Romy bardzo źle mówi po francusku. W filmach dubluje się jej głos, a ona zawzięcie się uczy. I po dwu latach może już podjąć najtrudniejszy egzamin: razem z Alainem Delonem gra w teatrze, w sztuce *Szkoda, że jest tylko dziwką* klasycznego autora angielskiego Johna Forda.

Przekonana, że wreszcie może stanąć samodzielnie na nogach, popełnia wówczas błąd, jaki przed nią i po niej popełniło wiele wybijających się młodych aktorek europejskich: podpisuje dwuletni kontrakt z producentem amerykańskim. Jest to stary chwyt, stosowany przez Hollywood od zarania dziejów kina: kusi się obiecujące młode gwiazdy wizją kontraktu i sławy, wyciąga z Europy i obsadza w niewiele znaczących filmach. Jeśli się przyjmą – producent szybko lansuje ich nazwiska i ma atrakcję za cenę o wiele niższą, niż „hodowanie" gwiazdy od początku na warunkach amerykańskich. Jeśli się nie przyjmą – odsyła się je do Europy.

Żaden z amerykańskich filmów Romy Schneider nie zdobył widowni. Gdy wróciła w 1965 roku do Paryża, wszystko wyglądało inaczej. Alain Delon świecił już własnym blaskiem i odszedł. Nie doszły do skutku filmy z jej udziałem, planowane przez Luchino Viscontiego i Henri-Georgesa Clouzota. Nie przeczuła, jak wielki błąd popełnia, odmawiając głównej roli w filmie nikomu nieznanego reżysera Claude Leloucha *Kobieta i mężczyzna.* Zniechęcona i rozczarowana, postanowiła powrócić do Niemiec, do własnego języka, do kraju, w którym ją nadal lubią i poważają. Gdzie nawet niezbyt udane amerykańskie filmy z jej udziałem stają się kasowymi sukcesami.

Latem 1966 roku bierze ślub ze starszym od niej o kilkanaście lat reżyserem Harry Meyenem. 3 grudnia tego samego roku rodzi się jej pierwsze dziecko: syn David Christopher. Romy porzuca na dwa lata atelier i cały swój czas poświęca Davidowi. Po epoce szaleństw, huśtawki nastrojów, nieprzemyślanych, lekkomyślnych decyzji przyszedł czas refleksji. Romy przekształca się w dojrzałą kobietę. Ale jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, jak łatwo wypaść z obiegu w zwariowanym biznesie filmowym. Tylko gdzie, kiedy i jakim filmem dokonać owego „come-back"?

Po raz pierwszy – i do końca życia jedyny – przychodzi jej wówczas z pomocą mężczyzna, którego kochała. Alain Delon, wówczas już właściciel dobrze prosperującej firmy produkcyjnej, finansuje film *La piscine (Basen),* w którym sam gra główną rolę. Romy gra u jego boku. I wtedy karta się odwraca. Zaraz potem przychodzi propozycja od reżysera Claude Sauteta: *Okruchy życia.* Rola, którą Romy do końca życia uważa za swoją najlepszą, rola, która przekonała do niej ostatecznie krytyków i widzów, określiła typ psychiczny, któremu pozostała wierna. *„Byłaś kimś więcej niż artystką. Byłaś nami. Byłaś wodą, powietrzem, słońcem, oczekiwaniem i milczeniem. Mijającym czasem, dniami, które nigdy nie wrócą. Okruchami życia..."* Takim echem odbił się jeszcze ten film po trzynastu latach w nekrologu Romy, napisanym przez jednego z francuskich krytyków...

Teraz idą jeden po drugim filmy ważne, znaczące, krojone na jej miarę. *Ludwig* Luchino Viscontiego, *Cezar i Rozalia, Maks i ferajna, Mado, Prosta historia* Claude Sauteta, *Stara strzelba* Roberta Enrico, *Kobieta w swym oknie* Pierre Granier-Deferre'a, *Najważniejsze to kochać* Andrzeja Żuławskiego. W 1975 roku Romy jest u szczytu powodzenia. Nieomal każdy jej film jest sukcesem kasowym i prestiżowym. Honoraria dochodzą do ćwierć miliona dolarów za film. Pod względem profesjonalnym osiągnęła absolutne mistrzostwo. Tylko w dalszym ciągu nie układa się jej życie prywatne.

Małżeństwo z Harrym Meyenem nie trwało długo. Po rozwodzie sąd zarządził, by David przebywał przez pół roku z ojcem w RFN, a przez pół roku z Romy we Francji. Chłopiec jest jej dumą i w pewnych okresach życia jedynym oparciem.

Natomiast związki uczuciowe z mężczyznami stają się coraz bardziej przelotne. Romy panicznie boi się, że znów ją któryś z partnerów zawiedzie, oszuka, porzuci – i sama zrywa. Dopiero w 1975 roku jej ówczesny sekretarz Daniel Biasini zdołał widocznie przemóc te obawy, bowiem w grudniu 1975 roku Romy Schneider została jego żoną. Ślubne zdjęcia przedstawiają roześmianą Romy w obszernej sukni, nie ukrywającej, że aktorka znów oczekuje dziecka. Niestety, nadmiar pracy w tym okresie spowodował poronienie. Romy jest załamana. I kiedy po kilku miesiącach znów zachodzi w ciążę – zrywa wszystkie kontrakty i na długo zaszywa się na wsi. Chce koniecznie urodzić zdrowe dziecko. W lipcu 1976 roku na świat przychodzi Sarah Magdalena. Wywiady udzielane przez Romy w tym okresie są pełne szczęścia i radości życia. Coraz częściej pojawia się w nich zapowiedź porzucenia wyczerpującej pracy. Wyznacza sobie termin: po pięćdziesiątym filmie. Moment ten przychodzi bardzo szybko, jeszcze w tym samym 1976 roku i ma tytuł *Portret zbiorowy z damą.* Ale producenci nie chcą jej puścić, bowiem nazwisko Romy Schneider – nawet w epizodzie! – to gwarancja wysokich zysków. Rosną honoraria. Przyspieszeniu ulega rytm pracy, już i tak obłędny. Wiosną 1976 roku kolejny bolesny cios: samobójstwo Harry'ego Meyena, byłego męża, z którym Romy do końca pozostała w bardzo dobrych stosunkach. Dzieliła rozpacz razem z Davidem, który bardzo kochał ojca. Daniel Biasini zawiódł pokładane w nim nadzieje, małżeństwo nie jest szczęśliwe. W dodatku propozycje filmowe – jak gdyby otoczenie wyczuwało nadciągającą tragedię – coraz częściej krążą wokół tematów drastycznych, ponurych. W *Śmierci na żywo* Romy dzień po dniu przeżywa własną, nadciągającą śmierć. W aurze śmierci skąpany jest jeden z jej najwspanialszych filmów, *Blask kobiecości* Costy-Gavrasa, o którym pisano: *„to tytuł, czy wyznanie miłosne złożone przez reżysera aktorce?".* W jednym z ostatnich, ukończonych w 1980 roku filmie *Pani bankier* Romy zagrała rolę pani Hanau, znanej w latach trzydziestych

aferzystki finansowej, zaszczutej przez prasę do tego stopnia, że popełniła samobójstwo na dziesięć dni przed wyjściem z więzienia. Jednocześnie zaczęły się poważne kłopoty ze zdrowiem. Po ciężkiej operacji usunięcia nerki, gdy Romy przechodziła rekonwalescencję, nastąpiła straszna, bezsensowna śmierć Davida, ukochanego, ubóstwianego syna. Krąg śmierci zaczął się zaciskać. To były już ostatnie miesiące.

Była całkiem sama. Wszyscy, którzy ją bliżej znali, wyczuwali jakiś mur, jakąś ścianę niemożliwą do przebycia. Fatum? Przekleństwo ciążące nad jej życiem? Wyczerpujących odpowiedzi na te pytania dotąd nie ma, ale rewelacje związane z testamentem Romy wyjśniły wiele zagadek. Winnych śmierci Romy trzeba szukać w szerokim kręgu ludzi blisko z nią związanych. Moralnie obciążeni wydają się być najbardziej: jej ojczym Hans Blatzheim, drugi mąż Magdy Schneider po rozwodzie z Wolfem Albach-Rettym, jej drugi mąż, ojciec Sarah, Daniel Biasini, z którym rozwiodła się w 1981 roku, oraz jej długoletni adwokat i radca prawny, wspomniany w testamencie jako „doktor H.", Henrik Kaestlin z Zurichu. Ci trzej mężczyźni przez wiele lat żerowali na pracy aktorki, czerpiąc z jej dochodów ogromne i niczym nie zasłużone zyski.

Ojczym niepełnoletniej wówczas Romy natychmiast po sukcesie pierwszego filmu o „Sissi" uzyskał pełnomocnictwo czyniące go jedynym dysponentem honorariów. Założył w tym celu firmę „Thyrsos", której był jedynym udziałowcem, z upoważnienia Romy Schneider zawierającą kontrakty z producentami i obracającą wpływającymi sumami. Romy otrzymywała od ojczyma stałą pensję miesięczną, wcale nie wygórowaną. Zależność ta trwała przez długie lata. Wszystko, co Romy zarobiła we Francji, USA, Anglii czy RFN, wpływało na konto firmy „Thyrsos". Kiedy aktorka zażądała, by jej ojczym udzielił pożyczki Alainowi Delonowi, startującemu wówczas ze swą własną firmą, ojczym najpierw długo opierał się, a potem policzył ukochanemu córki iście lichwiarski procent i grożąc procesami – wyegzekwował spłatę ostatniego centyma. Każdy romans Romy traktowany był jako groźba, bowiem kolejny mąż czy kochanek mógł jej wreszcie otworzyć oczy na fakt, że jest przez ojczyma po prostu wyzyskiwana. Najpoważniejszym niebezpieczeństwem był oczywiście Harry Meyen, toteż Blatzheim uczynił wszystko, by to małżeństwo trwało jak najkrócej.

Firma ,,Thyrsos" została rozwiązana dopiero w latach siedemdziesiątych. Romy nigdy nie zdecydowała się na utworzenie – jak to robią niemal wszyscy aktorzy we Francji i innych krajach zachodnich – własnej firmy produkcyjnej, będącej prawnym reprezentantem jej interesów i partnerem do rozmów z władzami podatkowymi. Nie potrafiła się zorientować w zawiłościach prawnych i powierzała reprezentowanie swych interesów różnym spryciarzom. Takim właśnie był Daniel Biasini, do 1973 roku skromny urzędnik firmy „Lira" w Paryżu, która była producentem *Cezara i Rozalii*. Zorientowawszy się w sytuacji, przekonał aktorkę, że musi mieć sekretarza zajmującego się jej korespondencją i finansami. Daniel był przystojnym, pełnym wdzięku mężczyzną, a Romy zawsze była wrażliwa na męskie uroki. Wkrótce Daniel został sekretarzem gwiazdy, z pensją trzykrotnie wyższą niż poprzednio, następnie kochankiem swej pracodawczyni i wreszcie jej drugim mężem. Tak się złożyło, że odtąd poważne sumy, wpływające na konto Romy z tytułu honorariów, niemal natychmiast zmieniały właściciela i zasilały prywatne konto Daniela.

Jeszcze przed ślubem Daniel otrzymał od swej ukochanej kremowego bentleya. Później był porsche, cadillac, rover-range, rollsroyce, ferrari. Zakup tych samochodów obciąża konto Romy. Ze względów podatkowych luksusowe i urządzone za zawrotną sumę mieszkanie paryskie wynajęto na imię Daniela. Biasini traktował je jako swą wyłączną własność i trzeba było aż procesu, by po rozwodzie raczył je opuścić. W tym czasie złamana ciężką operacją, a potem śmiercią Davida Romy tułała się po mieszkaniach swych przyjaciół. Wyprowadzając się, Biasini zabrał ze sobą między innymi: kolorowy telewizor, instalację video i stereo, obrazy, meble, a nawet... pościel. Odmówił też oddania jachtu „Danycha" zacumowanego w jednym z portów na Lazurowym Wybrzeżu, a kupionego za pieniądze Romy przez Daniela, jego ojca i wuja (tak brzmiał akt kupna) za sumę ponad miliona franków. Jest rzeczą dowiedzioną, że jeszcze w 1973 roku Biasini nie posiadał żadnego własnego majątku i żadnych oszczędności.

Adwokata Kaestlina z Zurichu nazywa się w środowisku aktorskim „Monsieur 9 procent". Tyle bowiem pobiera prowizji od ludzi, którzy powierzają mu prowadzenie interesów, a w istocie – ochronę przed nadmierną łapczywością władz podatkowych. Pan Kaestlin głosi, że wszystkie jego poczynania są całkowicie legalne, ale granice legalności w dziedzinie podatku są nader trudne do ustalenia. Toteż w 1978 roku, mimo fachowej opieki szwajcarskiego adwokata, Romy Schneider została oskarżona o nadużycia finansowe; roszczenia władz francuskich przekraczają milion dolarów. Po jej śmierci, podczas kontroli ksiąg wyszło na jaw, że pewne sumy płacone przez producentów (a nierzadko szło o sumy przekraczające sto tysięcy dolarów) w ogóle nie były przez Kaestlina przekazywane na jej konto.

Za poradą przyjaciół w 1978 roku Romy zerwała stosunki z Kaestlinem, ale nie zażądała szczegółowego rozliczenia.

Połączonym wysiłkiem panów Blatzheima, Biasini i Kaestlina konta zostały ogołocone tak dokładnie, że spadkobiercom pozostały długi i procesy, które nie wiadomo, czy wygrają. Proces o jacht z Biasinim, proces z Kaestlinem o sumy przechwycone i wiele innych.

Prasa niemiecka, a przede wszystkim „Stern", który przez wiele miesięcy badał tajemnice finansów Romy Schneider, sugeruje, że w ostatnich latach swego życia Romy była szantażowana – być może chodziło tu o jakieś kompromitujące zdjęcia czy kasety video – i tym należy tłumaczyć zarówno rozpaczliwy stan jej finansów, jak i sytuację psychiczną, w której doszło do nagłej śmierci czterdziestoczteroletniej zaledwie aktorki.

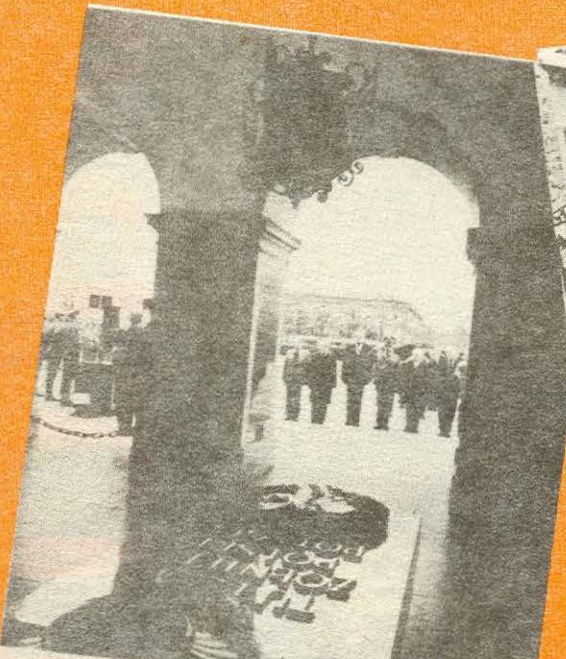
Publiczność, krytycy, przyjaciele nie zdawali sobie z tego sprawy. Dla nich Romy była wciąż u szczytu powodzenia i sławy. Była dzieckiem szczęścia i radością oczu. Owszem, wiedziano o jej chorobie, powszechny też był żal i współczucie po tragicznej śmierci synka. Nikt jednak nie podejrzewał, jakim koszmarem było jej życie w otoczeniu ludzi bezwzględnych, eksploatujących ją bez żadnej litości. Ukrywała wszystko: i brutalne sceny urządzane jej przez Daniela, i konieczność płacenia za niego wysokiej grzywny, gdy był aresztowany za posiadanie narkotyków. Zniosła publiczny skandal, gdy pijany Daniel został sfotografowany w swym bentleyu z prostytutką. Wytoczyła proces pismu, które zbyt pochopnie oskarżyło go o handel kokainą – i pokryła ogromne koszty związane z tą sprawą. W prywatnej rozmowie z reporterem „Sterna", który od dawna dążył do wyświetlenia tajemnic związanych z osobą Biasiniego, a opublikowanej dopiero po śmierci aktorki, Romy oświadczyła, że robi to wszystko dla Davida, który kocha i podziwia swego ojczyma, nie zdając sobie sprawy z tego, kim on jest naprawdę. Wydaje się, że było w tym coś więcej. Po rozwodzie z Meyenem Romy przeszła przez koszmarny, długotrwały proces o prawo częściowej przynajmniej opieki nad Davidem. Kosztowało ją to trzy miliony franków. Pozostał uraz i lęk przed utratą dziecka. Jest bardzo możliwe, że Biasini szantażował ją odebraniem praw do Sarah.

W tym miejscu przypomina się tragiczna historia opisana w ostatniej książce Grahama Greene'a, której – realną – bohaterką jest także młoda kobieta, szantażowana przez byłego męża-gangstera odebraniem opieki nad córką. Zachował się list pisany przez Romy Schneider do Biasiniego niedługo po śmierci Davida:

„Wczoraj wieczorem moja córka powiedziała mi: „Nie pluj na ludzi, którzy cię kochają". Takich słów nie mogła wymyśleć pięcioletnia dziewczynka. One pochodzą od Ciebie. Nigdy nie mówiłam o Tobie źle w obecności Sarah, nigdy! Proszę cię, daj spokój Sarah, zostaw biedactwo, tak samo wykorzystywane, jak David".

Może kiedyś prawda o ostatnich miesiącach życia Romy Schneider wyjdzie na jaw.

PANORAMA 1984



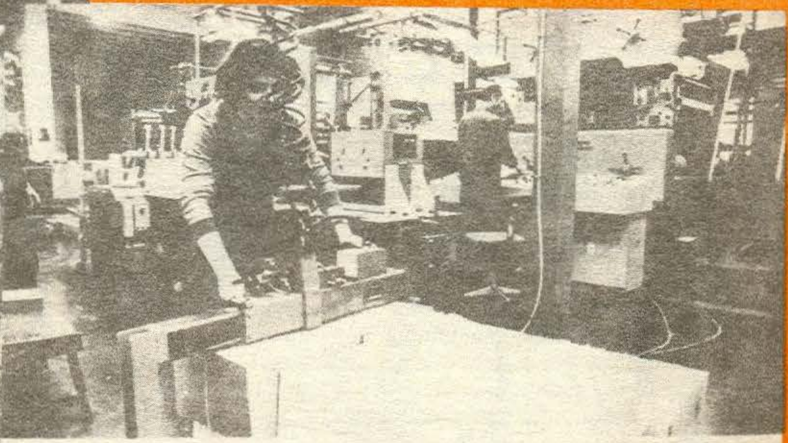
9 maja – Dzień Zwycięstwa. N z: uroczyste złożenie wieńców na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza na placu Zwycięstwa w Warszawie.
CAF – Gladysz



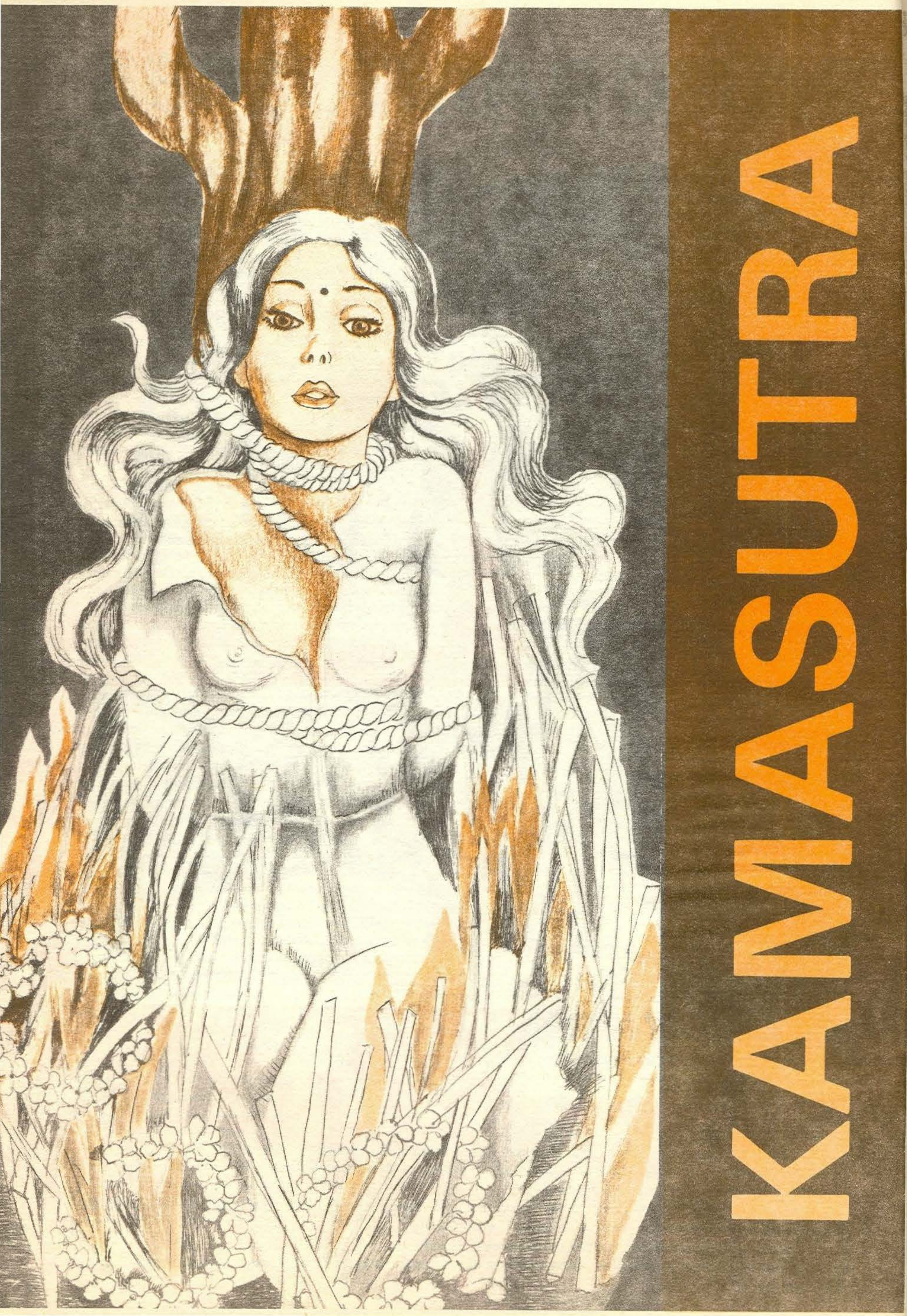
W Europie zachodniej nie ustają protesty przeciwników broni nuklearnej, demonstrujących przeciw rozmieszczeniu przez NATO nowych amerykańskich rakiet na terytorium poszczególnych państw. N z: demonstracja we Florennes w płd. Belgii.
CAF-ADN



W Teatrze Małym w Warszawie kolejna premiera uroczej sztuki F. G. Lorki pt. „Czarująca szewcowa". N z: w roli tytułowej Marzena Trybała.
CAF – Longda



Po dziewięciu latach budowy drukarnia offsetowa Gdańskich Zakładów Graficznych drukuje już pierwsze książki. Należy jednak dodać, że do całkowitego zakończenia prac związanych z tą największą w ostatnich latach inwestycją naszej poligrafii, pozostało jeszcze sporo czasu.
CAF


KAMASUTRA

Kamasutra przypisywana indyjskiemu mędrcowi nazwiskiem Mallanaga Watsjajana, jest najstarszym znanym dziś traktatem o miłości, który dotrwał do naszych czasów.

Kiedy powstała *Kamasutra?* Znawcy przedmiotu różnią się w opiniach na ten temat o – bagatela! – kilka stuleci. Jedni datują utwór na I wiek p.n.e., inni – na okres od I do V wieku n.e. Język tekstu nie daje pod tym względem żadnej wyraźnej wskazówki, bowiem w czasach, gdy Watsjajana pisał swój traktat, sanskryt był już od dawna martwym językiem liturgicznym.

Watsjajana stworzył dzieło wybitne, szczęśliwie unikając niebezpieczeństw, które zawsze niesie w sobie temat tak delikatny, jak miłość zmysłowa. Sztuka miłości, psychologia seksu, kurtyzany i ich klienci, mniej lub bardziej skomplikowane techniki miłości – wszystko to potraktowane zostało z kliniczną beznamiętnością i precyzją godną naukowca. Jednocześnie dzieło Watsjajany stanowi dokument społeczno-obyczajowy swojej epoki. Była to era obfitości, era rozkwitu miast, w których specjalnie polerowane mury odbijały postacie przechodzących ulicami pięknych kobiet, gdzie królowie utrzymywali liczne haremy, a ich poddani chętniej zwracali się ku Artcie i Kamie (bogactwu i miłości) niż ku Drahmie (obowiązkom religijnym).

Z takim to dziełem zetknął się, przebywający w Indiach w drugiej połowie XIX wieku, francuski inżynier Paul Eugéne Lamairesse. Przełożył on starożytny traktat o miłości na francuski i, opatrzywszy obszernym komentarzem (dłuższym od samej *Kamasutry*), wydał go we Francji pod tytułem *Théologie hindoue Le Kama Soutra. Regles de l'amour De Vatsyayana. Morale de brahmanes.*

Francuz, komentując tekst *Kamasutry*, pełnymi garściami czerpał z poetów rzymskich, a zwłaszcza ze słynnej *Sztuki kochania (Ars Amatoria)* Owidiusza. Dodatki do poszczególnych rozdziałów („apendyksy" – jak je nazywa Lamairesse) zawierają ponadto poglądy współczesnych autorowi teologów, prawników i lekarzy, głównie francuskich.

KAMASUTRA i inne REGUŁY MIŁOŚCI zebrane przez E. Lamairesse'a, byłego naczelnego inżyniera w koloniach francuskich w Indiach ukaże się w najbliższym czasie w przekładzie Bohdana Płaciny, nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Katowicach.

VI. Różne rodzaje małżeństwa

Rozdział 3. Miesiąc miodowy.

Kiedy zakończą się uroczystości i ceremonie ślubne (po osiągnięciu dojrzałości płciowej), dopiero nocą dziesiątej doby mąż zostaje sam na sam z żoną; zwraca się do niej miłymi słowami, przygarnia ją do siebie i przyciska delikatnie do piersi, początkowo w taki sposób, jaki najbardziej się dziewczynie podoba, i za każdym razem tylko na chwilę.

Potem przystępuje do pieszczot za pomocą rąk i zaczyna od górnej części ciała, ponieważ jest to najłatwiejsze i najprostsze.

Jeżeli dziewczyna jest bojaźliwa i całkiem niedoświadczona, i jeżeli się z nią jeszcze nie spoufalił, niech próbuje pierwszych pieszczot w ciemności. Jeżeli się nie opiera, niech włoży jej do ust bambulę (nasiona i liście betelu); niech użyje całej swej wymowy, by zechciała ją przyjąć; w razie potrzeby niech uklęknie przed nią, wiadomo przecież, że kobieta, choć najbardziej nieśmiała czy rozgniewana, nie odtrąci nigdy mężczyzny, który błaga u jej stóp.

Częstując ją bambulą, niech całuje łagodnie i delikatnie jej usta. Później niech skłoni ją do pogawędki, pytając o rzeczy, których, jak powiada, nie zna, a które ona będzie mogła wytłumaczyć w kilku słowach. Jeżeli nie odpowiada, niech nie przynagla, tylko łagodnie powtórzy pytania i nalega na odpowiedź, głaszcząc ją przy tym; gdyż, jak mówi Gotakamukha, *„dziewczyny słuchają z uwagą mężczyzny, choć same nie mówią ani słowa".*

Dzięki usilnym prośbom uzyska jej odpowiedź, choćby przez skinienie głowy. Kiedy ją zapyta, czy go kocha, czy go pragnie, niech przez dłuższy czas zachowa milczenie; potem pod wpływem nalegań niech w końcu skinie potakująco głową.

Przyjaciółka, obecna przy tym, stosownie do okoliczności, będzie mogła odpowiedzieć za nią, a nawet pozwoli sobie powiedzieć więcej, niżby ona chciała, za co dziewczyna zgani ją uśmiechem, rzucając jednocześnie w stronę męża porozumiewawcze spojrzenie.

Jeżeli dziewczynę łączy z mężem zażyłość, niech – skłaniając się do jego życzenia – zarzuci mu na szyję wieniec z kwiatów; on zaś niech skorzysta z tej chwili, by dotknąć jej piersi i pieścić je palcami. Jeżeli ona go powstrzyma, powie jej: Nie będę już więcej tego robić, pod warunkiem, że weźmiesz mnie w objęcia.

Kiedy dziewczyna znajdzie się w jego objęciach, niech kilkakrotnie gładzi ręką jej szyję i ramiona. Od czasu do czasu niech sadza ją na kolanach, przytula do piersi i stara się uzyskać jej zgodę na zespolenie. Jeżeli ona nie chce ulec, niech zagrozi, że zrobi jej i sobie znaki paznokciami i zębami na ramionach i piersiach i że rozpowie następnie, iż to ona mu je uczyniła.

Przez dwie następne noce, kiedy dziewczyna nabierze zaufania i pozwoli na więcej, niech pieści rękami całe jej ciało i pokrywa pocałunkami, niech położy ręce na jej udach i lekko ich dotyka palcami. Od tego niech przejdzie do pachwin, a jeżeli ona odtrąci jego ręce, powie: Co w tym złego? i skłoni ją, by mu się nie opierała.

Zyskawszy przychylność, niech dotyka narządów płciowych, rozwiąże pasek i węzeł, które podtrzymują spodnie odzienie i niech masuje górne partie obnażonych ud. Wszystko to niech odbywa się pod różnymi pozorami, lecz bez rozpoczynania zespolenia. Później niech pouczy ją o sześćdziesięciu czterech zasadach Kamy, wyjawiając jej całą swą miłość i wszystko, czego się od niej spodziewa. Niech przyrzeknie jej wierność na zawsze i zapewni ją, że nie będzie miała rywalki.

W końcu, po przezwyciężeniu jej nieśmiałości, dokona zespolenia i posiądzie ją, nie budząc w niej lęku.

Postępując w ten sposób i uwzględniając skłonności dziewczyny mężczyzna zdobędzie jej miłość i zaufanie.

Nie osiągnie się natomiast celu ani przez nadmierną uległość, ani też przez brutalny gwałt zadany woli kobiecej. To pruderyjna pomyłka, kiedy nie rozumiejąc serca kobiety, mężczyzna liczy się zbytnio z jej odmową; z drugiej strony jednak dziewczyna, wzięta gwałtem, znienawidzi tego, któremu zabrakło wobec niej delikatności.

Apendyks do rozdziału 3

Rady Owidiusza. *Ars Amatoria:* „Również łzy pomagają: za pomocą łez poruszysz kamień. Jeżeli potrafisz, postaraj się, by zobaczyła twoje policzki mokre od łez! Jeżeli zabraknie łez (nie zawsze bowiem dadzą się wycisnąć na poczekaniu), potrzyj oczy wilgotną ręką.

Kto rozsądny nie połączy pocałunków z miłymi słowami? I choćby nie

chciała dać, bierz całusy siłą! Początkowo być może będzie się opierać i powie „bezczelny": stawiając opór, chce jednak, by ją pokonano.

Uważaj, by nie zranić delikatnych ust gwałtownymi pocałunkami, żeby nie musiała się skarżyć, iż były one nieprzyjemne! Jeżeli ktoś biorąc pocałunki, nie weźmie reszty, ten godzien jest tego, by stracić również to, co zdobył. Ileż brakuje, by po pocałunku przejść do pełnego spełnienia? Ejże! byłoby to wiejskie prostactwo, a nie poczucie przyzwoitości!

Wypada, byś się uciekł do użycia siły, przemoc miła jest dziewczynie: często chcą dać wbrew woli to, co im sprawia przyjemność. Ta, co stanie się nagle łupem Wenery, cieszy się z natarczywości i uważa ją za miły podarunek. Toteż każda, którą można było zmusić do uległości, jeżeli odejdzie nietknięta, będzie smutna, chociaż twarz jej będzie udawać radość.

Jak niejedna wstydzi się zacząć pierwsza, tak miło jej znosić, kiedy zacznie kto inny. Ach! nadmiernie ufa swej urodzie młodzieniec, który czeka, aż go ona pierwsza poprosi. Mężczyzna powinien pierwszy się zbliżyć, pierwszy wypowiedzieć błagalne słowa: ona chętnie wysłucha miłych słów.

Proś, abyś posiadł: ona pragnie tylko tego, by ją prosić; opowiedz jej dlaczego i jak narodziła się twoja miłość. Nawet Jowisz przychodził do dawnych heroin jako błagalnik: żadna dziewczyna nie uwodziła pierwsza Jowisza.

Jeżeli jednak zauważysz, że pod wpływem próśb popadła w nadmierną dumę, odstąp od zamiaru i wycofaj się! Wiele kobiet pożąda tego, co im się wymyka, i nie lubi, by im się narzucano: mniej nalegając, oddalisz jej niechęć do siebie.

Nie zawsze należy ujawniać wobec dziewczyny swoje nadzieje na miłość: niech miłość ją przeniknie pod płaszczykiem przyjaźni. Widziałem, jak w ten sposób oszukano najnieprzystępniejsze dziewczyny: ten co był przyjacielem, stawał się kochankiem."

Rady doktora J. Guyot. „Najlepszym stanem małżeństwa jest wzajemna miłość. Jeżeli brak jej u kobiety, mężczyzna powinien ją rozniecić sztuką swych pieszczot.

Kobieta pierwszej młodości jest zawsze mniej namiętna i bardziej delikatna; objawy biorą się najczęściej stąd, że przeżycia jej są niepełne.

Miesiąc miodowy jest czasem upojenia danym małżonkom przez naturę, po to, by się mogli porozumieć w sprawie naturalnego i pełnego zaspokojenia popędu seksualnego.

Rozkosz ma to do siebie, że wypływa u każdego z małżonków głównie z upojenia, którego doświadcza partner. Regularne i naturalne współżycie płciowe, jeżeli nada się mu odpowiedni kierunek, stanie się istotną potrzebą dla utrzymania jasności umysłu, spokoju serca i zdrowia ciała".

Rozdział 4. Uwiedzenie dziewczyny w celu zawarcia małżeństwa

Mężczyzna ubogi, lecz wyjątkowych zalet (kasta, uroda, wiedza), mężczyzna z mało znaczącej rodziny i mający jedynie przeciętne przymioty, bogaty sąsiad, młody mężczyzna pod kuratelą ojca, matki, sióstr – może się ożenić tylko z dziewczyną, której serce starał się pozyskać od dzieciństwa.

Tak więc młody człowiek, który mieszka u wuja, niech stara się przywiązać do siebie córkę wuja lub jakąś inną dziewczynę z domu lub z domów, w których bywa, choćby była ona przyobiecana komu innemu.

„Takie postępowanie, mówi Gotakamukha, *uzasadnione jest we wszystkich przypadkach; gdyż zawsze prowadzi do spełnienia Dharmy* (obowiązku religijnego)."

Kiedy młody człowiek upatrzy sobie dziewczynę lub się w niej zakocha, niech zawsze na wszelkie możliwe sposoby stara się jej przypodobać.

Kiedy spostrzeże, że ona go kocha, niech zabiega o to, by dogadzać jej upodobaniom i zapewnić wszelkie rozrywki, których ona pragnie. Wracając ze świąt ofiaruje jej kwiaty, wieńce na głowę, ozdoby i kolczyki.

Przede wszystkim stara się przeciągnąć na swoją stronę mleczną siostrę dziewczyny; potem poucza ją o sześćdziesięciu czterech sposobach doznawania rozkoszy zmysłowych, stosowanych przez mężczyzn i zachwala jej swoje talenty w tej dziedzinie.

Jest zawsze dobrze i strojnie ubrany, a także ma w miarę wesołą minę, gdyż dziewczyny darzą uczuciem mężczyzn, którzy są eleganccy, weseli i zawsze dobrze ubrani.

Młoda dziewczyna zawsze zdradza miłość przez pewne gesty i czyny. Nigdy nie spojrzy mężczyźnie prosto w oczy i odczuwa zażenowanie i zawstydzenie, gdy on na nią patrzy. Pod byle pozorem odsłania swe wdzięki; patrzy na niego ukradkiem, gdy on się oddala, spuszcza głowę, kiedy on zwraca się do niej z pytaniem, i odpowiada ze zmieszaniem i urywanymi zdaniami; lubi pozostawać długo w jego towarzystwie, mówi do służby tonem szczególnym, kiedy on znajduje się w pewnej odległości, aby przyciągnąć jego uwagę.

Stara się nie oddalać z miejsca, w którym on przebywa, wymyśla jakiś powód, aby mu pokazać różne przedmioty, opowiada powoli anegdoty, aby przedłużyć z nim rozmowę; całuje i ściska dziecko, które trzyma na kolanach, czyni wdzięczne lub śmieszne gesty, kiedy pokojówki rozmawiają z nią żartobliwie w obecności mężczyzny, który jej się podoba.

Okazuje jego przyjaciołom zaufanie, respekt i szacunek, jest dobra dla jego służących, słucha uważnie, kiedy mówią do niej lub do kogokolwiek o swym panu, udaje się do niego, kiedy mleczna siostra lub któryś z jego domowników zaprosi ją, by przyszła z nim porozmawiać lub z nim się bawić; unika tego, by ją oglądał w negliżu, poleca przyjaciółce doręczyć mu kolczyki, pierścienie, wieńce z kwiatów, które on chce zobaczyć; stale nosi wszystkie przedmioty otrzymane od niego w prezencie, okazuje rozpacz, kiedy rodzice mówią o innym konkurencie i gniewa się na każdego, kto popiera rywala.

A oto kilka wersetów na ten temat.

„Kto pozna po objawach zewnętrznych uczucie, które dziewczyna żywi do niego, powinien zrobić wszystko, co należy, by się z nią połączyć. Dziewczynę całkiem młodą niech pozyska dziecięcymi zabawkami, dużą pannę – swymi talentami (w dziedzinie Kamy oczywiście), a osobę dorosłą, która go kocha, przy pomocy pośredników, mających u niej zaufanie".

Kiedy zaś kochanek zdobędzie serce dziewczyny, kończy uwodzenie, chwytając się rozmaitych sposobów.

Kiedy bierze udział razem z nią w jakiejś grze lub ćwiczeniu, chwyta ją za ręce z wyraźnym zamiarem; łączy się z nią w różnych uściskach opisanych w Sutrze.

Niekiedy pokazuje jej wycinankę zrobioną z liścia drzewa, a wyobrażającą parę połączonych kochanków, zachwyca się widokiem pąków kwiatów i młodych liści, nabrzmiałych sokiem na wiosnę.

Opisuje swoje cierpienia i opowiada piękny sen, jaki śnił mu się o innej kobiecie.

Na zgromadzeniu kasty sadowi się obok niej i pod byle pozorem przytula się do niej; stawia swoją stopę na jej stopie, palcami dotyka delikatnie i po kolei palców jej nogi i uciska je czubkami paznokci.

Jeżeli nie natrafi na sprzeciw, niech weźmie następnie jej stopy do ręki i ściska jej delikatnie. Kiedy przypadkiem wstaje, niech ściska również palce jej ręki palcami nogi; ilekroć otrzymuje od niej lub daje jej jakiś przedmiot, niech okazuje gestami i wyrazem oczu miłość, którą do niej płonie. Niech opryska ją wodą, którą przyniesiono mu do płukania ust.

Kiedy znajdzie się z nią w ustroniu, niech ją darzy miłosnymi pieszczotami, opisując jej swą namiętność, nie wprawiając jej jednak w zakłopotanie i nie raniąc w czymkolwiek.

Ilekroć usiądzie przy niej na tej samej ławce lub łóżku, niech ją potem weźmie na stronę, mówiąc, że musi porozmawiać na osobności i wówczas wyzna jej miłość raczej gestami niż słowami. Niech weźmie jej rękę i położy na czole; jeżeli jest u niego w domu, niech ją zatrzyma pod pretekstem przygotowania sobie leku, który nie będzie skuteczny, jeżeli ona sama nie przyłoży ręki do jego sporządzenia.

Gdy odchodzi, niech ją usilnie prosi, by go znowu odwiedziła, a kiedy ośmielona zacznie to czynić częściej, niech wiedzie z nią długie rozmowy; *„Ponieważ*, mówi Gotakamukha, *jak wielka nie byłaby miłość mężczyzny do kobiety, to tylko dzięki słowom zostanie odwzajemniona"*.

W końcu, kiedy widzi, że dziewczyna jest w pełni uległa, może ją posiąść.

Kiedy mężczyzna nie może sam osiągnąć tego celu, niech się posłuży mleczną siostrą dziewczyny. Ta nakłoni dziewczynę, by go odwiedziła, i wszystko potoczy się, jak powiedziano wyżej.

Jeżeli nie ma siostry mlecznej, wysyła do niej jedną ze swych służących, która zostanie przyjaciółką dziewczyny i będzie pracować dla niej.

Niech tak postępuje, aby się z nią widywać w czasie zgromadzeń publicznych i spotkań prywatnych, a kiedy znajdzie się z nią sam na sam, niech ją zdobędzie. *„Gdyż*, mówi Watsjajana, *kiedy jest czas i miejsce po temu, żadna kobieta nie oprze się mężczyźnie, którego kocha"*.

Apendyks do rozdziału 4.

Opisane wyżej intrygi i machinacje, które są nie tylko akceptowane, ale nawet nakazane, mają swoje oparcie w księdze praw Manu. *Kamasutra* je tylko powtarza.

Mamy tu do czynienia z typowym przykładem tzw. m a ł ż e ń s t w a g a n d h a r w ó w, czyli małżeństwa zawartego na zasadzie zwykłego przyrzeczenia wierności. Nazwa pochodzi od związków między gandharwami (lubieżnymi półbogami o olbrzymich jądrach) a asparasami (boskimi kurtyzanami).

Poeta Kalidasa uczynił ten rodzaj małżeństwa sławny dzięki swemu dramatowi *Siakuntala*.

Księga Manu małżeństwu tego rodzaju daje pierwszeństwo przed innymi. Ale ustawodawca przystając na to, że wszystko jest dozwolone mężczyźnie, który stara się zawrzeć małżeństwo w taki sposób, nie miał na celu ani szczęścia obojga małżonków, ani też tego, by każda ze stron mogła zdecydować dobrowolnie o sobie. Racją nadrzędną stało się mniemanie, że małżeństwa z miłości są najpłodniejsze, a więc przyrost naturalny jest jedynym celem zasad, które mają ustalić stosunki między obojgiem płci.

Nawet idea przyjemności naturalnej miała być usunięta na plan dalszy, skoro wymagano od brata, aby połączył się z wdową po swym zmarłym bezdzietnym bracie w celu spłodzenia mu syna.

N i e c h o p r y s k a j ą w o d ą. Oblanie wodą twarzy gościa uchodzi w Indiach za wyraz grzeczności ze strony tego, komu podano wodę do mycia.

Wszystko wskazuje na to, że w czasach Watsjajany młode dziewczęta cieszyły się bardzo dużą swobodą w Indiach, co trzeba bez wątpienia przypisać wpływowi buddyzmu w tej epoce. Tej swobody nie ma tam dziś.

W *Kamasutrze* mówi się często o s i o s t r z e m l e c z n e j; dowodzi to, że w tym czasie zamożniejsze damy indyjskie nie karmiły piersią swych dzieci; siostry mleczne były wychowywane razem. Podobnie było w Rzymie za cesarstwa. Od poetów można się dowiedzieć, że damy rzymskie zatrzymywały przy sobie piastunkę, która stawała się ich oddaną powiernicą.

Opisane w rozdziale 4. rady, jak uwieść młodą dziewczynę, bardzo przypominają to, co zaleca Owidiusz dla zdobycia pięknej kobiety (*Ars Amatoria*):

„Jeżeli nie jest dostatecznie uległa i przychylna twemu uczuciu, znieś to i przetrzymaj! Wkrótce stanie się łatwiejsza.

Powolnością da się nagiąć gałąź drzewa; jeżeli wytężysz wszystkie siły, złamiesz ją.

Zalecenia mojej ostrożnej sztuki będą umiarkowane: ustępując, odejdziesz jak zwycięzca. Rób tylko, cokolwiek każe ci robić. Jeżeli potępia, potępiaj także, cokolwiek chwali, chwal, potakuje, potakuj, zaprzecza, zaprzeczaj, śmieje się, uśmiechaj się, jeżeli płacze, nie zapominaj zapłakać!

Niech ona decyduje o tym, jaki ma być wyraz twej twarzy. Jeżeli będzie grać w kości, ty rzucaj je nieudolnie i pozwól jej wygrać. Gdybyście zaczęli grać w szachy, poddawaj swe pionki!

Osłaniaj ją rozpiętą parasolką, toruj drogę, kiedy przeciska się przez tłum. Bez wahania podsuń stołek do łóżka i zdejmuj lub zakładaj sandały na jej drobne nogi! Często też ogrzewaj na swym łonie ręce ukochanej, choćbyś sam drżał z zimna. Nie uważaj również za coś hańbiącego, tym bardziej, że ta rzecz hańbiąca będzie się podobać, – trzymania przed nią lusterka.

Jeśliby kazano ci być na forum o określonej godzinie, zawsze przychodź wcześniej i nie odchodź, aż się zrobi późno! Biegnij, gdzie ci każe: zostaw wszystko! Biegnij, a tłum niech nie będzie w stanie cię zatrzymać!

Będzie nocą po obfitej uczcie wracać do domu: wówczas jeżeli zawoła na ciebie, idź z nią w charakterze sługi! Przebywając na wsi wezwie cię, ruszaj w drogę, nie bacząc na złą pogodę, upał czy śnieg.

Miłość jest rodzajem służby wojskowej: nie ma w niej miejsca dla leniwych ani tchórzy!

Komu zależy na trwałej miłości, musi pozbyć się dumy! Jeżeli nie będziesz mógł dostać się prostą drogą, jeżeli zastaniesz drzwi zaryglowane, spuść się przez otwór w dachu lub wśliźnij się przez wysoko położone okno. Będzie zadowolona: będzie uważać, że stała się powodem twego niebezpieczeństwa; przyjmie to też za dowód miłości.

Nie każę ci wcale dawać drogich prezentów ukochanej: dawaj skromne, ale wybieraj roztropnie. Cokolwiek zamierzasz zrobić, co uważasz za słuszne, rób zawsze tak, żeby przyjaciółka cię o to prosiła! Jeżeli któremuś z niewolników przyobiecano wolność, to niech on o nią prosi twoją panią; jeżeli masz darować niewolnikowi karę chłosty, niech on zawdzięcza to jej. Tobie przyniesie to korzyść, a uko-

chanej – zaszczyt. Jeżeli będziesz tak postępować, ona będzie sobie wyobrażać, że ma władzę nad tobą.

Jeżeli chcesz zatrzymać dziewczynę, zachwycaj się jej urodą. Chwal szmatki i ozdoby. Pokaże się w samej tunice, krzyknij: Budzisz namiętność! Jednocześnie proś z troską w głosie, by się wystrzegała przeziębienia! Chwal jej włosy, podziwiaj ramiona, gdy tańczy, głos, gdy śpiewa, a kiedy przestanie, proś, by nie przerywała. Bądź oczarowany wspólnym spaniem i rozkoszami w nocy. Choćby była gwałtowniejsza do Meduzy, stanie się łagodna i powolna. Uważaj tylko, żeby się nie zdradzić, żeby wyraz twojej twarzy nie przeczył słowom.

Kiedy ukochana poczuje się chora i położy się do łóżka, wówczas okaż jej miłość i czułość. Nie lekceważ jej choroby, wykonuj własnoręcznie wszystko, czego zażąda. Niech cię widzi, jak płaczesz, nie brzydź się jej całować, a jej wyschłe wargi niech piją twoje łzy.

Staraj się, by się do ciebie przyzwyczaiła: nie ma nic mocniejszego od przyzwyczajenia; nie żałuj trudu, by je u niej wyrobić. Niech zawsze cię widzi i słyszy, bądź przy niej dniem i nocą. Kiedy staniesz się pewny, że może jej ciebie brakować, że będzie tęsknić, oddal się. Pozwól jej odetchnąć – wyschnięta ziemia chciwie pije deszcz. Ale rozłąka nie może być za długa, z czasem bowiem wygasa namiętność. Nieobecna miłość idzie w zapomnienie, na jej miejsce pojawia się nowa".

Rozdział 5. Dziewczyna, która zdobywa męża

Kiedy dziewczyna nie ma wyjątkowych zalet, starannego wykształcenia, należy do rodziny bez pozycji i z tego powodu nikt z jej kasty nie stara się o jej rękę albo też kiedy dziewczyna, przestrzegająca nakazów rodziny i kasty, jest sierotą i nie ma krewnych, którzy by się nią zajęli, gdy nadejdzie pora, musi sama wydać się za mąż.

Będzie się starać zdobyć młodego mężczyznę, silnego i dobrze wyglądającego albo też mężczyznę, co do którego z powodu słabości jego charakteru, ma nadzieję, że zdecyduje się na małżeństwo z nią, nawet bez przyzwolenia rodziców.

Niech użyje wszystkich środków, aby go zniewolić, niech często go widuje i z nim rozmawia. Również jej matka posłuży się przyjaciółkami i jego mleczną siostrą, by dochodziło do częstych spotkań bądź to u przyjaciółek, bądź też gdzie indziej, z pożądanym mężczyzną. Dziewczyna ze swej strony niech stara się z nim znaleźć sam na sam w miejscu pewnym i od czasu do czasu daje mu w prezencie kwiaty, pachnidła, nasiona i liście betelu.

Niech zademonstruje mu posiadane talenty, jak wykonywanie masażu, drapanie i uciskanie paznokciami, niech rozmawia z nim o rzeczach, które mu się podobają i które go interesują, a nawet niech dyskutuje z nim nad sposobami pozyskania serca dziewczyny.

Autorzy starożytni są zdania, że dziewczyna, nawet gdy kocha, nie powinna robić pierwsza awansów, powinna jedynie ośmielić mężczyznę, starającego się o jej względy, pozwalać mu na pewne poufałości i przyjmować objawy jego miłości, nie dając poznać po sobie, że zauważyła jego namiętność.

Kiedy on będzie próbował ją całować, niech na początku na to nie pozwala; kiedy zażąda zespolenia, niech się na to nie godzi; pozwoli mu tylko, stwarzając przy tym duże trudności, na dotykanie zakrytych części ciała, a przeciwstawi się wszelkiej innej próbie.

Dopiero kiedy będzie całkiem pewna jego wypróbowanej miłości i zdecydowania, zgodzi mu się oddać, jeżeli on postanowił ożenić się z nią natychmiast.

Kiedy straci w ten sposób dziewictwo, zwierzy się z tego swym przyjaciółkom.

Apendyks do rozdziału 5.

F l i r t w p i e ś n i b a j a d e r. Całą intrygę, którą przeprowadza dziewczyna, pokazano dokładnie w pieśni bajader pt. *Rozmowa mężczyzny i kobiety w drodze.*

1. **Mężczyzna:** – Ty, co jesteś piękna jak paw i nosisz klejnoty z drogich kamieni, dokąd idziesz ze swymi ustami z koralu, oczami niebieskimi jak kwiat nilopalam? (...)

6. **Kobieta:** – Nazywam się Pulokadi (nimfa ziemska) i idę po wodę.

7. **Mężczyzna:** – Chętnie napełnię ci dzban, a następnie umieszczę ci go na głowie. (...)

10. **Kobieta:** – Wiem, czego chcesz ode mnie. Czy mężczyźni powinni sobie pozwalać na to, by włóczyć się za kobietami w drodze? (...)

15. **Mężczyzna:** – Przyszedłem rzucić ci do stóp wszystkie moje bogactwa, kiedy zobaczyłem cię, jak szłaś sama lekkim krokiem.

16. **Kobieta:** – Nie rozumiem ciebie; nie masz żadnego prawa iść za mną; zrobisz lepiej zawracając. (...)

21. **Mężczyzna:** – Biegłem za tobą, nie mogąc złapać tchu; miej litość nad moją męczarnią. (...)

26. **Kobieta:** – Mówisz do mnie bez ogródek, a może chcesz mnie znieważyć, zdzierając mi opaskę z bioder? Nie zawstydza cię moja odmowa? (...)

33. **Mężczyzna:** – Dla zakochanych nie ma odmowy ani wstydu. Jeżeli tego chcesz, dam ci pisemne przyrzeczenie małżeństwa.

34. **Kobieta:** – Ponieważ przyjąłeś na siebie to zobowiązanie, wyznam ci, że wbrew sobie zakochałam się w drodze.

35. **Mężczyzna:** – Jeżeli przystaniesz na to z ochotą, dostarczę ci rozkoszy cielesnej. (...)

38. **Kobieta:** – Zrób to zamiast dyskutować, a rysy twojej twarzy nie zatrą się nigdy w mojej pamięci.

39. **Mężczyzna:** – Obiecaj mi, że nigdy nie zapomnisz o mnie, bo ja chcę ci powiedzieć, że masz spryt kobiety, jakiego nie ma żadna dziewczyna, choćby przyszła po raz siódmy na świat.

40. **Kobieta:** – Dziewczyny zawsze odznaczają się sprytem. Ale przestań mówić. Weź się do dzieła zalecanego przez księgę miłości (*Kamasutrę*). (...)

42. **Kobieta:** – Ściskaj najpierw moje piersi, ukochany, patrząc mi w oczy i ssąc moje usta. (...)

46. **Kobieta:** – Przeniknij mnie całym swym ciałem, ściskając moje uda. Daj mi swoje życie. (...)

49. **Mężczyzna:** – Ściskam cię z taką miłością i w takim uniesieniu, że aż śpiewają papugi i kukułki. (...)

54. **Kobieta:** – Już odchodzisz. Zostań i powiedz chociaż, czy jesteś zadowolony, bo w ten sposób pozostawisz radość w moim sercu.

55. **Mężczyzna:** – Wracam do domu, by przysłać do ciebie mego starszego brata, który zajmie się zawarciem naszego związku.

56. **Kobieta:** – Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś mnie oszukał, obiecując, że się ze mną ożenisz. Nikt nas tu nie widział.

57. **Mężczyzna:** – Nie lękaj się, biorę na świadków niebo i ziemię, słońce i księżyc.

58. **Kobieta:** – Wystarczy, dziękuję ci, kochany; możesz odejść, ja także wracam do domu.

Rozdział 6.
Rodzaje małżeństwa

1° Kiedy dziewczyna, którą uwiódł młody człowiek, należy już całkiem do niego, on pokazuje się z nią publicznie, jak z żoną; poleca przynieść z domu bramina święty ogień, rozsypuje po ziemi zioła kusza, składa ofiarę ognia i dokonuje zaślubin bez świadków, według religijnego rytuału stosownie do rodzaju małżeństwa.

Po ceremonii ślubnej młody człowiek zawiadamia rodziców dziewczyny o fakcie dokonanym. Według autorów starożytnych małżeństwo zawarte w obecności ognia jest nierozerwalne. Powiadamia się także wszystkich krewnych współmałżonków, starając się pozyskać ich przychylność. Takie są zaślubiny według zwyczaju gandharwów.

Kiedy jednak dziewczyna nie może przybyć lub nie chce wyrazić chęci zamążpójścia, kochanek osiąga to jednym z następujących sposobów:

Korzystając z pomocy pośrednika, pod jakimś pozorem ściąga do siebie dziewczynę, a kiedy ona przyjdzie, każe przynieść z domu bramina święty ogień i przystępuje, jak się wyżej rzekło, do ceremonii ślubnej.

Kiedy młoda dziewczyna, której pragnie, ma wkrótce poślubić innego, pogrąża rywala w oczach matki i w zmowie z nią każe przyprowadzić dziewczynę do domu sąsiada, dokąd wcześniej polecił przynieść ogień i przystępuje, jak się wyżej rzekło, do ceremonii ślubnej. Albo też postępuje podobnie będąc w zmowie z bratem dziewczyny, którego stara się pozyskać na wszystkie możliwe sposoby.

Te przypadki można odnieść do zwyczaju gandharwów; zakłada się bowiem, że dziewczyna wyraziła milcząco zgodę.

2° Będąc w zmowie z mleczną siostrą, każe uśpić lub upić dziewczynę, następnie zabiera ją w bezpieczne miejsce i tam bierze ją w posiadanie. Po przebudzeniu się dziewczyny dokonuje ceremonii ślubnej. Jest to zwyczaj zwany zwyczajem wampirów-pajsiacza, według księgi Manu.

3° Kiedy dziewczyna udaje się do ogrodów publicznych lub do sąsiedniej wsi, kochanek napada na ludzi, którzy jej strzegą, rozpędza ich lub zabija, następnie porywa dziewczynę i przystępuje do ceremonii ślubnej. Jest to zwyczaj zwany zwyczajem gigantów-raksasa, według księgi Manu, czyli małżeństwo przez porwanie, co było rozpowszechnione wśród wojowników. Przypomina ono porwanie Sabinek lub uprowadzanie panien w średniowieczu.

Watsjajana dochodzi do wniosku, że zgodnie z prawem Manu każdy z wymienionych rodzajów małżeństwa jest lepszy od tych, które po nim kolejno następują. Należy uciekać się do jednego z nich tylko wówczas, kiedy wszystkie, które go poprzedzają w wyliczaniu, nie dały się zastosować.

VII.
Harem królewski

Rozdział 1.
Stosunki króla z żonami

Żony króla wiodą żywot próżniaczy, wśród luksusu i rozrywek; nigdy nie każe im się robić czegoś, co by było męczące.

Biorą udział w świętach, koncertach, przedstawieniach, gdzie podejmuje się je z honorami, ofiarowując im napoje orzeźwiające.

Zabrania się im wychodzić samotnie; do haremu wpuszcza się jedynie kobiety bardzo dobrze znane strażnikom i służbie.

Kobiety przyjęte na służbę żon haremowych każdego ranka zanoszą królowi kwiaty, ubrania i upominki od żon. Król obdarowuje tym kobiety, daje im też podobne przedmioty, które nosił poprzedniego dnia.

Po południu król, mając na sobie wszystkie ozdoby, składa wizytę żonom, również wystrojonym na jego przyjście; wszystkim okazuje należny szacunek i wskazuje każdej jej miejsce, po czym prowadzi z nimi wesołą pogawędkę.

Następnie odwiedza wdowy-dziewice powtórnie zamężne, konkubiny i bajadery, każdą w jej pokoju.

Kiedy król zakończy sjestę, przełożona haremu, zobowiązana do wybrania mu żony na noc, idzie po nią w towarzystwie służących żony, której kolej nadeszła i służących innej żony, której kolej mogła być pominięta przez pomyłkę lub z powodu niedyspozycji.

Osoby towarzyszące ofiarowują królowi olejki i pachnidła przysłane przez ich panie i oznaczone znakiem ich pierścieni; tłumaczą mu także motywy tego przesłania. Król przyjmuje prezent jednej z nich: tym samym zostaje ona powiadomiona o jego wyborze.

Niektórzy królowie, kierując się skrupułami lub współczuciem, używają środków podniecających, by móc obsłużyć wiele żon w ciągu jednej nocy. Drudzy, na odwrót, łączą się tylko z tymi, które im odpowiadają, zaniedbując inne. Większość wyznacza każdej jej kolej.

Apendyks do rozdziału 1.

B a j a d e r y. Najwyższą klasę kurtyzan, o czym będzie mowa w części ostatniej, reprezentują w Indiach bajadery. W epoce, w której tworzył Watsjajana, tj. przed podbojem muzułmańskim, żyły w Indiach jedynie bajadery związane z kultem religijnym. Ich oficjalne zajęcie polegało na tym, że rano i wieczorem tańczyły i śpiewały w świątyniach, a także podczas uroczystości publicznych.

Każda ważniejsza pagoda ma własną trupę bajader, liczącą nie mniej niż osiem dziewcząt i towarzyszących im stale muzykantów. Trupa taka składa wizytę wysoko postawionym osobistościom, co się staje okazją do tańców i otrzymywania gratyfikacji. Na występy taneczne zapraszają je także rodziny, zwłaszcza z okazji zawierania małżeństwa. Większość podarunków, które otrzymują w tych okolicznościach, zabierają bramini i towarzyszący im muzykanci. Czysty dochód mają dopiero ze swych kochanków.

Bajadery są dziś jedynymi kobietami w Indiach, którym wolno tańczyć i przymilać się do mężczyzn. Utrzymanie bajadery jest nie tylko wysoką ceną dobrego tonu czy dobrego smaku, jak w Europie trzymanie koni, ale także czynem zasługującym na nagrodę. Często bramini śpiewają wersety mówiące, że stosunek cielesny z bajaderą jest zasługą, która zmazuje grzechy (pokuta jest słodka!...).

Jak wszystkie osoby, niezależnie od płci, bajadery zachowują się publicznie z absolutną rezerwą i również z tą samą rezerwą są traktowane przez mężczyzn.

Bajadery mogą pochodzić ze wszystkich kast oprócz kasty pasterzy (niska kasta siudrów). Dziewczyny, które mają być przyjęte na służbę świątyni, są poślubione bogu wojny, od chwili kiedy staną się dojrzałe. Gdy się zestarzeją, zwalnia się je ze służby; bramini, którzy wyzyskali ich młodość, przykładają im rozpalone żelazo do uda (jak wybrakowanym koniom) ze znakiem pagody, gdzie służyły i wręczają dokument, który zezwala im na żebractwo. (Ksiądz Dubois, *Obyczaje i zwyczaje Indii – Moeurs et coutumes de l'Inde,* opowiada to, mówiąc o pięknych

kobietach, które bramini wybierają z tłumu w czasie wielkich świąt i poświęcają bogu pagody).

Strój bajadery mają gustowny i bardzo bogaty; noszą opaskę ze złota, złote klejnoty na czubku głowy, złote kolczyki w uszach i złote bransolety. Gdy tańczą, bransolety dźwięczą, akompaniując ich ruchom. Są one na ogół piękne i pełne wdzięku, zawsze zaś dobrze zbudowane. Ich taniec jest pantomimą bardzo wyszukaną, w której występuje na ogół jedna bajadera w towarzystwie muzyków. Poza obrębem świątyń pantomima przedstawia różne fazy zmagań miłosnych, opiewanych przez towarzyszących muzyków. Charakter takiej pantomimy i śpiewanej pieśni wiernie oddaje pieśń bajader pt. *Rozmowa mężczyzny i kobiety w drodze.* W świątyniach natomiast śpiewa się hymny na cześć bogów lub opiewa ich miłosne i wojenne przygody.

Popisując się przed Europejczykami dają niekiedy upust fantazji, parodiując tańce i maniery dam z półświatka. Bywa też, że zbiera się razem mnóstwo bajader dla wykonania tańca zespołowego; tańczą one jednak zawsze tylko w miejscu.

Bajadery bramińskie z powodu ich sakralnego charakteru oddają się Europejczykom w dużym sekrecie, gdyż uważa się ich za nieczystych. Inaczej ma się rzecz z bajaderami muzułmańskimi, które są zwykłymi tancerkami. Panuje nawet zwyczaj ofiarowywania ich Europejczykom, przed którymi tańczą. Są to jednak bardzo niebezpieczne piękności, co potwierdza Victor Jacquemont (1801–1832) i inni podróżni. Ich tańce mają więcej wdzięku i życia niż tańce bajader bramińskich i przypominają tańce hiszpańskie i mauretańskie.

W Algierii są takie tancerki, które popisują się w czasie świąt arabskich, a nawet europejskich. Stoją one niżej pod względem sztuki tańca od bajader indyjskich. Ich pantomima, również wykonywana w miejscu, polega głównie na ruchach bioder i brzucha, co podoba się bardzo Arabom, ale co w Indiach zostałoby uznane za bezwstydne, jedynie bowiem gesty i spojrzenia bajader są prowokujące.

Rozdział 2. Miłostki króla

Król nie zawsze zadowala się swymi żonami; miewa również miłosne kaprysy, nawet wobec kobiet zamężnych.

Król i ministrowie nie odwiedzają nigdy poddanych; ci bowiem bacznie ich obserwują i starają się naśladować. Toteż nie mogą dopuścić się publicznie żadnego czynu, który mógłby znaleźć się na cenzurowanym. Poeta napisał nawet:

„Król, któremu leży na sercu dobro ludu, szanuje żony innych".

„Król, który triumfuje nad sześcioma nieprzyjaciółmi człowieka, podbije świat." (Mowa tu o sześciu grzechach głównych Hindusów, siódmy, obżarstwo, nie był im znany).

Kiedy jednak król uważa za stosowne oddalić te skrupuły, powinien postępować według jednego z następujących sposobów:

W pewnych okresach kobiety ze wsi i miasta odwiedzają żony królewskie w haremie i w ich apartamentach spędzają noc na rozmowach i rozrywkach, a rankiem odchodzą.

Przełożona służby haremowej, zaprzyjaźniwszy się wcześniej z piękną kobietą, której król pożąda, zaprasza ją rano, w chwili, kiedy ona ma zamiar odejść, do dokładnego zwiedzenia pałacu. W rozmowie na uboczu używa całego swego sprytu, aby ją nakłonić do spełnienia pragnień króla. Jeżeli spotka się z odmową, nie daje po sobie poznać niezadowolenia, pozostaje nadal bardzo miła i prosi tylko o przyjęcie podarków królewskich; potem odprowadza ją poza pałac i serdecznie żegna.

Osoba, której król pragnie, może również przybyć do haremu na zaproszenie jednej z żon króla; król poznał tę osobę przez jej męża lub za pośrednictwem służby haremowej. Wówczas powinna przyjść zausznica króla i postępować tak, jak powiedziano wyżej. Albo też pierwsza żona króla, pod pretekstem, że chce się nauczyć od niej jakiejś umiejętności, wzywa pożądaną kobietę.

Lub jeżeli mąż tej kobiety obawia się czegoś ze strony króla czy ministrów, niech żona króla nakłoni ją przez pośredniczkę, by przyszła do pałacu, zabiegać o jej wstawiennictwo. Dalej sprawy będą przebiegać tak, jak w poprzednich razach.

Podobnie będzie się postępować, jeżeli mąż kobiety jest w potrzebie lub w opresji, lub jeżeli stara się o coś albo zabiega o łaskę księcia, bo pragnie się wybić, gdy członkowie kasty nie dopuszczają go do siebie, albo jeżeli jest to szpieg na usługach króla.

Jeżeli osoba pożądana żyje z mężczyzną, który nie jest jej mężem, król każe ją uwięzić, uznać za niewolnicę z powodu złego prowadzenia się i umieścić w haremie.

Jeżeli pożądanej kobiecie nie da się nic zarzucić, wysłannik króla, za jego namową, denuncjuje męża; następnie każe się uwięzić kobietę jako żonę nieprzyjaciela króla, w końcu sprowadza się ją do haremu.

Król nie powinien nigdy odwiedzać poddanego dla miłosnej przygody. Wielu królów przypłaciło życiem taką nieroztropność. Niekiedy jednak miejscowe zwyczaje ułatwiają królowi miłostki.

U mieszkańców Andhra król korzysta z prawa do spędzania z żoną poddanego jej nocy poślubnej (*ius primae noctis*);

U mieszkańców Watsagulma żony dostojników usługują w nocy królowi.

Mieszkańcy Waidarbhas, gdzie są piękne kobiety, wysyłają je z przywiązania do księcia, by spędziły noc w haremie.

U mieszkańców Aparatakas ci, co mają piękne żony, ofiarowują je dostojnikom królewskim.

Wreszcie w kraju Saurasztras kobiety z miasta i ze wsi pojedynczo lub grupowo odwiedzają harem dla zaspokojenia zachcianek króla.

Apendyks do rozdziału 2.

Miłostki króla Agniwarany. W XIX pieśni poematu *Raghuwansia* (Dynastia Radhu) poeta Kalidasa opisał historię króla Agniwarny, czarującego księcia indyjskiego, obraz ten jest dla Hindusów ideałem królewskich rozkoszy.

„Sprawując przez kilka lat rządy państwa, rozwiązły Agniwarana postanowił przekazać je ministrom, a sam poświęcił się miłości z lubieżnymi kobietami. W pałacu, gdzie nigdy nie zamilkł bębenek, gdzie święto dnia następnego górowało nad świętem dnia poprzedniego, król, niezdolny przeżyć choćby jednej minuty bez rozkoszy, nocą i dniem zabawiał się ze swymi żonami.

Jego sadzawki były pełne lotosów, które kołysały się potrącane sterczącymi jak dzidy piersiami swawolnych konkubin; kryjówki rozkoszy chowały się tam pod kwiatami. Płonąc miłością, zanurzał się w wodzie; tam żony bez szminki i zasłon podniecały jego żądze wdzięcznymi i lubieżnymi ruchami. W ich towarzystwie kierował swe kroki do miejsc, gdzie były urządzone z gustem pijalnie i tam raczył się napojami, wprowadzającymi w stan upojenia.

Na jego piersi spoczywała zawsze lira o czarujących dźwiękach lub piękność o słodkim głosie i cudnych oczach. Uderzając rękami w bębenek,

poruszając girlandami i bransoletami, utalentowany muzyk wprawiał duszę w zachwyt; słuchające go tancerki zapominały o swojej pantomimie; spijał wówczas pocałunki z ich ust, przekazując im wiatr miłości swych warg. Nieraz jego kochanki, które zwodził, wiązały go za karę swymi opaskami, grożąc koniuszkiem palca, karcąc rozgniewanym wzrokiem i zmarszczeniem brwi. Królowe, rzucone na pastwę gwałtownej miłości i zazdrości, korzystały z każdego święta, by móc zaspokoić jego życzenia. Sam barwił stopy swoich żon, lecz po to, by podziwiać czarujące nogi i wszystko, co pozwalały dojrzeć rozwiązane opaski i luźne szaty. Niekiedy jego lubieżne żądze napotykały opór: jakieś usta odwróciły się od pocałunku, czyjeś ręce przytrzymały opaskę, którą chciał rozwiązać, ale te sztuczki były tylko drewnem dorzucanym do ognia miłości.

Wyczerpane rozkoszą żony zasypiały na jego szerokim torsie, z którego bujnymi piersiami zmazywały maść sandałową.

Jeżeli w czasie snu wymknęło mu się imię rywalki, te, co były z nim razem, zraszały łzami brzeg pościeli i na próżno zrywały swoje bransolety w miarę, jak on rzucał się na łóżku.

Jeżeli usiłował wymknąć się na nocną schadzkę, żony stojące na czatach przyprowadzały go z powrotem: – dlaczego, lubieżniku, niesiesz gdzie indziej to, co nam się należy?

Kiedy podnosił się z łóżka, kochanki zarzucały mu ręce na szyję, uciskając podeszwą swych stóp palce jego nóg, domagały się pocałunku na pożegnanie.

Jego łoże żółte od sandału, czerwone do laki, pełne porwanych opasek i rozrzuconych bukietów świadczyło o porywach walki.

Wówczas przychodziły do niego inne rozgniewane żony; próbował je uspokoić, składając ręce, ale jego bezsilność w miłości gniewała je jeszcze bardziej. Jeżeli chciał się oddalić pod pozorem załatwienia sprawy z przyjacielem, chwytały go za włosy i zatrzymywały, mówiąc – Aha, zdrajco, ten przyjaciel to przyjaciółka; twoja ucieczka jest zwykłym podstępem!

Kiedy udawało mu się wymknąć, szedł na wieś, gdzie powiernicy wiedli go do altan splecionych z lian tajemnych. Tam na łożach z kwiatów kosztował rozkoszy w ramionach pięknej służącej.

Latem spędzał noce na tarasach pałacu, rozkoszując się blaskiem księżyca, bez chmur, który rozpraszał miłosną fatygę. Tam żony odziane w powietrze, o czarujących kibiciach, zachwycały go złotymi przepaskami; świetliste i szemrzące upajały go przyjemnym zapachem żywicy i aloesu. Ten potężny monarcha, groźny dla sąsiadów, nie potrafił nigdy zapanować nad sobą. Zapadł na chorobę piersiową. Kiedy uświadomił sobie swój stan, nie chciał innego lekarza oprócz swych żon; ugodzony śmiertelnie w ich objęciach, chciał w nich umrzeć.

Zgasł jak wypalona lampka, bez potomstwa, wśród żon, które trzymały go w uścisku.

Rozpusta cesarzy rzymskich. Z tymi niewinnymi miłostkami króla Agniwarany wyraźnie kontrastują orgie cesarzy rzymskich.

Tyberiusz. – Tyberiusz wycofawszy się na Capri, sprowadził z różnych stron grupy młodych chłopców i dziewcząt oraz wynalazców odrażającego stosunku, których nazywał spintriami; ci ostatni bowiem łącząc się w uścisku i tworząc potrójne ogniwo, oddawali się rozpuście w jego obecności, by rozpalić w nim żądze.

Polecił w wielu miejscach urządzić pokoje ozdobione malowidłami i rzeźbami przedstawiającymi sceny oraz figury najbardziej wyuzdane, a także wyposażyć je w księgi *Elefantydy*, aby nikomu nie zabrakło wzorów do nakazanej pozycji.

Wyćwiczył bardzo małe dzieci, aby baraszkowały i bawiły się między jego udami, kiedy pływał (były to jego małe rybki), lizały i gryzły go delikatnie. Inne dzieci, jeszcze nie odstawione od piersi, przyuczył do tego, by chwytały jego członek jak pierś matki i ssały go.

Kaligula. – Kaligula uwiódł Waleriusza Katullusa, młodzieńca z rodziny konsularnej, i dopuszczał się kazirodztwa z dwiema siostrami. Zapraszał na ucztę wraz z mężami kobiety najbardziej dystyngowane; robił ich przegląd, jak to czynią handlarze niewolników, zabierał do sąsiedniego pokoju tę, która mu się podobała i wracając ze śladami rozpusty, chwalił lub ganił to, co miała dobrego lub złego zarówno w uprawianiu miłości jak i w urodzie.

Neron. – Nie mówiąc o wolnourodzonych, z którymi miał stosunki, kobietach zamężnych, które zdeprawował, Neron dopuścił się gwałtu na westalce Rubii. kazał też wyciąć jądra chłopcu imieniem Sporus i starał się go przemienić w kobietę. Kiedy chłopca w ślubnym welonie z wielką pompą i posagiem – jak każe zwyczaj – sprowadzono do Nerona, ten nadał mu godność żony.

W końcu wymyślił coś w rodzaju nowej zabawy. Przywdziewając na siebie skórę, zajmował miejsce dzikiego zwierzęcia w cyrku i rzucał się na organy płciowe nagich mężczyzn i kobiet przywiązanych do pali. Zniewagę tę czynił na oczach publiczności młodzieńcom i dziewicom chrześcijańskim. Stąd, zdaniem Renana, wywodzi się bestia, o której jest mowa w Apokalipsie, a która oznacza Nerona.

Domicjan. – Domicjan nie miał potwornych wad Tyberiusza czy Nerona. Jednakże podzielał i rozpowszechniał ogólne zepsucie. W czasie świąt kazał kobietom schodzić na arenę pomiędzy gladiatorów i zwierzęta. Młodym dziewczynom polecał biegać po stadionie, podczas gdy sam przewodniczył zawodom, na modłę grecką ubrany w purpurowe szaty i złotą koronę.

Żeby przypodobać się ludowi nadal urządzał przedstawienia, w czasie których odtwarzano sceny mitologiczne równie okrutne, co bezwstydne. Marcjalis, jego protegowany, przekazał nam wspomnienia o nich w epigramach I księgi:

Spektakl o Pasifae: „Uwierzcie, że Pasifae została pokryta przez byka z Krety; wszystko, o czym mówi legenda, odtworzono na scenie, która rozegrała się na naszych oczach."

Męczarnie Prometeusza: „Prometeusz przykuty do skały w Scytii karmi swymi wnętrznościami nienasyconego sępa, podobnie Laureolus przywiązany do prawdziwego krzyża ofiarował swą nagą pierś niedźwiedziowi z Kaledonii.

Jego rozszarpane członki drgały w konwulsjach i całe ciało nie było już ciałem. Ten łotr prześcignął bez wątpienia zbrodniarzy, o których mówi starożytność".

Dedal: „Dedalu, kiedy byłeś rozszarpywany przez niedźwiedzia z Lukanii, jakże wówczas pragnąłeś mieć skrzydła".

Tymi ofiarami byli chrześcijanie skazani na śmierć za zbrodnie stanu.

Heliogabal: „Heliogabal przemierzał ulice Rzymu w bezwstydnej pozie i podejrzanym towarzystwie na wozie ciągnionym przez nagie kobiety".

Plotki z dawnych lat

O Francesce da Rimini.

„Nie ma dotkliwszej boleści
niż chwile szczęścia wspominać w niedoli..."

Czasem te słowa obiją nam się o uszy, nie pamiętamy jednak dobrze ani kto je napisał, ani w czyje usta zostały włożone. Ten dwuwiersz to wyjątek z pieśni V „Piekła" „Boskiej Komedii" Dantego Alighieri (1265–1321) w tłumaczeniu Edwarda Porębowicza.

Wędrując po czeluściach drugiego kręgu piekła, napotkał Dante duszę biednej pokutnicy, która opowiedziała mu dzieje swej miłości.

Francesca, piękna córa Guida da Polenta z Bolonii, poślubić miała Giovanniego Malatestę z Rimini, nieznanego jej przedtem. Na ślub do Bolonii przybył brat narzeczonego – Paolo, zwany „il bello" (piękny), aby w zastępstwie (per procura) Giovanniego stanąć z nią przed ołtarzem.

„Nie wiedziała biedaczka o tej zmianie – opowiada Giovanni Boccaccio (1313–1375) – i gdy po ślubie z miłością do Paola zbudzoną w sercu znalazła się w łożnicy z wstrętnym Giovannim Sciancato („kulawcem"), rozczarowanie było zbyt wielkie."

W zamku Malatestów wzajemna miłość Paola i Francesci trwała w ukryciu „czasem nad księgą zbiegło się spojrzenie i zdejmowało z lic barwny rumieniec – ale nas zmogło jedno okamgnienie, kiedyśmy doszli, gdzie usta kochane rycerz całował... W ten dzień jużeśmy nie czytali więcej"... mówi Dantemu Francesca.

Kiedy sprawa się wydała, wpadł do komnaty zazdrosny „kulawiec" i wściekłymi pchnięciami sztyletu zabił żonę i brata. Pochowano ich razem.

W 1581 roku kronikarz Corsucci zanotował: „Przed paru dniami w kościele św. Augustyna w Rimini odnaleziono w grobowcu Paola Malatestę i Francescę... oboje ciosem sztyletu nędznie zgładzonych... Których szaty były jedwabne, a ponad trzysta lat w rzeczonym grobie przebywając, zdawały się piękne i jak nowe...

Tragicznie zakończony romans stał się natchnieniem malarzy i poetów. Dziś mało kto o nim pamięta.

O byku w mediolańskiej galerii

Niezbyt daleka to przeszłość, gdyż Galleria Vittorio Emanuele II, łącząca plac La Scala z placem katedralnym, wybudowana została w latach 1865–77. Znajdują się w niej eleganckie sklepy, redakcje i historyczna już kawiarnia „Biffi" – miejsce spotkań cyganerii w czasach „Belle Epoque", a posadzka wykładana mozaiką nosi godła miast Italii. Mieszkańcy miasta, przechodząc galerią, zatrzymują się przed wyobrażeniem potężnego byka w herbie Turynu i dotykają czubkiem buta lub obcasem jego genitalii, co podobno ma przynosić szczęście. Głęboką dość dziurę w mozaice, wywierconą obcasami przesądnych mediolańczyków, wypełniono metalem, który zatarł wyrazistość rysunku...

O nagrobku w Montefiascone.

W orszaku towarzyszącym niemieckiemu cesarzowi Henrykowi II, udającemu się w roku 1111 do Rzymu na koronację, znajdował się biskup Johann Fugger ze znanej rodziny bankierów z Augsburga. Wielki amator wina wysyłał swego sługę, aby wyprzedzając orszak wynajdował mu kwaterę, gdzie wino było najlepsze. Aby zaznaczyć miejsce – sługa pisać miał kredą na okiennicy lub drzwiach jedynie słówko „Est" (Jest), aby jego pan zorientować się mógł natychmiast. Gdy dotarł na wzgórze Montefiascone, gdzie poczęstowano go wybornym muszkatelem, z entuzjazmem napisał trzykrotnie Est, Est, Est!, a biskup takie znalazł upodobanie w trunku, że przez nie zapił się na śmierć. Umierając zdołał jeszcze zadysponować, aby na jego grób wylewano w rocznicę jego śmierci beczułkę muszkatela, przeznaczając na ów obrządek znaczną sumę. W kościele San Frediano w starej posadzce znajduje się dziś jeszcze kamień nagrobny biskupa, na którym sługa wyryć polecił słowa: „Per causam Est Est Est Doucinus mens mortuus est" (z powodu Est Est Est pan mój zmarł).
Po wielu latach jeden z biskupów Montefiascone uważając, że wylewanie wina na nagrobną płytę jest profanacją (grobu czy wina?) polecił beczułkę muszkatela dawać corocznie miejscowym seminarzystom.

O człowieku w żelaznej masce.

Plotki, romanse, powieści, zastępujące w minionych czasach dzisiejsze kryminały, donosiły w czasach Ludwika XIV o tajemniczym więźniu Bastylii. Przypuszczano, że człowiek w żelaznej masce, zakutej wokół głowy – to bliźniak „Króla Słońce", trzymany w ścisłym odosobnieniu przez wszechmocnego kardynała Richelieu, nie cofającego się przed żadnym sposobem, który mógłby wzmocnić jego pozycję. Późniejsze badania dotyczące identyfikacji „Żelaznej Maski" wskazują na włoskiego dyplomatę hr. Ercole Antonia Mattiolę urodzonego w Bolonii w 1640 roku, a zmarłego w Paryżu w 1703. Sporządził on dla księżnej Sabaudii kopię tajnego kontraktu, mocą którego Ferdynand Gonzaga (książę Mantui) odsprzedał Francji tereny Casale-Montferratu. Porwany przez siepaczy francuskich w czasie swej misji, uwięziony został początkowo w Pinerolo, później w nadgranicznej twierdzy Exilles, skąd w 1698 roku przewieziono go do Bastylii. Jedynym człowiekiem, poza strażnikami, który zetknął się z „Żelazną Maską", był jakoby kawaler de Saint-Mars, który opisał żelazną obręcz z wizjerem i czarną zasłoną na twarzy nieszczęsnego dyplomaty, ofiary politycznych knowań...

O tarantuli.

Dziwne zjawisko „tarantulizmu", obserwowane dziś jeszcze w osadach i miasteczkach półwyspu Saletyńskiego, badane było przez grono specjalistów w lecie 1959 roku. Osoby ukąszone jakoby przez jadowitego pająka tarantulę chorowały z objawami bólów, gorączki i konwulsji do momentu, kiedy w takt odpowiadającej im muzyki nie wykonały swego tańca, trwającego niekiedy bardzo długo, aż do zupełnego wyczerpania.
Badacze, uważając za bajkę skutki ukąszenia nieszkodliwego pająka, skłaniają się do mniemania, że „chorobę" powoduje rodzaj stresu podczas pracy w żarze słońca, a wyładowanie go w tańcu przynosi ulgę. „Chorzy" często nie wiedzą nawet, w które miejsce zostali ukąszeni ani w jakim czasie. Objawy te, z rocznymi nawrotami, trwają niekiedy całe lata. Ustać mogą – jak twierdzą wieśniacy – po odbyciu pielgrzymki do kaplicy w miasteczku Galantina (prowincja Lecce).
W XVII wieku biskup Polignano – oświecony mediolańczyk z północy nie wierzył również w skutki ukąszenia pająka. Rozkazał przynieść sobie w koszyku parę tarantul i przytknął koszyk do obnażonej piersi, poddając się ukąszeniom. Zebranym licznie widzom zwrócił kosz z uśmiechem, mówiąc, że „tarantulizm" jest głupim przesądem. (Złośliwe języki donosiły, że po trzech dniach powracające konwulsje, gorączka i bóle zmusiły sceptycznego biskupa do zwołania czym prędzej muzykantów, a gdy wykonał długi i wyczerpujący taniec – wyzdrowiał...)

W ruinach starożytnego miasta „Petelli", koło kalabryjskiego miasteczka Strongoli odkryto złotą broszkę z pradawnym greckim tekstem. Wskazuje on, jak zachować ma się dusza zmarłego, aby osiągnąć wyżyny niedostępne niewtajemniczonym w misteria, (orfickie?): „Po lewej stronie domów Ady (?) – mówi tekst – znajdziesz źródło, a obok białą topolę. Nie zatrzymuj się przy tym źródle – znajdziesz inne, z którego płyną czyste wody z jeziora Mnemozyny[1]. Strzegącym go strażnikom powiesz: „Jestem córą ziemi i gwiezdnego Uranosa, a ród mój jest boski – i wy o nim wiecie. Płonę z pragnienia i zagubiłam się, dozwólcie mi pić zaraz z boskiego źródła Mnemozyny". I pozwolą ci pić z boskiego źródła – a potem odżyjesz razem z innymi herosami..."

1) Mnemozyna – mitologiczna matka Muz. Uosobienie „Pamięci".

O pani Ginevrze degli Amieri.

W połowie XIV wieku w domu na zbiegu ulicy Calzolai i via dell'Oche we Florencji zamieszkał ser Francesco Agolati z żoną Ginevrą degli Amieri. Nie było to małżeństwo szczęśliwe. Piękna, młodziutka Ginevra, zakochana była po uszy (i z wzajemnością) w Antoniu Rondinelli, rodzina jednak zdecydowała się wydać ją za bogatego i bardziej ustosunkowanego konkurenta.
Straszliwa zaraza, która w 1348 roku nawiedziła miasto, poczyniła wśród mieszkańców ogromne spustoszenia. „Confraternia della Morte" – bractwo zajmujące się pochówkami i „della Misericordia" – miłosierdzia, nie nadążały z uprzątaniem zmarłych z mieszkań i ulic miasta. Zachorowała też Ginevra, a leżącą bez oznak życia w stanie letargu zabrała pośpiesznie służba sanitarna. Aby uniknąć wrzucenia „zmarłej" do wspólnego dołu, skrzyknięto rodzinę i wśród powszechnego żalu umieszczono w rodzinnym grobowcu w katedrze Santa Maria del Fiore. Po kilku godzinach Ginevra ocknęła się z odrętwienia. Przerażenie wywołane ciemnością i zamknięciem dało jej niezwykłą siłę – zdołała odsunąć kamienną płytę grobowca. Wśród nocy pobiegła do domu. Zastukała do drzwi. Otworzył jej mąż Francesco, a widząc słaniającą się postać wykrzyknął przerażony „zgiń, przepadnij biedna duszo – dam na mszę za twe zbawienie" i prędko zatrzasnął podwoje. Pobiegła do rodziców. I tu jej najbliżsi krzykiem i znakiem krzyża odpędzili ją od progu. Wówczas, resztką sił, dowlokła się do drzwi ukochanego Antonia. I on wstrząśnięty był widokiem „ducha", gdyż był na jej pogrzebie, lecz i ten duch był dla kochającego człowieka kimś drogim i kochanym. Wziąłją w ramiona, a widząc, że nie jest zjawą, przy pomocy swej matki po wielu dniach wydarł ją śmierci. A gdy minęła zaraza, pani Ginevra, po dłuższym pożyciu z ukochanym, zjawiła się w mieście jeszcze piękniejsza niż dawniej...
Powiadomiony natychmiast mąż pozwał ją przed sądy kościelne, domagając się przywrócenie wszystkich praw do swej żony. Sentencja wyroku brzmiała: „jeśli ta kobieta uznana została za zmarłą przez wszystkich, to jako zmartwychwstała jest panią jedynie własnej woli..." Uliczka we Florencji, którą przebiegła Ginevra od katedry do via dell'Oche, nazwana została „via della Morta" – ulicą Zmarłej.

O sposobach na czarownice.

Jeśli niebacznie wymówisz imię czarownicy, może ona zjawić się w twoim domu. Musisz wówczas siedzieć z nogami skrzyżowanymi (czarownice nie znoszą znaku krzyża) lub zaraz po zachodzie słońca wykrzyknąć: „dziś w mym domu jest sobota!" (jak wiadomo, w soboty wszystkie czarownice lecą w nocy na sabat). Dobrym sposobem jest ustawienie u wejścia gęstej (ryżowej) miotły i solniczki; w tym wypadku bowiem czarownica musi koniecznie przeliczyć każde źdźbło miotły i każde ziarnko soli przed wejściem do domu. Zajmie jej to dużo czasu, tym bardziej że liczyć musi starannie. Gdy się pomyli – zaczynać musi od nowa. Zajmie jej to czas aż do pierwszych kurów, a wówczas moc jej znika... Aby móc bezpiecznie popatrzeć na czarownicę, trzeba w Noc Świętojańską (kiedy krążą one po wsi i czynią czary) stanąć na skrzyżowaniu ulic oparłszy podbródek o grabie.

Anegdoty

O mężu, którego żona zdradzi, mówi się „rogacz". Słyszy się bardzo często *„przyprawiła mu rogi"*. Jest to tak oczywisty zwrot, że nie zastanawiamy się, skąd pochodzi to osobliwe powiedzenie. Otóż cesarz bizantyjski Andronicus zdobywał sobie kochanki spośród żon dygnitarzy własnego dworu. Jako rekompensatę otrzymywali oni prawa myśliwskie. Oznaką takich praw były rogi jelenie przybite nad wejściem do domu zdradzonego dygnitarza.
Na niektórych balkonach współczesnych willi i bloków mieszkalnych można zobaczyć właśnie rogi jelenie. Nie sądzimy, iżby to była kontynuacja zwyczajów bizantyjskiego cesarstwa. Z pewnością nie. Przynajmniej w tej dziedzinie życia.

* * *

Podobno każdy pisarz ma jednego krytyka, który potępia jego twórczość od pierwszej do ostatniej strony.
Ilia Erenburg miał takiego krytyka z całą pewnością. Im bardziej powieść podobała się czytelnikom, tym surowiej pisał o niej ów krytyk.
Zaatakował ostro Erenburga za zwrot *„boląca pustka"* użyty przez pisarza w jednej z powieści.
– Jak może boleć pustka, panie Erenburg?! – wykrzykiwał triumfalnie na łamach jednej gazety.
Ilia Erenburg odpowiedział pytaniem:
– Czy pana nigdy nie bolała głowa?

* * *

W salonie Czartoryskich prowadzono dyskusję na temat poezji. Przesiąknięty francuszczyzną młodzieniec twierdził, iż język polski nie nadaje się do poezji, ponieważ jest za ubogi, by wyrazić subtelne uczucia. Do wielu słów nie sposób znaleźć rym – perorował. O, choćby słowo cietrzew. Kto znajdzie do niego rym? Przysłuchujący się dyskusji Franciszek Karpiński, odpowiedział:

Z pomiędzy drzew
wyfrunął cietrzew,
szukał bałwana,
siadł na wać pana.

* * *

Za nieprawidłowe przejście przez ulicę policjant zatrzymał Stefana Żeromskiego. Pisarz nie miał przy sobie pieniędzy na zapłacenie mandatu, więc „przedstawiciel prawa" zaczął spisywać dane personalne:
– Nazwisko i imię?
– Stefan Żeromski.
– Data urodzenia?
– Czwarty października 1864 rok.
– Zawód?
– Pisarz.
– Jaki, gminny czy gromadzki?
– Może pan napisać polski – odpowiedział Żeromski.

* * *

Bernard Shaw słynął z pisarskiego talentu, mądrości i dowcipu. Nie mógł pochwalić się jedynie urodą.
Na przyjęciu spotkał słynącą z wielkiej urody aktorkę i wdał się z nią w rozmowę.
– Mistrzu – zapytała w pewnej chwili piękna artystka – proszę mi powiedzieć, czy może pan sobie wyobrazić, co by to było, gdybyśmy się pobrali i mieli dzieci, tak piękne jak ja i mądre jak pan?
– A co by było, gdyby było odwrotnie? – zapytał Bernard Shaw.

* * *

Na raucie u Lorda Yorku Bernard Shaw spotkał Doreen Parker, starą pannę znaną z uszczypliwości. Chciał jej jednak sprawić przyjemność, więc powiedział:
– Och, jak cudownie pani wygląda, panno Doreen.
– Co mam robić, aby się panu zrewanżować? – zapytała panna Parker zgryźliwie.
– Niech pani czyni to co ja.
– ?
– Niech pani po prostu kłamie – odparł Bernard Shaw.

O pięknym diable.

W miasteczku Morgellina, tuż koło Neapolu, w kościele Santa Maria del Porto, obraz (w pierwszym ołtarzu prawej nawy) przedstawia postać rycerskiego archanioła Michała, depczącego i przebijającego włócznią demona ciemności. Napis na obrazie głosi: „fecit victoriam – alleluja – 1542 – Carafa" (odniósł zwycięstwo – chwała Bogu – 1542 – Carafa).
Scenę tę namalować rozkazał biskup Diomede Carafa, późniejszy kardynał, który wobec Boga i ludzi ogłosić chciał – jak mówią – zwycięstwo nad własną zmysłowością. Przedmiotem jego wewnętrznych zmagań była zakochana w nim dama (notabene nosząca imię Vittoria) z wielkiego rodu d'Avalos.
Malarz przedstawił demona o straszliwych członkach i tułowiu smoka, lecz z głową jasnowłosej, pięknej dziewczyny. W ten szczegół włożył tak wiele talentu i starania, że wizerunek pięknej kobiety do dziś czaruje mieszkańców okolicy, którzy zwykli mawiać: „Piękna jak diabeł z Mergelliny..."

O „Niezadowolonej"

Jedna z pięknych willi weneckiego patrycjatu nad rzeką Brentą, nosi oryginalną nazwę – „Malcontenta" (niezadowolona). Opowiadają, że stała się ona dożywotnim więzieniem pięknej Elżbiety Loredan, żony Aloisa Foscariego. Uwięziono ją tu z rozkazu męża, gdyż w stolicy „Najjaśniejszej Republiki siała zgorszenie rozwiązłym trybem życia..."
„Malcontenta Elisabetta" przedstawiona jest na ściennym fresku w sali pierwszego piętra w czerwonej szacie z wysokim koronkowym kołnierzem.

* * *

W umbryjskim mieście Spello, na prawo od bramy Porta Ubrica, w rzymskim murze z czasów Augusta, na wysokości dziewięćdziesiąt centymetrów widać spory otwór. Miejscowe podanie głosi, że wywiercił go w VIII wieku słynny rycerz Roland, palatyn Karola Wielkiego, który podczas swych wędrówek po Italii, przystanął pod murem, aby pofolgować wezbranemu pęcherzowi... Potężny strumień przebił solidny mur, na którym poniżej otworu wyrzeźbiono wyobrażenie instrumentu, będącego bezpośrednim sprawcą uszkodzenia...

Gramofon bez igły

Wiosna 1983: sensacja na rynku muzycznym – nowego rodzaju płyty i nowe w konstrukcji gramofony. Płyty są sześciokrotnie mniejsze od dotychczasowych, gramofon nie ma igły! Chcę opowiedzieć o niezwykłym wynalazku, który wprowadzony jest już zagranicą do powszechnego użytku. Gramofon XXI wieku? Przyznacie rację po przeczytaniu tego tekstu.

Tysiące młodych i starszych Francuzów, Japończyków, Amerykanów odwiedza salony firmy SONY i PHILIPS, by zapoznać się z tą fantastyczną nowością. Wreszcie będzie to gramofon, który nie musi stać nietykalny, przy którym można śmiało tańczyć i tupać, który można zabrać do samochodu. Wreszcie są płyty odporne na kurz, które nie porysują się ani nie zedrą od częstego przegrywania. Można je śmiało brać brudnymi rękoma, można nawet – jeśli ktoś chce koniecznie – wysmarować tłuszczem i nic, odbiór pozostaje wciąż doskonały.

Wszystko odbywa się bardzo szybko. W Japonii pierwsze egzemplarze pokazały się już jesienią ubiegłego roku (w ciągu kwartału sprzedano trzydzieści pięć tysięcy). W Paryżu kampania reklamowo-handlowa wystartowała na początku lutego. W Stanach Zjednoczonych inaugurację zaplanowano na marzec.

Wszystko przygotowane jest bardzo pieczołowicie, tak jak planuje się gigantyczny spisek. Bo rzeczywiście, mamy do czynienia z wielkim przewrotem, z rewolucją nie byle jaką. Oto wkracza na rynek urządzenie do odtwarzania nagrań dźwiękowych, którego twórcy mają ambicję wypchnąć na strychy całe nasze dotychczasowe kolekcje płyt gramofonowych i kaset.

System jest rzeczywiście zupełnie nowy, nieporównywalny z dotychczasowymi. Tradycyjne płyty doń nie pasują, najlepszy choćby gramofon poprzedniej generacji nie potrafi odegrać nowego typu płyt. Co to jest? Jakież musi obiecywać zalety, skoro są chętni, by w tej rewolucji wziąć udział?

Historia mechanicznego zapisu dźwięku liczy niewiele ponad sto lat. W roku 1877 Tomasz Edison opatentował sposób utrwalania dźwięku na obracającym się walcu za pomocą sprzężonego z membraną rylca. W dwanaście lat później, za sprawą Emila Berlinera, pojawiła się pierwsza płyta dźwiękowa. Na następny epokowy moment w tej dziedzinie trzeba było czekać do roku 1925, kiedy to wprowadzono elektryczny sposób zapisu, czyli układ: mikrofon, wzmacniacz, urządzenie nacinające matrycę.

W roku 1948 amerykańska COLUMBIA wprowadziła płytę drobnorowkową, odtwarzaną z prędkością 33 1/3 obrotu na minutę. To znany do dziś *long play*. Druga połowa lat pięćdziesiątych dodaje jeszcze ustalenie standardu płyt stereofonicznych. To właściwie wszystkie kluczowe innowacje i wynalazki w tej dziedzinie.

* * *

Lata, które później nadeszły, to najlepszy okres przemysłu płytowego. Milionowe nakłady, wielki rynek młodzieżowy, Sinatra, Presley, The Beatles. Płyta gramofonowa upowszechniła się na świecie, otworzyła dostęp do arcydzieł muzyki setkom milionów melomanów. Muzyk, który nie nagrywa płyt, nie liczy się, a dyskografia to dziś ważny element artystycznej biografii. Bez powszechności płyt nie byłoby idoli młodzieży, bez płyt nie byłoby kultury masowej, kultury pop.

Coraz wyższa wierność zapisu, coraz bardziej wyśrubowane normy, low noise, full dimensional, hi-fi. Mimo licznych udoskonaleń, nie mogła płyta gramofonowa pozbyć się wielu wad. Jakość zapisu uzależniona była od bardzo wielu elementów. Szumy własne urządzeń studyjnych, jakość masy plastycznej, trudności z wyprodukowaniem igły o doskonałym kształcie, nieregularne obroty talerza gramofonu – to wszystko powodowało mniejsze lub większe, ale zawsze dokuczliwe zniekształcenia. Do pominięcia, gdy słuchamy tuzinkowych przebojów, nieznośne – gdy chcemy delektować się subtelnością brzmienia skrzypiec.

Największa wada dotychczasowych płyt to ich podatność na uszkodzenie, nieodwracalne uszkodzenie zapisu. Kolekcjonerzy płyt gramofonowych nie śpią spokojnie. Drżą przed zarysowaniem cennej płyty, a nawet przed dotknięciem jej brudnym palcem. Szkody są nie do naprawienia. I problem kurzu! Jak go uniknąć: szmatki, szczoteczki, płyny antystatyczne pomagają tylko częściowo. Nikt, kto szanuje swoje płyty, za żadne skarby nie pożyczy ich nawet przyjacielowi.

Lata siedemdziesiąte przynoszą popularność magnetofonom kasetowym. Obsługa jest o wiele prostsza, kaseta jest „fool proof", odporna na głupotę. Nagranie na kasecie nie zdziera się tak, jak płyta. Urządzenia do odtwarzania kaset można zminiaturyzować, można z nich korzystać w samochodzie. Stąd powodzenie kasety, choć wiadomo było i jest nadal, że jakość dźwięku z kasety zawsze będzie ustępować zapisowi na płycie gramofonowej. Inną wadą jest

trudne wyszukiwanie na taśmach ulubionych melodii.

Jak połączyć zalety obu systemów, gramofonowego i kasetowego, jak wyeliminować wady obu metod? Jak zaprząc w służbę melomanów najnowsze zdobycze dzisiejszej techniki? Te pytania zaowocowały urządzeniem, o którym tu mowa, a które nie ma właściwie swojej jednoznacznej nazwy. Gramofon cyfrowy, gramofon laserowy, odtwarzacz płyt compact. W czasopismach angielskich i japońskich powtarzają się dwa złożone określenia:

- *digital audio disc player* – odtwarzacz cyfrowych płyt dźwiękowych,
- *compact disc digital audio system* – cyfrowy system dźwiękowy na płyty compact.

Jak go zwał, tak go zwał – kończy się jednak konkurencja płyty gramofonowej i kasety, bo obie przegrywają – wygrywa płyta CD, płyta compact.

Płyta CD jest malutka. To krążek tworzywa o średnicy zaledwie dwunastu centymetrów. Ale nie wymiar jest tu najistotniejszy, gdy porównujemy ją z tradycyjnym longplayem. Główna różnica techniczna polega na tym, że na tradycyjnej płycie zapisany był dźwięk. Odtwarzała go igła gramofonu, by poprzez wzmacniacz trafił do głośników. Na płycie CD utrwalona jest informacja o dźwięku. Powtórzmy: zapis na płycie klasycznej to obraz dźwięku, zapis na płycie CD to ciąg liczb będących informacją o dźwięku.

Muzyka, śpiew, słowo – wszystko to trafia z mikrofonów najpierw do procesora komputerowego. Tam dokonuje się pomiaru tego sygnału. Jego wielkość mierzy się przeszło czterdzieści tysięcy razy na sekundę. Wynik każdego z takich pomiarów, czyli – jak mówią fachowcy – próbkowania, na formę liczby. Nie jest to jednak liczba taka, do jakich przywykliśmy na co dzień. Komputer posługuje się nie systemem dziesiętnym, który jest wygodny dla ludzi, lecz tak zwanym systemem dwójkowym, binarnym. Każdą liczbę maszyna elektroniczna zapisuje za pomocą nie dziesięciu, lecz tylko dwu cyfr: „0" i „1".

Pełna informacja o utworze muzycznym, który ma być umieszczony na płycie CD, wygląda tak: sześćdziesiąt minut nagrania to trzy tysiące sześćset sekund. W każdej sekundzie około czterdziestu czterech tysięcy próbek. Każda próbka odnotowana jest za pomocą szesnastocyfrowej liczby binarnej. Łącznie około dwa i pół miliarda bitów, czyli jednostek informacji. To trzeba jeszcze pomnożyć przez dwa, bo przecież chodzi o nagranie stereo... Na krążku o średnicy dwunastu centymetrów ta masa informacji mieści się w postaci bardzo gęstego ciągu mikroskopijnych wgłębień, odległych od siebie o mikrony. „0" oznaczone jest przez wgłębienie krótsze, „1" – wgłębienie dłuższe. Odczyt następuje nie za pomocą igły, lecz metodą optyczną, przy użyciu lasera. Promień światła z lasera pada na powierzchnię płyty, a odbity – dociera do diody detekcyjnej. Układ logiczny rozpoznaje, czy kolejne wgłębienie oznaczało „0" czy „1". Potem odbywa się proces odwrotny. Na podstawie informacji pochodzących z płyty specjalny układ dekodujący reprodukuje obraz dźwiękowy, który przesyłany jest następnie do wzmacniacza i głośników.

Nagranie cyfrowe stanowi, jak powiedzieliśmy, jedynie informację o dźwiękach, a nie ich bezpośrednie odbicie. To coś podobnego do książki, w której umieszczone są informacje, słowa złożone z liter. Dla kogoś czytającego, potrafiącego zrozumieć język, rozróżnić litery, nie ma znaczenia, czy książka jest wydana na luksusowym papierze kredowym, czy też ma formę broszury z gazetowej szarzyzny. Ważne jest, czy zapis jest czytelny. Również w gramofonie cyfrowym jakość materiału na płytę CD nie jest tak ważna, jak przy płytach tradycyjnych. Istotne jest tylko, czy da się nań umieścić, „wydrukować" informację o dźwięku. Żeby zaś delikatny zapis nie został uszkodzony, zatapia się go warstwą przezroczystej folii. Odczyt, jak zaznaczaliśmy, odbywa się drogą optyczną, więc folia nie przeszkadza. Za to jest doskonałym zabezpieczeniem przed uszkodzeniem, dotknięciem, brudem. Tak długo, jak laserowy czytnik odróżnia dwa znaki, „0" i „1", wgłębienie krótsze od dłuższego, tak długo przekazuje pełną informację o nagranym utworze. Jeśli układ nie będzie mógł odróżnić „jedynki" od „zera" – to nie odbierze nic, czyli będzie milczał.

Po co to wszystko, te lasery, komputery, cuda? Przede wszystkim nastąpi eliminacja zniekształceń, które dotąd nękały producentów i posiadaczy płyt gramofonowych.

Brak jakichkolwiek szumów, trzasków, świstów. Pełna dynamika orkiestry symfonicznej.

Automatyczna kompensacja nierównych obrotów płyty, a więc wyeliminowanie dokuczliwych kołysań i drżeń, pochodzących od silnika gramofonu.

Zgrabny format: na dwunastocentymetrowym krążku mieści się godzinny koncert non-stop, podczas gdy zwykła płyta gramofonowa o średnicy trzydziestu centymetrów mogła zawrzeć nie więcej niż dwa razy po dwadzieścia pięć minut nagrania.

Płyta CD jest odtwarzana bezstykowo, a więc nie zużywa się, nie jest też tak istotny sposób jej przechowywania.

Urządzenie do odczytu CD jest niewrażliwe na wstrząsy, nie ma obawy, że „igła przeskoczy". Trwają już przygotowania do produkcji wersji samochodowej gramofonu cyfrowego. Myśli się też o wersji kieszonkowej, przenośnej.

W Japonii, Europie i USA już kilkadziesiąt firm oferuje swe modele urządzeń na płyty CD. Warto jednak podkreślić, że gramofon cyfrowy to dzieło inżynierów dwóch wielkich firm elektronicznych: holenderskiej – PHILIPS, i japońskiej – SONY. Trzeba było wielu lat wytężonej pracy oraz milionów guldenów i jenów, zanim wynalazek uzyskał obecną, gotową do upowszechniania formę.

Ale zasługi PHILIPSA I SONY polegają również na czymś innym. Idea zapisu cyfrowego jest dość stara. Wiele różnych firm przygotowywało się do tego przełomu. Było wiele pomysłów, wiele konkretnych projektów rozwiązań użytkowych. Sama idea zapisu cyfrowego nie przesądzała szczegółów konstrukcyjnych. Na przykład, początkowo nie było wiadomo, jaki przyjmie się element odczytujący. Zanim stanęło na optyce laserowej, TELEFUNKEN proponował odczyt mechaniczny i odpowiednio udoskonaloną igłę. Prototyp pokazywano na targach i wystawach. Ale nie było odważnego, który zaangażowałby się w produkcję masową bez pewności, że to jego system zwycięży, jego rozwiązanie upowszechni się.

Obawiano się zamieszania, jakie do dziś istnieje na rynku magnetowidów kasetowych. Konkurują ze sobą aż trzy odmienne systemy. Kasety nagrane w jednym systemie nie pasują do urządzeń innego systemu. To nie tylko niewygoda. To istotny hamulec w handlu.

W przypadku gramofonu CD ryzyko ekonomiczne zniknęło dopiero wtedy, gdy porozumiały się dwa giganty elektroniki – SONY I PHILIPS. Uzgodniono odpowiednie standardy. Udzielono licencji kilkudziesięciu innym producentom. Niespodzianek być nie powinno.

Nie zabraknie nowych płyt. Wiele firm płytowych w Europie i Ameryce gotowych jest do zaspokojenia potrzeb posiadaczy nowych gramofonów. Wielki koncern PolyGram Records zaplanował na początek dwieście pięćdziesiąt tytułów. Do końca roku ma być dostępnych pięćset – sześćset tytułów. PolyGram będzie wypuszczał po trzydzieści pozycji miesięcznie. Nie zabraknie mu konkurencji, zwłaszcza amerykańskiej wytwórni CBS Records.

Oto typowe urządzenie CD, produkowane i wysyłane na sprzedaż do Europy przez japońskie SONY – CDP 101. Wielkością podobny do magnetofonu kasetowego. Wymiary: 35,5×10,5×32,5 cm. Wysuwana szufladka do wkładania płytki CD. Wszystkie włączniki reagujące na dotyk palca. „Odtwarzanie", „Pauza", „Szybko w przód", „Szybko wstecz", „Powtórka ostatniego utworu". Ciekłokrystaliczne wskaźniki informują o czasie utworu i miejscu aktualnie odtwarzanym. Układ programowania pozwala na ułożenie własnej kolejności utworów, a więc nie musimy trzymać się kolejności, w jakiej umieszczono je na płycie. Cacko!

Teraz coś o drugiej stronie medalu, czyli: ile to będzie kosztować? Ano, przynajmniej na początek, sporo. Urządzenie odtwarzające, zależnie od marki, stopnia zautomatyzowania i kraju, w którym jest oferowane, kosztuje od sześciuset do tysiąca dolarów. Płyty sprzedawane są po piętnaście do osiemnastu dolarów.

To drogo, ale i tak taniej niż można się było spodziewać. Przypomnijmy, że bardzo dobry gramofon klasyczny kosztuje nie mniej niż trzysta dolarów, a płyty od

dziewięciu do dwunastu dolarów. Czyli że omawiana tu nowa generacja sprzętu, zupełnie nowa jakość i technologia jest tylko dwukrotnie droższa. Jest przy tym nadzieja, że w miarę upowszechniania się urządzenia i płyty CD potanieją.

Pocieszająca wiadomość to fakt, że urządzenia cyfrowe mogą z powodzeniem współpracować ze zwykłymi wzmacniaczami i głośnikami. A więc jedynym wydatkiem będzie odtwarzacz CD. Nie trzeba kupować nic więcej, o ile, oczywiście, ów wzmacniacz i głośniki są naprawdę dobrej klasy i dużej mocy. Wtedy słuchacz z pewnością odczuje zalety nowej techniki.

„Digital sound to ratunek zarówno dla przemysłu elektroakustycznego, jak i dla wytwórców nagrań" – mówi Emil Petrone z działu płytowego firmy PolyGram. *„Digital audio to rewolucja jakiej nie było w tej branży od trzydziestu lat".* Taka opinia nie jest odosobniona. Rynek płytowy był właściwie dość nasycony i choć zdarzały się i nadal zdarzają wielkie bestsellery, wielomilionowe nakłady, to jednak ogólna sprzedaż nie rosła. Teraz jest okazja do wzrostu dochodów. Kto trzymał rękę na pulsie, kto już wcześniej zainstalował w swych studiach nagraniowych urządzenia do rejestracji cyfrowej, ten ma gotowy repertuar i teraz ma szansę zgarnięcia dużej forsy.

Wielkimi zwolennikami techniki cyfrowej są sami artyści. W prasie fachowej można znaleźć entuzjastyczne reakcje całego szeregu wielkich postaci reprezentujących różne gatunki muzyki: od Herberta von Karajana do Herba Alperta. Ten ostatni, jako współwłaściciel wytwórni AM Records, zainteresował się rejestracją cyfrową już cztery lata temu. Gdy do studia sprowadzono jedną z pierwszych maszyn nowego typu, magnetofon cyfrowy firmy 3M, sławny trębacz i kompozytor „zablokował" ją na całe pół roku tylko do nagrywania swych własnych pomysłów. Można realizować nowe projekty, można też przystąpić do ponownego nagrywania podstawowego kanonu muzyki klasycznej.

Elektronika rozwija się dziś w tempie oszałamiającym. Układy scalone o bardzo wielkiej skali integracji: na powierzchni centymetra kwadratowego równowartość dziesiątków tysięcy tranzystorów, diod, oporników... Coraz szersze możliwości, coraz większa precyzja, fantastyczna miniaturyzacja. Dzięki postępom w elektronice i technologii materiałów można dziś budować tanio komputery. To, co kiedyś zajmowało duży pokój, teraz stoi na brzegu biurka handlowca, na małym stoliku obok deski konstruktora. Taka „demokratyzacja" komputera prowadzi z kolei do zupełnie nowych zastosowań sprzętu obliczeniowego. Używają dziś komputerów artyści i pisarze, komputer w popularnym wydaniu służy dzieciom – do nauki i do zabawy.

Takie mityczne urządzenia, jak maszyna matematyczna, jak laser – to jeszcze do niedawna były w naszym pojęciu narzędzia uczonego, aparaty tak kosztowne, że pozwolić na nie mogły sobie tylko wielkie przedsiębiorstwa czy uczelnie. I oto dziś miniaturowe skrzyżowanie lasera z komputerem trafia do przeciętnego domu za równowartość przeciętnej miesięcznej pensji. Trafia tam nie po to, by robić jakieś skomplikowane obliczenia, by badać odległość do gwiazd czy wycelować rakietę. Trafia tam po to, by zwykły meloman mógł rozkoszować się muzyką.

Świat idzie naprzód. Ale przywiązanie człowieka do muzyki nie zmieni się, nie minie. Choć dziś procentowo pewnie mniej jest ludzi czynnie uprawiających muzykę, to jednak rzesza jej odbiorców nie topnieje. Przeciwnie, te nowe urządzenia, przynoszące w mury naszych domów arcydzieła muzyczne w pełnym brzmieniu, ta technika może jeszcze upowszechnić taką formę spędzania wolnych chwil, ten rodzaj relaksu i konsumpcji kultury.

Wielu ludzi chętnie posłuchałoby Beethovena, dało się wciągnąć w Liszta, zadumało nad Mahlerem, ale jest to dość kłopotliwe. Na koncert trzeba się wybrać w określony dzień, trzeba się specjalnie ubrać, siedzi się pośród kilkuset rozmaicie reagujących ludzi, których obecność może przeszkadzać. Orkiestra nie najlepsza, bo te najlepsze występują dziś tylko w największych metropoliach i nigdy nie zajrzą do małego miasta.

Płyt też słuchać nie ma się ochoty. To dobre dla zwolenników rocka, disco, punk. Nie sposób odtworzyć utwór symfoniczny z należytą dynamiką, tak by forte znaczyło forte, a w partiach piano było słychać coś więcej niż trzaski płyty. Podkręcenie gałki wzmacniacza jeszcze te trzaski uwypukli. A gdy już odbiór jest „jaki taki", to w najlepszym miejscu zadzwoni telefon albo przyjdzie sąsiad pożyczyć korkociąg.

System CD, gramofon komputerowo-laserowy nie uchroni nas przed nieproszonymi gośćmi. Pozwoli jednak przenieść do domu koncert nie tylko w najlepszym światowym wykonaniu, ale również w brzmieniu doskonalszym niż to, które jest udziałem wielu obecnych na sali filharmonii.

Zastanówmy się, co będzie dalej. System CD nie ma żadnej, choćby raczkującej, konkurencji. Zasada zapisu cyfrowego utrzyma się przez dziesięciolecia. Być może, udoskonalone będą urządzenia zapisujące i odczytujące, a może zmieni się nośnik nagrania – płyta CD. Jest jednak pewne, że to, o czym tu była mowa, to początek nowej epoki w dziedzinie rejestracji dźwięku.

Gramofon CD jest jeszcze drogi. Tysiąc dolarów to wszędzie jest dużo. Można jednak oczekiwać, że w ciągu roku, dwóch, spadnie do sześciuset dolarów, a za lat pięć będzie kosztował równowartość dzisiejszych trzystu dolarów. Zalety dźwięku nie skażonego żadnymi szumami czy zniekształceniami warte będą tego wydatku.

W roku 1990 – to moja własna prognoza – płyty CD powinny już mieć zdecydowaną przewagę nad klasycznymi. Oczywiście, myślę tu o krajach, w których urządzenia CD już dziś są dostępne, a więc o Japonii, USA, Francji, RFN.

Pozostaje pytanie, co stanie się z tymi zwykłymi płytami, których zbiory wynoszą nieraz kilkaset sztuk. Z całą pewnością będą służyć swym właścicielom jeszcze przez długie lata. A potem, stopniowo staną się obiektem zainteresowania już tylko hobbistów. W końcu jeszcze dziś sporo jest zbieraczy kruchych płyt na 78 obrotów na minutę z poprzedniej epoki. Jeśli ich zapytacie, skąd to zamiłowanie, odpowiedzą, że Szalapin czy Ordonka brzmią autentycznie tylko na takiej starej, skrzypiącej siedemdziesiątce ósemce. Smakosze tradycyjnego jazzu też wolą tematy nowoorleańskie na oryginalnych płytach epoki niż sztucznie oczyszczone, sztucznie ustereofonicznione kopie sprzedawane dzisiaj.

Podobnie będzie z płytami z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. The Beatles, Presley, Sinatra zawsze kojarzyć się będą z czarnym krążkiem, z kolorową okładką, z tanim gramofonem i ... naszą młodością.

A świat pójdzie naprzód. Różnica technologiczna między gramofonem klasycznym a urządzeniem na płyty CD jest większa niż między dawnym patefonem z tubą i napędem korbowym a współczesnym magnetofonem stereo. Jak wielki będzie zatem kiedyś następny skok? Dla uspokojenia posłuchajmy Bacha!

CYGANKA prawdę Ci powie



Ponad dwudziestoletni wysiłek autora uwieńczony został ciekawą pozycją książkową pt. *Cyganka prawdę Ci powie*, traktującą o horoskopach.

Opracowania tego podjął się autor z trzech pobudek:

1. autentycznego zapotrzebowania społecznego ze strony *„chorych na swój los"* – jak trafnie określił takich ludzi psychiatra niemiecki G. Lomer,
2. ratowania przed zapomnieniem tajemnic sztuki wróżbiarskiej Cyganek, bowiem brak adeptów powoduje zanik i upadek tego rodzaju praktyk,
3. dostarczenia czytelnikom niewinnej rozrywki i zabawy, w której każdy lepiej pozna siebie.

Andrzej Snopkowski nie podszedł bezkrytycznie do zebranego materiału; w trakcie opracowywania kilkuset notatek z rozmów przeprowadzonych z Cygankami pogłębił swoją wiedzę między innymi uczestnicząc w kursie astrologii humanistycznej, prowadzonym przez wiceprzewodniczącego Międzynarodowego Towarzystwa Badań Astrologicznych (ISAR) dr. Leszka Weresa.

Tak zwana astrologia humanistyczna wykorzystuje doświadczenia i metody dawnej astrologii, lecz modyfikuje jej stosowanie i koncentruje się na aspektach psychologicznych i filozoficznych.

Dzięki takiemu podejściu nie ma w opracowanych horoskopach dowolności, gdyż wszystko, co w relacjach Cyganek niezgodne było z kanonami astrologii, zostało przez autora pominięte.

Autor starał się nakreślić możliwie pełną sylwetkę człowieka każdego znaku zodiaku, wskazując między innymi na specjalne uzdolnienia, elementy dezintegrujące osobowość, wreszcie obszary potencjalnie największych możliwości indywidualnego oraz społecznego rozwoju jednostki.

Fragmenty przygotowanej do druku przez Oddział KAW w Krakowie książki Andrzeja Snopkowskiego pt. *Cyganka prawdę Ci powie.*

Andrzej Snopkowski



KOZIOROŻEC 21.XII – 19.I

Już w okresie dojrzewania młody człowiek spod znaku Koziorożca zdaje sobie sprawę z tego, że ma wszelkie dane na osiągnięcie sukcesu życiowego. Posiada szaloną ambicję, wysokie aspiracje, mocny charakter, wzbudza zaufanie.

Cokolwiek robi, stara się nie tylko zrobić to dobrze, ale lepiej od innych. Przykłada się do nauki, potrafi sobie zadać wiele trudu, by coś osiągnąć. Uważa wytrwałość, naukę i wiedzę za fundament życiowego powodzenia. Patronująca tym ludziom planeta Saturn nieustannie przypomina o istnieniu takiej instytucji, jak „czas" i konsekwencjach złego nim gospodarowania. Trwonienie i grabież ludzkiego czasu jest trwonieniem i grabieżą ludzkiego życia - tak w przenośni, jak i dosłownie. Ambicja, godna podziwu konsekwencja, metodyczność, chwalebna wytrwałość, upór, benedyktyńska cierpliwość, nadzwyczajna obowiązkowość, skrupulatność i głód wiedzy torują urodzonemu pod znakiem Koziorożca drogę po szczeblach kariery zawodowej.

Jest więcej niż pewne, że nie będzie on – jak głosi kolejarskie przysłowie – „jeździł na gapę po stopniach służbowych".

Są to również wierni małżonkowie, lojalni w dobrej i złej doli.

Jednakże większość Cyganek podkreślała mniej chlubne cechy ludzi tego znaku zodiaku. Padały różne określenia: *„nadęty, drętwy, napuszony jak paw, dygnitarz na tratwie, zjadany przez szatańską zazdrość, wszędzie wietrzy podstęp, uparty jak osioł, sopel lodu w łóżku, zimny w miłości, dokuczliwa wydra, cięty język".*



WODNIK 20.I – 18.II

Wielce obiecujący talent, geniusz, cudowne dziecko, „gwiazda", rzadko się rodzą, ale zdaniem większości Cyganek, jeżeli przychodzą na świat, to najczęściej na przełomie stycznia i lutego.

Prawie nigdy tego samego nie zrobi tak samo, z przyzwyczajenia, utartym zwyczajem. Zawsze myśli o udoskonaleniu, będzie eksperymentować, coś przekształci, zmieni, przerobi na swoją modłę zgodnie z pomysłem, jaki mu strzeli do głowy. Gdy mu się powiedzie, wpada w dziecinny entuzjazm. Jest to człowiek wielkich zdolności, ale przy tym zapaleniec.

Wyjątkowo szybko umie się przysrosować do zmienionych warunków, prędko wrasta w nowe otoczenie, środowiska, chętnie przenosi swoje lary i penaty. Mówią Cyganki: *„nigdzie miejsca nie zagrzeje, lubi zmiany i sam zmienia się jak chorągiewka na duchu, jak marcowa pogoda."*

Co wczoraj potępiali, dziś wielbią: wczoraj chwalili, dziś ganią – bieliznę zmieniają rzadko, ale zapatrywania na politykę codziennie.

Największą wagę przywiązuje Wodnik do pozarozumowych środków poznawczych – co gorsza często jest potwornie uparty, potrafi „trzymać się czegoś, jak pijany płotu". Większość z nich to duchowi samotnicy. Nie znaczy to, że stronią od ludzi, ale mogą się bez nich obejść.

Patronką urodzonych pod znakiem Wodnika jest planeta Uran, której oddziaływanie można sobie wyobrazić jako wyładowania elektryczne w postaci błyskawic. Uran dyktuje potrzebę chwilowego przynajmniej uwolnienia się z wszelkich więzów, tradycji, przyzwyczajeń, nawyków, rutynowanych wzorów; odrzuca stare sprawdzone struktury społeczne oraz manifestuje swą wyjątkowość.



RYBY 19.II – 20.III

Od najmłodszych lat ludzie urodzeni pod tym znakiem uciekają od rzeczywistości w świat iluzji, urojeń dziecinnych, złudy zmysłów; lubią karmić się majakami. Ponosi ich fantazja, płomienna wyobraźnia, budują zamki na lodzie, myślą o niebieskich migdałach.

Niekonwencjonalne zachowanie urodzonych pod znakiem Ryb wyjaśnia częściowo mitologia grecka, z której dowiadujemy się, że spieszący do domu Odyseusz zwodzony był nieustannie przez Posejdona (Neptuna) – patrona ludzi urodzonych po znakiem Ryb, który czynił sporo zamieszania, aby utrudnić mu powrót.

Prawie każda rozmowa z Cygankami na temat ludzi urodzonych pod znakiem Ryb, zaczynała się od słów: *„to będzie najtrudniejsze, to dziwaczni i tajemniczy ludzie, oni żyją na innej planecie; zwodzą siebie i otoczenie".*

Tak jest w istocie, a potwierdzenie opinii wróżek – Cyganek znajdujemy w astrologii, która podkreśla ucieczkę Ryb od świata materialnego.

Pod tym znakiem zodiaku rodzi się najwięcej narkomanów, nałogowych alkoholików i ludzi o inklinacjach homoseksualnych.

Niezmiernie istotny dla panien tego znaku zodiaku jest dobór odpowiedniego partnera. Od tego uzależniona będzie między innymi ich aktywność seksualna, czasem trudna do wyczerpania, w czym ustępować mogą jedynie urodzonym pod znakiem Skorpiona.

Przywiązuje się szybko, nawet do partnera, który na to nie zasługuje. Często wyobraża sobie lub przedstawia go lepszym niż jest w istocie, przecenia, gloryfikuje. Szuka mężczyzny energicznego, zdecydowanego, który otoczy ją swoim opiekuńczym ramieniem.

Będzie wdzięczna za okazanie jej uczucia, ofiarowując w zamian litościwe, dobre serce, wierność, poświęcenie, lojalność i miłość posuniętą do adoracji.



BARAN 21.III – 20.IV

Rodzice dzieci urodzonych pod znakiem Barana lub Skorpiona nie mogą narzekać na brak urozmaicenia. To dobrze, jeśli tłumaczą sobie motoryczną ruchliwość, ogień młodości, rozmach w działaniu i nadpobudliwość, objawiającą się wzmożoną ekspresją ruchową – jako objaw zdrowia dziecka. Jest to przysłowiowe „wybij okno" lub „żywe srebro" – a dokładniej, jak mawiały Cyganki: *„źrebak pełen iskry, z oczu którego bije ogień; zdolny jest iść na śmierć, jak w taniec; stoi śmiało i nie ucieka, gdy los przeciwny go ściga, gdyż wie, że tylko tego psy kąsają, kto przed nimi ucieka."* Większość wróżbitek twierdzi, że wyrośnie z niego honorowy chłop i człowiek o twardym karku. W entuzjazm tworzenia, pasję, młodzieńczy zapał, uzbroił urodzonego pod znakiem Barana jego patron – Mars – mitologiczny bóg wojny. W parze z tymi cechami idą męskość, gwałtowność, odwaga, wojowniczość, agresja, ruchliwość i bojowość.

Urodzony pod tym znakiem zodiaku należy do niezłomnych bojowników, których żywiołem jest brawurowa walka. Jest to człowiek gwałtownej natury, o impetycznym działaniu, porywczym usposobieniu, z natury mało opanowany.

„Normalny człowiek wstaje z ziemi powoli lub szybko. Urodzony pod znakiem Barana najczęściej podrywa się z ziemi, jakby usiadł na żmii" – w ten oto sposób wróżka cygańska charakteryzuje gwałtowność tego człowieka. Impulsywność w poczynaniach, zaczepny ton rozmowy, prowokacyjne zachowanie, a także egoizm, jakże często szkodzą urodzonemu pod znakiem Barana. O ich kłótliwości Cyganki mówiły: *„swarliwa baba, lubi się wadzić, jegomość gryzie się jak pies, ścina na słowa."*



BYK 21.IV – 21.V

W wieku szkolnym dzieci na ogół wyzbywają się uczuciowego egocentryzmu – cechy tak charakterystycznej dla przedszkolaków. Tymczasem zdecydowana większość osób spod znaku Byka zatrzymuje to piętno, czasem na całe życia.

Bardzo dużo zależy od środowiska i rodziny, w jakich rozwija się dziecko; w każdym razie rodzi się ono z zadatkami na człowieka wrażliwego na piękno, w życiu kierować się będzie uczuciem i miłością – czyli tym, co niesie z sobą bogini Wenus – patronka urodzonych pod tym znakiem zodiaku. Ona to sprawia, że dziewczęta urodzone na przełomie kwietnia i maja pełne są osobistego uroku i wdzięku, mają zaokrąglone i proporcjonalnie kształty, lubią się beztrosko bawić, niefrasobliwie śmiać i flirtować, szukając przy okazji dorodnego, młodego, „niczegowatego" – jak mówiły Cyganki, pełnego szyku człowieka na całe życie.

Zdaniem Cyganek, twarz dziewcząt spod znaku Byka o wiele częściej niż koleżanek spod innych znaków zodiaku jaśnieje pogodą.

Adoratorzy, marząc o zerwaniu róży, królowej kwiatów, ulubionej przez boginię Wenus, spełniają każdy jej kaprys, bo: „czego chce kobieta, tego chce Bóg" – jak głosi francuskie przysłowie.

Drogowskazem, którym kieruje się w życiu większość urodzonych pod znakiem Byka, jest chęć posiadania, skąpstwo, zaborczość.

Kto ma dużo, pragnie jeszcze więcej. *„Pieniądze nigdy temu człowiekowi nie śmierdzą"* – orzekła część wróżbitek – Cyganek.

Wyrachowanie to przybiera czasem wstrętne, niskie, małoduszne formy.

Nie ma jednak jednomyślności u Cyganek; część z nich mówi o materializmie, przejawach egoizmu urodzonych pod znakiem Byka, inne mówią o duchu jednomyślności, koleżeńskiej solidarności i harmonii z otoczeniem.

Potrzeba stabilizacji, pobłażliwości, życie wyprane z konfliktów i głębszych namiętności, spokój, wygoda, komfort, galanteria w zachowaniu to wszystko powoduje, że ludzie spod znaku Byka dążą do unifikacji, nawet kosztem utraty pewnej sfery niezależności.

Majestatyczny spokój, skłonności do nieuzasadnionego wypoczynku, stan zadowolenia i sytości – utożsamiany ze szczęściem – wszystko to sprawia, że ich życie przypomina – jak mówią Cyganki: *„leniwie i szeroko płynącą, rozlaną rzekę, która nigdy nie zagraża powodzią."*



BLIŹNIĘTA 22.V – 21.VI

Urodzonym pod znakiem Bliźniąt patronuje Merkury, mitologiczny posłaniec bogów, odpowiedzialny za sposób komunikowania się z zewnętrznym światem oraz koordynację wiedzy z doświadczeniem.

Ludzi tych cechuje szybkość myśli, aktywność umysłowa, inteligencja, rozum, zdolność spostrzegania powstających relacji, umiejętność rejestracji faktów i zdolność logicznego ich porządkowania.

Lotność umysłu, poprawne wnioskowanie, pomysłowość, obrotność, komunikatywność, orientacja w każdej sytuacji życiowej, samokontrola, obserwacja i analiza samego siebie, swoich zdolności i umiejętności – to źródło sukcesów niejednego przedstawiciela tego znaku zodiaku.

Sukces materialny, społeczny i uznanie w oczach otoczenia to dla niego za mało; on mierzy znacznie wyżej i stale jak skoczek wzwyż – podnosi poprzeczkę. Jego celem jest rekord – czyli sukces życiowy w oczach samego siebie.

Wróżąc mężczyźnie spod znaku Bliźniąt, Cyganka powiedziała: *„Kochanieńki! Tym różnisz się od marynarza, że dla ciebie jedna kobieta w każdym porcie to za mało – kapujesz, stary wyjadaczu, o co chodzi? Ty, kochanieńki, nie lubisz chleba z jednego pieca jeść".*

Po powrocie do domu w stanie nieważkości urodzony pod znakiem Bliźniąt zrobi żonie wykład na temat względności pojęcia nietrzeźwości. Dla niego przecież wszystko jest względne, wszystko płynne – nic więc

dziwnego, że od czasu do czasu on również bywa „na fali” – jak mówią Cyganki.

Wróżąc kobiecie spod znaku Bliźniąt jedna z Cyganek powiedziała między innymi: *„Kochanieńka! Jeżeli chcesz długo żyć, być zdrowa i wiecznie młoda, nie przejmuj się niczym. W różowych okularach przedłużysz, w ciemnych skrócisz swoje życie”.*



RAK 22.VI – 22.VII

Więź z otoczeniem, ze środowiskiem, stanowi o przymiotach urodzonych pod znakiem Raka; jest nie tylko świadectwem jego wartości, ale świadczy o wartości środowiska, w którym żyje i dojrzewa.

Ileż razy odnosi się wrażenie, iż większość ludzi urodzonych pod tym znakiem zodiaku nie może żyć bez trosk, obaw, zgryzot, trwogi, udręczeń, strachu, kłopotów, lęków i przykrości. *„Oni muszą zawsze pietrać się o swoją skórę”* – powiedziała Cyganka.

Urodzonemu pod znakiem Raka patronuje Księżyc, który związany jest ze sferą podświadomości, instynktami, nastrojami, reakcjami oraz ekspresją. Nikt tak bardzo, jak urodzony pod znakiem Raka, nie przywiązuje się do dzieci, żony, domu, ogródka; nikt, tak jak on, nie zadba o zachowanie więzów i żywych tradycji rodzinnych. Miernikiem niech będzie choćby najmniejszy procent rozwodów z winy ludzi spod tego znaku zodiaku.

Kobieta urodzona na przełomie czerwca i lipca, jak żadna inna, potrafi kumulować - zwłaszcza negatywne - doświadczenia życiowe.

Z wiekiem coraz częściej zapomina nie tylko o swoich erotycznych wobec męża obowiązkach; zapomina również o tym, że kiedyś była cicha, stateczna, spokojna, uprzejma, grzeczna – że tymi zaletami zjednywała sobie nie tylko partnera, lecz całe otoczenie.

Coraz trudniej ją zrozumieć, staje się kapryśna, samolubna, leniwa, dokuczliwa, *„takie kąśliwe licho w spódnicy”* – jak ją nazwała jedna z Cyganek.



LEW 23.VII – 22.VIII

Okazuje się, że człowiek urodzony pod znakiem króla zwierząt ma wiele jego cech. Opinię tę potwierdza większość Cyganek, zwracając szczególną uwagę na majestatyczne ruchy, dostojeństwo, niezależność, godność, pychę, aktorską pozę, agresywne usposobienie i niezachwianą pewność siebie.

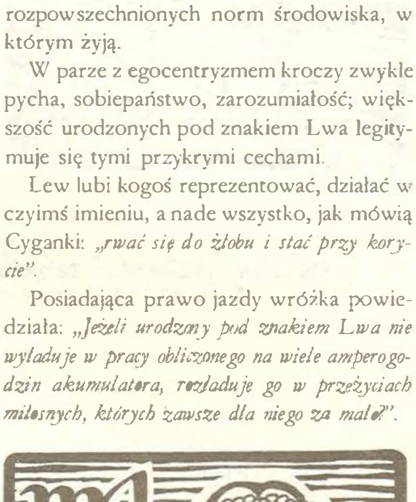
Ludziom urodzonym pod znakiem Lwa patronuje Słońce. Decyduje ono w sposób znaczny o witalności, aktywności, ambicji, zdolności do osiągnięcia pełnej egzystencji, potrzebie władzy i pewności w działaniu.

Wśród urodzonych pod znakiem Lwa znajdziemy wielu konformistów. Ich dewizą jest popularne dzisiaj hasło: „żyj i daj żyć innym”. Nigdy się nikomu nie narażą, jak kameleon zmieniają ubarwienie, przystosowując się nawet do przeciętnych gustów i rozpowszechnionych norm środowiska, w którym żyją.

W parze z egocentryzmem kroczy zwykle pycha, sobiepaństwo, zarozumiałość; większość urodzonych pod znakiem Lwa legitymuje się tymi przykrymi cechami.

Lew lubi kogoś reprezentować, działać w czyimś imieniu, a nade wszystko, jak mówią Cyganki: *„rwać się do żłobu i stać przy korycie”.*

Posiadająca prawo jazdy wróżka powiedziała: *„Jeżeli urodzony pod znakiem Lwa nie wyładuje w pracy obliczonego na wiele amperogodzin akumulatora, rozładuje go w przeżyciach miłosnych, których zawsze dla niego za mało”.*



PANNA 23.VIII – 22.IX

Prawie wszystkie wróżki cygańskie bardzo sympatycznie – jakby protekcjonalnie – charakteryzowały ludzi spod znaku Panny, podkreślając ich prawość, ambicje, pracowitość, skromność, skrupulatność, obrotność, wygadanie i zdrowy rozsądek.

Z ujemnych cech wymieniały najczęściej przesadną ambicję, oschłość w obcowaniu z ludźmi, marudzenie, gadatliwość, a czasem cynizm w postępowaniu.

Z takimi pojęciami, jak: „nie wychylaj się”, „równaj do średniaka”, „poczekaj”, bardzo często spotykają się w życiu urodzeni pod znakiem Panny. Niestety, niejednego „upupiono” za jego aktywność, czynną postawę, ożywioną działalność, poziom inteligencji, czy logikę działania.

Dwie chlubne wizytówki mają urodzeni pod znakiem Panny. Nikt w takim jak oni stopniu nie uszczuplił fundacji Alfreda Nobla. Stanowi to największą rekomendację dla analitycznego i racjonalnego umysłu tych wybitnych jednostek, inteligentnych ludzi nauki, bystrych obserwatorów, krytycznie ustosunkowanych do świata.

Na drugiej wizytówce widnieje słowo: „obowiązek”. Z wrodzoną sobie pedanterią i skrupulatnością, uczciwie, bez względu na to, co robią i jakie zajmują stanowiska, realizują swoje zadania.

Stąd zasłużone miejsce tych ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach – ale nie za wysokich i nie za bardzo reprezentacyjnych. Rządzenie i panowanie nie leży bowiem w ich naturze.



WAGA 23.IX – 22.X

Starożytni kojarzyli ten znak zodiaku z majestatycznym spokojem, równowagą ducha i umysłu, harmonią małżeńską i rodzinną, z przykładnym współżyciem z otoczeniem i wreszcie z dziedziną bogini sprawiedliwości – z prawem. Urodzonym pod znakiem Wagi patronuje Wenus – bogini miłości i piękna.

Większość urodzonych pod znakiem Wagi to ludzie, którzy przyszli na świat pod szczęśliwą gwiazdą. Natura wyposażyła ich w życiowy spryt, dryg do handlu, pomysłowość i „smykałkę do rzemiosła” – jak mówiła wróżka cygańska. Zdaniem Cyganek

kobietę spod znaku Wagi można poznać po subtelnych rysach twarzy, czarującym uśmiechu, gracji ruchów i zwinności wiewiórki. Satysfakcjonuje ją tylko luksusowe, wygodne i beztroskie życie.

Jedna z Cyganek skomentowała to w ten sposób: *„Każda chce mieć najmniejszą stopę, a żyć na największej”.„Szkoda, że mój mąż nie jest urodzony pod znakiem Wagi* – zwierzyła się inna Cyganka – *mogłabym przy nim zażywać spokoju, żyć szczęśliwie, patrzeć ufnie w przyszłość. Nie ma nic gorszego, jak „on do Sasa, a ona do lasa”.*



SKORPION 23.X – 21.XI

Urodzeni w tym znaku zodiaku lubią sytuacje wyjątkowe, oryginalne, precedensowe, żądni są silnych wrażeń, emocji. Wyostrzona intuicja przeważnie w porę uprzedzi ich o grożącym niebezpieczeństwie.

Jeżeli urodzony pod znakiem Skorpiona jest członkiem kółka łowieckiego i lubi polować na grubego zwierza, to największą radość i satysfakcję będzie miał nie z samego faktu udanego łowu, lecz z użycia broni i sprawdzenia samego siebie w chwilach niebezpiecznych.

Złośliwi mówią o Skorpionie, że w czasie polowania na grubą zwierzynę najchętniej strzela do tygrysiej skóry z panią w środku...

„Mam dwoje dzieci urodzonych w Skorpionie – oświadczyła wróżka – *ciekawe, dzieci już dorosły, a ja nie zmieniłam ani jednego słowa czy zdania o ludziach urodzonych w tym znaku zodiaku; wróżę dokładnie tak jak, kiedyś, przed ich urodzeniem”.*

Wobec tak ważkich argumentów oddajmy jej głos.

Urodzony w Skorpionie to waligóra, wyrwidąb, osiłek. Energicznie działa, brawurowo walczy – atakuje, jest odważny, może iść na śmierć, jak w taniec. On nie może żyć bez emocji, silnych wrażeń, on musi zawsze spacerować na krawędzi przepaści; lubi patrzeć śmierci prosto w oczy. Nie powinien dostać prawa jazdy – nawet na rower; jeździ z fantazją, po kawaleryjsku. Ma dobrego nosa, kieruje się w życiu węchem, czasem zrobi coś psim swędem, ale z wyczuciem. W niebezpieczeństwie zachowa się jak bohater, jest uparty jak kozioł, ale wytrwały i wytrzymały na trudy. Będzie wyskakiwał ze skóry, stawał na głowie, troił się w robocie, by czegoś dokonać, coś osiągnąć; stać go na znój ponad ludzkie siły. Ma szczere serce, nie lubi owijać w bawełnę, wygarnie w oczy, co o kim myśli. Zbyt wcześnie chce się dowiedzieć i zobaczyć, jaka jest różnica między dziewczynką a chłopcem; to zostanie mu na zawsze, a nazywać się będzie kochliwością, a mówiąc uczenie – zmysłowością. Ten niewierny Tomasz, niedowiarek nie ufa ludziom, wszędzie wietrzy podstęp, męczy go podejrzliwość. Jest to sumienny i uczciwy pracownik, kolega, przyjaciel. Czasem zjada go zazdrość, będzie się mścił, dochodził swojej krzywdy; potrafi być bezlitosny. W tym znaku zodiaku rodzą się najbardziej niebezpieczni przestępcy; całe szczęście, że bardzo mało jest takich ludzi.

Przeciwnikiem Skorpionów niekoniecznie musi być osoba fizyczna, mogą to być problemy, zadania, przekonania, zagadnienia, trudności, z którymi walczy na co dzień, by wcześniej czy później wygrać batalię.



STRZELEC 22.XI – 21.XII

„Jak nikt potrafi pytlować językiem, brzęczeć nad uchem, trajlować, bajdurzyć, paplać” – w ten sposób o gadulstwie Strzelców mówiły Cyganki. Może to sprawia, że jest to trudny przeciwnik w dyskusji. Prostota argumentacji, zrozumiałość dowodzenia, komunikatywny styl, przekonujące rozumowanie muszą imponować kazdemu.

Czy aby nie za duże zaufanie mają do ludzi? Często wierzą na słowo, ufają komuś bezgranicznie; najczęściej jest to wyraz ich wielkoduszności.

Życzliwość dla każdego, szczodrość, przychylność, szlachetność intencji, serdeczność, dobroć, przyjazne uczucie, wiara w ludzi, koleżeński stosunek do otoczenia, życie w dobrej komitywie z wszystkimi, ciepłe słowo, bezgraniczne oddanie, szczerość – to określenie zaczerpnięte z charakterystyki Strzelca.

Urodzeni pod tym znakiem w drodze przez życie wybierają zwykle sportowe zasady fair play. Nie faulują, nie przekraczają przepisów, stosują jedynie dozwolone chwyty.

Oburza ich podłość, krzywda, wyzysk, łajdactwo; mają silnie rozwinięte poczucie sprawiedliwości. Często interweniują, protestują, śmiało występują w obronie pokrzywdzonych; groźna choroba społeczna, zwana „znieczulicą” trudno dosięga tych ludzi.

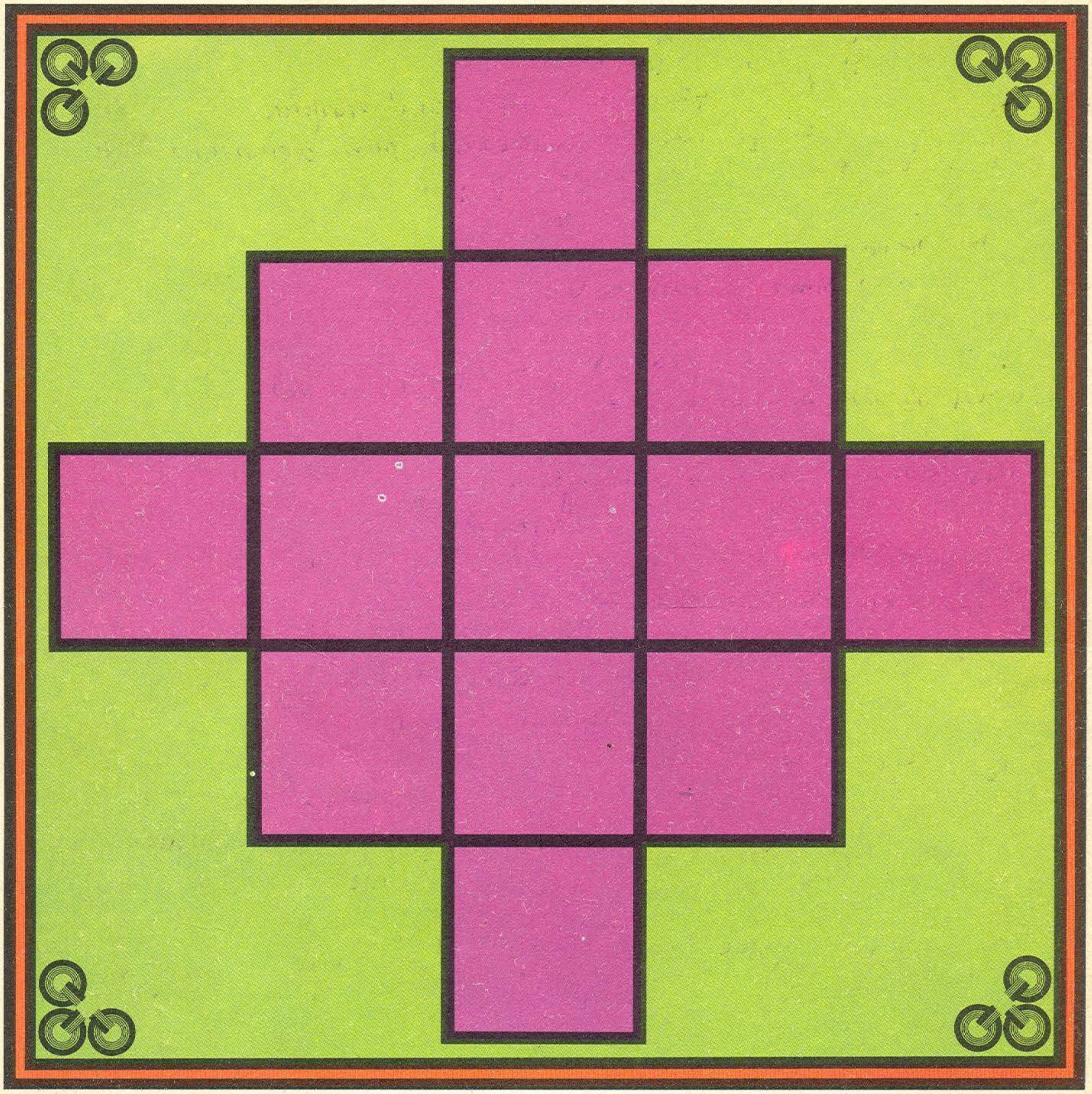
Postępując szlachetnie, wspaniałomyślnie, wielkodusznie, mają prawo unosić dumnie głowę. Rycerska postawa, szlachetne intencje, zasady i uczucia Strzelców wykluczają rozpamiętywanie urazów, knucie zemsty, czy aranżowanie intryg wobec otoczenia.

Redaguje zespół:
Mirosław Chrzanowski, Tadeusz Kaczmarek, Bolesław K. Kowalski, Stefan Kozicki, Tadeusz Olaszański, Anna Susicka
Opracowanie graficzne:
Mirosław Pokora
Opracowanie techniczne:
Stanisław Małecki
Ilustracje:
Marek Płoza-Doliński, Szymon Kobyliński, Jerzy Piontek, Mirosław Pokora, Jan Rocki, Stanisław Rozwadowski, Janina Śpiewak
Fotografie:
CAF, KAW
Projekt gry:
Wojciech Pijanowski

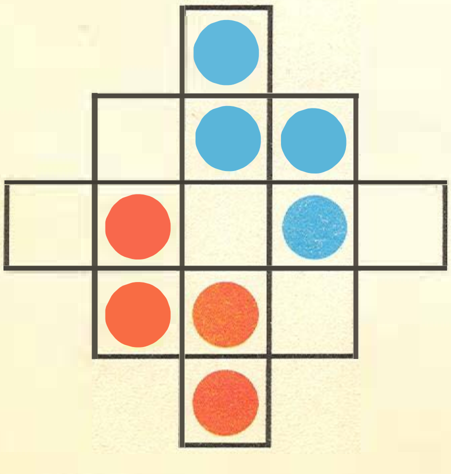
KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA, RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”, WARSZAWA 1984

Wydanie pierwsze. Nakład: 100.000+350 egz. Objętość: ark. wyd. 13,54, ark. druk. 10,0. Papier offset kl. III, 90 g, rola 61 cm. Nr prod. X-13/1168/82. Zam. 4545/11/83 M-22. Drukarnia im. Rewolucji Październikowej, Warszawa, ul. Mińska 65

ISBN 83-03-00417-4



QUEACH – łatwa gra dla dwóch osób



Każdy z dwóch graczy ma po dziesięć jednobarwnych pionków. Do gry można używać drobnych monet, guzików, kamyków, czegokolwiek...

Na początku rozgrywki pionki ustawia się tak jak na rysunku. Gracze po ustawieniu pionków przystępują do wykonywania ruchów. Ruchy te wykonuje się na przemian i w jednym ruchu wolno graczowi przesunąć pionka o jedno pole pionowo lub poziomo. Bicie pionków przeciwnika jest obowiązkowe i odbywa się poprzez przeskoczenie pionka przeciwnika, obowiązuje identyczna zasada jak przy grze w warcaby, z tą jednak różnicą, iż w jednym ruchu wolno zbić tylko jednego pionka.

Gracz, którego pionek został zbity z planszy przed wykonaniem kolejnego ruchu, ma obowiązek dostawienia na planszę jednego pionka tak, aby uzupełnić swoje pionki na planszy do czterech.

Grę wygrywa ten z graczy, który zbije z planszy wszystkie pionki przeciwnika.

Tak wygląda plansza do gry przed wykonaniem pierwszego ruchu

ISBN 83-03-00417-4

Cena zł 85.–

3/4/86 140